

23, rue Taitbout
PARIS (IX)

CENA 1,20 F
PRIX 14 fr. belg.

6 - 13 SIERPNIA
A O U T 1967
Nr 32-33 (512-513)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



FOP 2373

W PODWÓJNYM NUMERZE WAKACYJNYM: La Pologne c'est à côté (str. 3), Najmilszy podarek Elżbiety Dourlou (str. 5), Włóczgi turystyczne Marii Skłodowskiej-Curie (str. 8), Z wizytą u Rodaków w Blanc-Mesnil (str. 14) i Orleanie (str. 15), Weekend w Zuydcoote (str. 20), Miejsce królewskich miłostek (str. 21), Zapomniana reduta (str. 28), Francuz z Mokotowa (str. 30), Świątynia pamięci (str. 34), Dzieje jednego skarbu (str. 38) i inne

Podczas V Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu duży sukces odniosła ulubienica nastolatków Katarzyna Sobczyk i jej piosenka „Trzynastego” patrz strony 26 — 27)

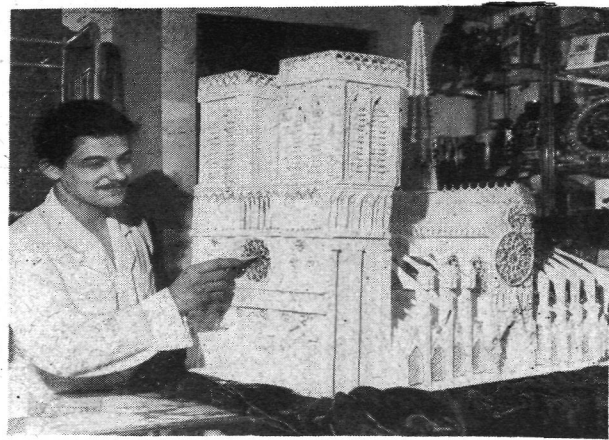
Idole des „teenagers”, Katarzyna Sobczyk a remporté un nouveau succès au Festival de la Chanson à Opole (p. 26-27)

RUE
DU
CONSERVATOIRE



O tych nazwiskach jeszcze usłyszymy. Oto (od lewej) Jean-Paul Zehnacker, Jacques Guimet, Patrick Chesnais i Robert Benoit — zdobywcy laurów w tegorocznym „Concours du Conservatoire” za świetne role męskie w sztukach współczesnych

Tę miniaturę Notre-Dame wykonał 27-letni cukiernik Rene Marsauche. Ma ona metr długości, 50 cm szerokości i metr wysokości, waży 30 kg. Pan Marsauche pracował nad nią 400 godzin. Zdobł teraz witrynę jego sklepu w Paryżu



Deputowana Anne Kehr, członek Partii Pracy wkroczyła do gmachu parlamentu brytyjskiego z kolekcją zebranych zabawek przedstawiających najnowsze modele broni. Był to protest przeciw wychowywaniu dzieci w duchu militarystyki



17-letnia studentka, panna Erika Tiebolt, rodowita paryżanka, zdobyła tytuł Miss Wakacji 1967. Uwielbia jazdę na rowerze. Widzimy ją jak na modnym i praktycznym mini-rowerze z wielką torbą kwiatów wybiera się na spotkanie słońca



Mieszkancka Lomme na Nordzie Annie Debruyne zajęła 53 miejsce wśród 1300 kandydatów w konkursie Ecole Normale. Nie by w tym nie było nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że Annie ma zaledwie 13 lat i będzie najmłodszą studentką Francji

▲ Jean-Paul Zehnacker, Jacques Guimet, Patrick Chesnais et Robert Benoit ont remporté les prix masculins de comédie moderne au Concours du Conservatoire.

▲ M. Rene Marsauche, pâtissier de son état, est l'auteur de cette cathédrale Notre-Dame en sucre qu'on peut admirer au 159 de la rue de Flandre à Paris.

▲ Deputée travailliste Mme Anna Kehr a demandé aux Communes d'interdire les jouets imitant les armes à feu. Elle s'est présentée à la Chambre avec des „pièces à conviction”.

▲ Mlle Erika Tiebolt, étudiante parisienne de 17 ans et „Miss Vacances 67” aime la bicyclette.

▲ Annie Debruyne a été classée 53-e sur 1300 au Concours de l'Ecole Normale. Cela mérite déjà félicitation, mais ajoutons qu'elle n'a que 13 ans, ce qui en fait la plus jeune normalienne de France.

▲ Importée par Eddie Barclay de Californie, la mode „psychedelic” (lisez n'importe quoi mais dans la démence et le délire) va-t-elle faire son apparition en France?

▲ Cette Lacroix de La-ville 1903-1904, moteur de Dion 1 cyl. 6 ch, a été un des quarante „tacots” de la belle époque vendus aux enchères au Pré Catelan.

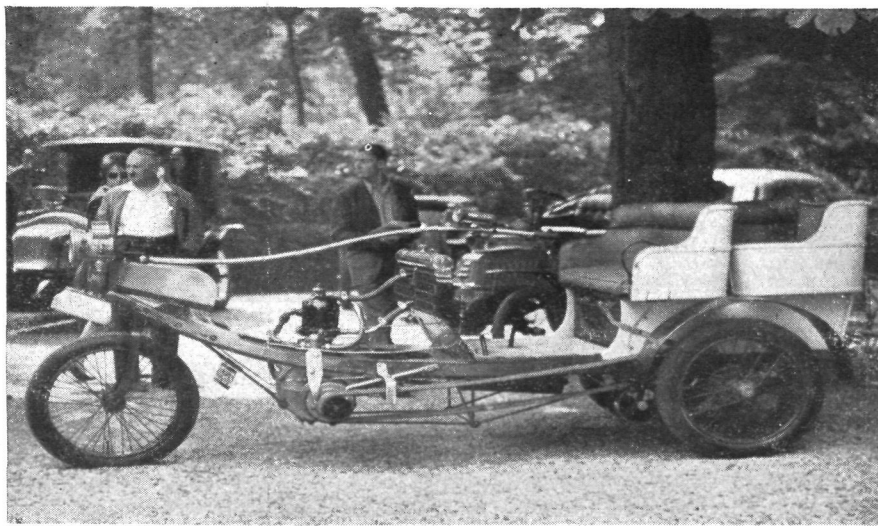
▲ Faute de pouvoir prendre des vacances l'actrice italienne Monica Pardo se rafraîchit dans une petite rivière aux environs de Rome.

▲ La chaleur est telle que même les lions se baignent au zoo de Vincennes.

Importowana z Kalifornii przez Eddie Barclaya nowa moda „psychedelic” zagrozi wkrótce Francji. „Psychedelic” polega na udziwnianiu doprowadzonym do granic wariactwa. Na zdjęciu po lewej: panna Anne Boshart prezentuje to szaleństwo

Zdjęcia:
KEYSTONE

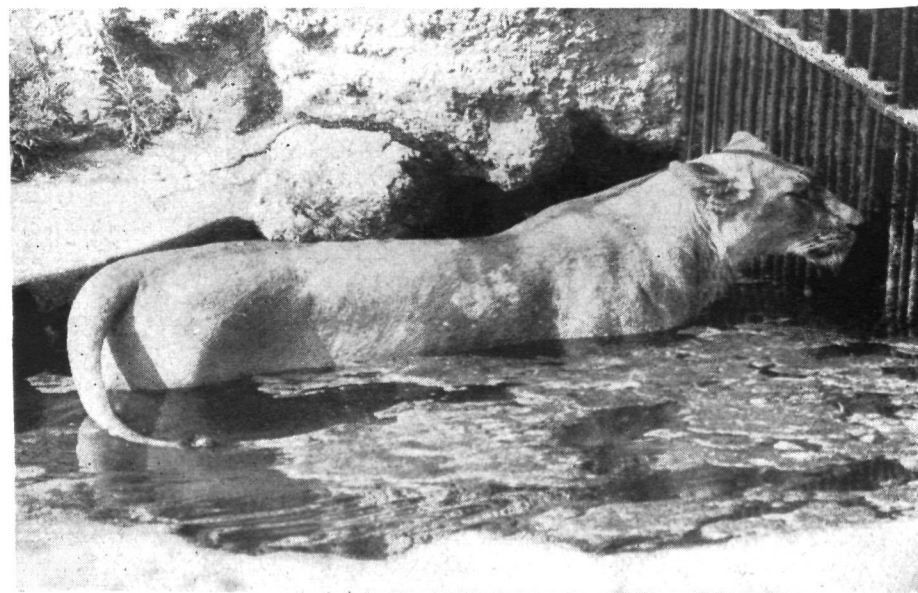
Włoska aktorka Monika Pardo zajęta intensywną pracą w studio nie ma czasu wyjechać na wakacje nad morze, a więc krótkie chwile wypoczynku spędza nad rzeczką koło Rzymu



40 najstarszych samochodów z pierwszych lat naszego wieku zostało sprzedanych na licytacji w Lasku Bułońskim. Niektóre sędziwe pojazdy osiągnęły cenę współczesnych samochodów w dobrym stanie. Na zdjęciu powyżej: „Lacroix de La-ville” model z roku 1903



Wszyscy oczekują słońca, ale nie wszyscy lubią upały. Odnosi się to w równym stopniu do ludzi, jak i do zwierząt. W ZOO de Vincennes niedźwiedzie, bardzo zmęczone upałem, zanurzają się rozpaczliwie w wodzie, podczas gdy władcy pustyni — lwy są dość ożywione, chociaż też szukają ochłody



La Pologne c'est à côté

LA CÉLÈBRE série des „Guides Bleus” édités par Hachette compte déjà plus de 80 volumes. Un des derniers parus est le Guide Bleu POLOGNE publié en 20 mille exemplaires. 700 pages, cartes des principaux itinéraires, carte routière, carte des principales curiosités, cartes du Parc National des Tatra et des lacs de Mazurie, seize plans de villes dont cinq en couleurs (Cracovie, Gdańsk, Poznań, Varsovie et Wrocław), informations sur les modalités de voyage, les formalités de passeport, de visas, de change, les hôtels, les auberges et les campings, les restaurants, les stations-service et les postes d'essence, les heures d'ouverture des magasins, les tarifs postaux, sur la façon d'obtenir un permis de pêcher la truite ou un permis de chasse, sur la location de voitures avec ou sans chauffeur etc., etc. — tous les renseignements nécessaires au voyageur et au touriste sont classés d'une manière claire et précise.

Les itinéraires sont décrits de façon à pouvoir être utilisés aussi bien par ceux qui voyagent en voiture ou en car que par ceux qui utilisent l'avion ou le chemin de fer. Les automobilistes font évidemment l'objet d'une sollicitude particulière. Les descriptions des villes, de leurs monuments et sites, sont toujours précédées d'une introduction historique qui n'oublie jamais les liens polono-français, ainsi que d'informations sur les hôtels, les théâtres, les cinémas, les musées, les transports urbains, les bureaux de tourisme, les parkings, les stations-service etc. Comme le veut la bonne tradition des Guides Bleus, les descriptions des monuments architectoniques — églises, châteaux, palais etc. — sont un modèle du genre. 120 pages sont consacrées aux aperçus: géographique, économique, chronologique, artistique, musical, littéraire, linguistique, culinaire. Un bref vocabulaire sera très utile quand, ce qui arrive, le voyageur ne trouvera personne connaissant le français.

M. Francis Ambrière, directeur de la série des Guides Bleus et grand ami de la Pologne (que nos lecteurs connaissent par „Les Grandes Vacances” que nous avons présenté dans notre numéro 39 de l'an dernier), et M. Jean Jacques Fauvel, auteur du guide POLOGNE, nous ont dit la somme de travail qu'a nécessité sa préparation (disons seulement que de ses quinze semaines de séjour en Pologne, où il a été admirablement aidé par le Centre d'Information Touristique, M. Fauvel a ramené pas moins de 60 kgs de documentation). Il s'était préparé un an à ce voyage et l'élaboration du guide lui a pris encore dix mois. Au total plus de deux ans de travail... Pour terminer M. Fauvel constate: „Grâce à notre guide le touriste français s'apercevra que la Pologne n'est pas si loin qu'il lui semble. A tracer un cercle de 1300 km de rayon, il englobe aussi bien Naples que Varsovie. Et comme Naples est à deux pas de Paris, la conclusion s'impose...”



Jean-Jacques Fauvel — autor francuskiego przewodnika po Polsce

Jak powstał francuski przewodnik po Polsce?

W słynnej serii wydawnictwa Hachette „Les Guides Bleus” wyszedł nowy tom poświęcony Polsce. Estetycznie i bardzo starannie wydany przewodnik będzie dużą pomocą dla pragnących odwiedzić kraj nadwiślański turystów francuskich.

GUIDE BLEU POLOGNE wydany został w 20 tysiącach egzemplarzy. Liczy 700 stron i opatrzony jest mapą głównych tras turystycznych oraz barwną składaną mapą drogową, uzupełnioną mniejszą mapką, uwzględniającą „principales curiosités”. Ponadto, obok mapek Tatrzańskich Parku Narodowego i Jezior Mazurskich, zawiera 16 planów miast, w tym 5 kolorowych (Kraków, Gdańsk, Poznań, Warszawa, Wrocław).

Bardzo obszernie i sumiennie opracowane zostały informacje ogólne, dotyczące zarówno podróży do Polski, jak i samego pobytu w Polsce. Połączenia lotnicze i kolejowe, formalności paszportowe, wizowe i dewizowe, hotele, schroniska i campingi, stacje benzynowe i restauracje, wartości banknotów i bilonu, godziny otwarcia sklepów i taryfa pocztowa — wszystko, co interesować może turystę, omówione zostało krótko, jasno, a szczegółowo. Zainteresowany dowie się z przewodnika, gdzie i w jaki sposób otrzymać zezwolenie na połów pstrągów i węgorzy lub też zezwolenie na polowanie, jak załatwić „location de voiture avec ou sans chauffeur”, jak wynająć kort tenisowy, jakie są najbardziej znane przysmaki polskie. Aby ułatwić porozumienie nie znającym języka polskiego turystom, zamieszczono krótki słowniczek, zawierający podstawowe słowa i najczęściej spotykane nazwy.

DLA WYGODY TURYSTÓW

Opis poszczególnych tras pomyślany został w taki sposób, aby z przewodnika korzystać mogli z równą łatwością turyści podróżujący koleją, samolotem czy „zmotoryzowani”, przy czym ci ostatni znajdą bardzo dokładne omówienie dróg i wszelkie niezbędne dla „samochodziarzy” informacje praktyczne.

Opis miast z punktu widzenia wartości zabytkowych i artystycznych poprzedzony jest każdorazowo krótkim rysunkiem historycznym (w którym nie zapomniano o istniejących w przeszłości związkach polsko-francuskich) oraz informacjami dotyczącymi hoteli, teatrów, kin, muzeów, wystaw, komunikacji miejskiej, biur turystycznych, parkingów, warsztatów samochodowych itp. Jak to jest w zwyczaju i tradycji „Guides Bleus”, opisy zabytków architektury i sztuki, kościołów, zamków, muzeów — są wyczerpujące, rzecz można — precyzyjne.

Aby zwiedzanie było nie tylko przyjemnym spacerem i powierzchowną obserwacją, powinno być poprzedzone i uzupełniane opanowaniem pewnego zasobu podstawowych wiadomości z dziedziny geografii i historii, gospodarki i kultury kraju, który się zwiedza. I w tej materii Guide Bleu POLOGNE wyszedł naprzeciw potrzebom turystów. Ponad 120 stron przewodnika poświęcono tym zagadnieniom, opracowanym w formie oddzielnych „aperçus” (géographique, économique, chronologique, artistique, musical, littéraire, linguistique) przez wybitnych specjalistów francuskich i polskich.



Francis Ambrière — dyrektor „Guides Bleus” ogląda mapę drogową Polski zamieszczoną w przewodniku. Poniżej: jedna z licznych uroczych przystani w Krainie Wielkich Jezior na Mazurach

Czy wydanie Guide Bleu POLOGNE było wynikiem realnego zapotrzebowania ze strony turystów francuskich, czy raczej ma na celu pobudzenie zainteresowania Polską? W jaki sposób zebrany został tak ogromny materiał? Jak długo trwało przygotowanie przewodnika do druku?

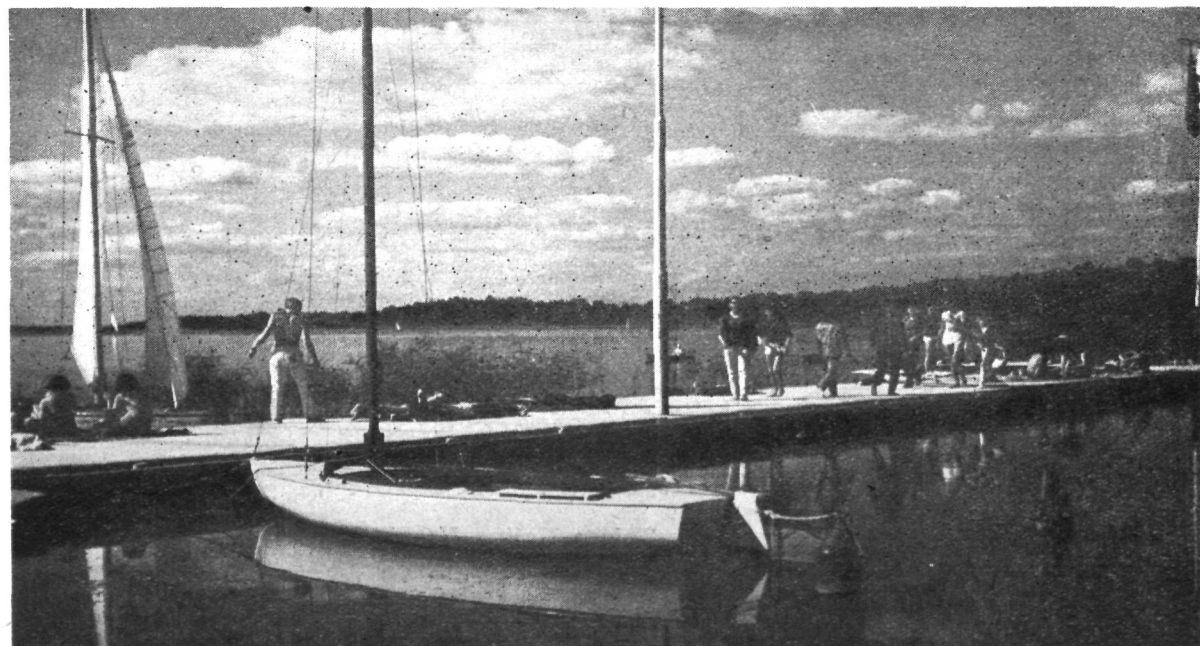
WYDAWCA i AUTOR

Z wielu pytaniami zwróciliśmy się do dyrektora serii „Les Guides Bleus”, znanego pisarza p. Francis Ambrière, oraz do autora przewodnika, p. Jean-Jacques Fauvel.

Podkreślając, że licząca już ponad 80 tomów seria „Les Guides Bleus” ma charakter uniwersalny, że obejmuje i zamierza obejmować w przyszłości zarówno kraje, do których turyści jadą masowo, jak i te, do których będą dopiero jechali w przyszłości, p. Francis Ambrière mówi:

— Le Guide Bleu POLOGNE wydawałem z uczuciem szczególnej przyjaźni, leżał mi on na sercu specjalnie. W orbicie związków francusko-polskich pozostawałem jeszcze w czasach uniwersyteckich w Dijon, gdzie miałem kolegów Polaków, a zwłaszcza jako uczeń pisarza Paul Cazin, głęboko z Polską związanego i bardzo tam cenionego. Później, w czasie wojny, byłem przez dwa i pół roku jeńcem obozu w Koberzynie wraz z wieloma jeńcami Polakami. Doznałem od nich tyle dowodów braterskiego przywiązania i sympatii, tak silnie złączyła nas wspólna dola, że sentyment do ich kraju, od wieków zresztą bliskiego Francji, bardzo się we mnie pogłębił.

Dokończenie na str. 4





WIELKIE TOURNEE STUDENCKIEGO ZESPOŁU TAŃCA LUDOWEGO Z UNIwersYTETU MARIi SKŁODOWSKIEJ-CURIE W LUBLINIE WYSTĘPY W 45 MIASTACH FRANCJI DLA 180 TYSIĘCY WIDZÓW

50-osobowy polski zespół studencki Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie po galowym występie z okazji Święta Narodowego 14 lipca w Nevers (fotoreportaż z występu zamieścimy w następnym numerze) odbywa do końca sierpnia wielkie tournée artystyczne po Francji, występując w 45 miastach m. in. w Vichy, Chamonix, Marsylii, Cannes, Fréjus, Royan, Clermont-Ferrand, Grenoble, le Havre, Berck-Plage, Dives s/Mer, St. Malo, St. Nazaire, Tuluzie, Narbonne, Perpignan.

Zespół studencki z Lublina przemierzył około 25 tysięcy kilometrów wzdłuż i wszerz Francji, prezentując ludowe tańce i pieśni polskie 180 tysiącom widzów.

Od 30 sierpnia do 18 września zespół wystąpi w Paryżu w sali „Bobino” (szczegóły w następnym numerze).



Jak powstał francuski przewodnik po Polsce?

Dokończenie ze str. 3

WSPOMNIENIA o PIERWSZYCH AUTORACH

Francis Ambrière, autor książki „Les grandes vacances”, w której przejmująco opisał owe przeżycia obozowe, przypomnia, że pierwsze wydanie Guide Bleu poświęconego Polsce gotowe było w r. 1939, na kilka tygodni przed wybuchem II wojny światowej. Autorami przewodnika byli państwo de Montfort (pani de Montfort zginęła później w obozie w Ravensbrück). Wprawdzie większa część nakładu została uratowana, przewodnik jednak stracił na aktualności. Obecne wydanie trzeba więc było przygotować od nowa.

Jest ono dziełem p. Jean-Jacques Fauvel, który po rocznym studiowaniu historii i literatury polskiej, przez trzy i pół miesiąca jeździł po Polsce, zbierając materiały do przewodnika, oglądając, notując, szperając w bibliotekach i archiwach.

Zarówno p. Francis Ambrière, który przebywał w Polsce celem omówienia z przedstawicielami zainteresowanych instytucji organizacyjnej strony prac przygotowawczych, jak i autor przewodnika, nie mają słów dla życzliwości, z jaką się spotkali, i pomocy, jaką zadeklarowały władze i instytucje polskie.

— Otrzymałem do dyspozycji samochód — mówi p. Fauvel — trzy tłumaczkę towarzyszyły mi na zmianę w podróży po Kraju. Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej przygotowywał wszystko tak, abym nie stracił ani chwili. Dokądkolwiek przyjechałem, czekali na mnie specjaliści i znawcy danego terenu, miasta, zabytków. Hi-

storycy i archeologowie, naukowcy, dyrektorzy szkół i muzeów, nauczyciele, czasem lekarze, a nawet adwokaci — ktokolwiek mógł służyć informacjami, wiadomościami, radą — był zawsze na miejscu i w oznaczonym czasie. Spotykałem się nie tylko z pomocą, ale także z wielką sympatią i serdecznością. Przywoziłem do Paryża z tej podróży 60 kg dokumentacji i materiałów. Przesiedziałem nad nimi pisząc przewodnik dalszych dzieś miesięcy.

RÓWNIIE BLISKO JAK DO NEAPOLU

Zdaniem p. Francis Ambrière, najważniejszą siłą atrakcyjną Polski są dla turysty francuskiego ośrodki górskie, upoważniające ją do konkurowania z Austrią i Szwajcarią, tereny jezior oraz stadniny. Dyrektor „Guides Bleus” mówi:

— We Francji zawsze istniał naturalny ruch w kierunku Polski. Le Guide Bleu POLOGNE a précédé et suivi ce mouvement, et il l'incitera.

— Zaś Jean-Jacques Fauvel dodaje: — Dzięki naszemu przewodnikowi turysta francuski uświadomił sobie, że Polska wcale nie leży tak daleko, jak mu się wydaje. Gdyby od Paryża zakreślić koło o promieniu około 1300 km, to znajduje się w nim i Neapol, i Warszawa. A przecież Neapol uważa się u nas za miasto bliskie Paryżowi. La Pologne, c'est à côté. To przekonanie, za pośrednictwem naszego Guide Bleu, chcielibyśmy wpoić turystom francuskim.

Tekst: Halina KOWZAN
Zdjęcia: Władysław SŁAWNY

WAKACJE NAD JEZIORAMI MAZURSKIMI ZALECA SWYM CZYTELNIKOM FRANCUSKI MIESIĘCZNIK TURYSTYCZNY

Miesięcznik „L'Action Automobile et Touristique” (No 81) zamieścić ciekawy artykuł o Polsce, który zainteresuje na pewno bardzo wielu również naszych Czytelników, zwłaszcza miłośników wędkarstwa i wakacji nad jeziorami. Dlatego też pozwalamy sobie przytoczyć niektóre jego fragmenty.

„La Pologne en bateau” — taki jest tytuł artykułu. Zawiera on opis kraju i jednocześnie szereg cennych uwag praktycznych, które mogą na pewno oddać duże przysługi francuskiemu turystyce, chcącemu spędzić wakacje nad jeziorami Mazurskimi. Artykuł zaczyna się bardzo obrazowo:

„Imaginez un puzzle composé de 2000 lacs, dont certains sont reliés par des rampes à bateau comme au Canada: des milliers d'hectares de forêts de pins, de sapins, de bouleaux, de hêtres; des petits villages, au sommet des collines ou au bord de l'eau, ou passent les troupeaux d'oies; une super Sologne sans propriétés privées, ni privilèges; bref, un ensemble navigable unique en Europe; c'est la Mazurie, située au nord-est de la Pologne...

Ici, on loue un kayak ou un voilier, et l'on peut remonter en une dizaine de jours jusqu'à la Baltique. On fait ses achats sur des bateaux marchands, on se rafraichit au café du village, on pêche, tout en naviguant, des brochets, des perches ou des anguilles. A perte de vue: de l'eau, des forêts, des collines...

Croyez en notre expérience personnelle: vous y passerez, pour une som-

me dérisoire, les vacances les plus originales et les plus sauvages qui soient. Votre bateau loué (voir les conseils), l'aventure commence. Vous découvrirez des églises du XV-ème siècle isolées dans les forêts, des châteaux rustiques; des vieux villages ou jamais personne ne passe. Parfois, il faut porter le bateau pour gagner un autre lac. On cueille des fraises et des myrtilles dans les bois, on voit des chevreux sauvages, des troupeaux de cerfs, de chevreuils, des cigognes noires, des grèbes, des cormorans. Bref: la vie sauvage à l'état pur.

Un mot encore sur le climat. Le Français tient la Pologne pour un pays froid. C'est parfaitement exact en ce qui concerne l'hiver. Mais en été, c'est un pays chaud et même très chaud (climat continental). Vous en revien-drez aussi bronzé que de la Méditerranée.

Ruciane, Mikołajki, Giżycko — te pełne uroku zakątki zna dotychczas bardzo niewielu Francuzów — stwierdza „L'Action Automobile et Touristique”. Camping jest wolny, tzn. turysta może rozbić namiot wszędzie, gdziekolwiek mu się spodoba, łódzie i kajaki wynajmuje po bardzo niskich cenach i łowi ryby, których znajduje w jeziorach Mazurskich niezwykłą obfitość.

Wakacje świetne! No i przy tym warto jeszcze zwiedzić parę miast, przy najmniej Warszawę i Kraków, dodaje autor artykułu.

„EN POLOGNE PAR LE TRAIN”

„La Vie du Rail” — pismo poświęcone sprawom kolejnictwa opublikowało wrazenia p. Henri Musielaka z podróży pociągiem do Polski i po Polsce. Zainteresowania podróżującego i profil samego pisma sprawiły, że w artykule oddano pierwszeństwo sprawom komunikacyjnym.

Poniżej zamieszczamy interesujące fragmenty tego artykułu:

„Au wagon restaurant, nous sommes à nouveau environnés de Polonais. Personne, parmi le personnel du wagon, ne semblant connaître le français, là aussi notre connaissance de la langue du pays nous est fort utile pour nous y retrouver dans le menu. La cuisine polonaise est excellente.

On ne saurait trop conseiller par exemple, le potage de betteraves aux croquettes de viande de mouton hachée, ou les harengs à la crème. On nous sert des bières de Żywiec et le Okocim qui sont appréciées à l'étranger...

La capitale polonaise, comme tout le pays du reste, a bien changé d'aspect depuis notre précédent voyage il y a deux ans: davantage d'enseignes au néon, une circulation accrue, et, semble-t-il, plus de recherche architecturale dans les constructions récentes.

Les gares de Warszawa-Gdańska et de Warszawa-Wschodnia (Varsovie-Est) sont modernes et la nouvelle gare centrale, qui sera terminée d'ici à quelques années, sera, si l'on en croit la maquette que nous en a été montrée, un modèle du genre.

Ce qui frappe la plus à Varsovie, c'est la propreté. Tous les soirs, en sortant du spectacle, nous avons vu les balayeuuses et arroseuses municipales en service, même les jours de pluie.

Sur les larges trottoirs, des kiosques ouverts tard le soir vous offrent journaux, cigarettes, savon, souvenirs, tickets de tramways, trolleybus et autobus.

Les cabines téléphoniques ne sont pas rares et il semble que les gens téléphonent beaucoup. Chez les particuliers, nous avons noté que des prises étaient installées dans plusieurs pièces. Souvent, mes hôtes m'apportaient le téléphone dans ma chambre pour me passer une communication.

Les appartements que j'ai visités à Varsovie et à Cracovie étaient spacieux et confortables; téléviseurs, réfrigérateurs et autres signes du confort ménager n'étaient pas rares.

On a l'impression que les Polonais, qui vous reçoivent toujours très volontiers (il faut aller dans ce pays pour savoir ce qu'est réellement l'hospitalité) sortent beaucoup.

La journée continue est pratiquée de manière assez générale et on ne déjeune que vers 15 ou 16 h. A partir de ce moment, restaurants et cafés qui, pourtant, ne sont pas déserts le matin, se remplissent, et bien qu'ils soient nombreux à Varsovie, paraissent encore insuffisants. Le service est, dans l'ensemble, rapide et fort bien fait surtout en comparaison de ce qui se passait il y a deux ans. Le vestiaire est obligatoire, on paie par personne et non par objet déposé. Le service est compris.

Les cafés ne ressemblent en rien aux nôtres, ce sont plutôt des salons, des tea-

rooms. On boit effectivement beaucoup de thé, mais aussi du café turc; il se consomme force pâtisseries et glaces, excellentes d'ailleurs. Dans la majorité des cafés et des restaurants, il y a un piano à queue sur une petite estrade et, dès 17 heures, des musiciens viennent jouer des morceaux de leur répertoire.

Comme en Angleterre et en Allemagne, les spectacles commencent tôt, vers 19 h ou 20 h au plus tard. Ils sont nombreux, très diversifiés et les salles sont très fréquentées; il est vrai que le prix des billets n'est pas élevé. Nous avons souvent remarqué beaucoup de spectateurs d'âge scolaire. Il est prudent de louer des places bien à l'avance, mais il est rare que l'on refuse l'entrée à un étranger, quitte à lui installer un fauteuil supplémentaire comme cela m'est arrivé.

Les librairies ont également beaucoup de clients. Livres et disques sont bon marché et bien présentés. Le texte de présentation imprimé sur les pochettes des disques est généralement rédigé en plusieurs langues (anglais et allemand surtout).

Comme je l'ai déjà dit, le nombre des automobiles a très sensiblement augmenté depuis deux ans. Beaucoup de voitures occidentales immatriculées en Pologne circulent, particulièrement à Varsovie, à Cracovie et à Lublin. „Renault R-10” et „Peugeot 404” abondent, mais on voit aussi des Fiat, des Mercedes et des Opel.

La signalisation routière est fort bien faite. Les couloirs sont nettement indiqués sur la chaussée et les automobilistes varsoviens se servent constamment des feux clignotants pour signaler tout changement de file ce qui est moins fréquent à Berlin et aussi chez nous.

Le réseau routier est excellent; les routes sont pratiquement toute macadamisées et encore peu fréquentées.

Si l'on en veut un exemple, signalons que, lors d'un voyage d'études consacré à l'électrification en cours aux environs d'Inowrocław, voyage organisé par le ministère des Transports, nous avons couvert la distance Toruń-Varsovie, soit 284 kilomètres, le soir, à bord d'une „Volga”, en 2 heures 20 minutes...

Le mot „culture”, dans les langues slaves, a un sens plus large que chez nous. Etre „kulturalny”, c'est non seulement avoir la tête bien pleine, mais c'est encore, et peut-être avant tout, avoir de l'éducation, être accueillant. Les gens de Pologne ont un sens de l'hospitalité et de l'accueil très poussé...

UWAGA!

NASTĘPNY NUMER
„Tygodnika Polskiego”
ukaze się (po tygodniowej
przerwie) z datą 20. VIII. 67



Na panoramę odbudowanego Starego Miasta patrzeć można bez końca z nadwiślańskich bulwarów

NAJMILSZY PODAREK ELŻBIETY DOURLOU

Mlle ELISABETH DOURLOU, de La-Chapelle-d'Armentières est lauréate du II-e prix de notre grand Concours d'Etrennes: voyage aller-retour par le train et huit jours à Varsovie — offerts par „TRANSTOURS”.

Mlle Dourlou a déjà été plusieurs fois en Pologne, à Częstochowa et Opolu, mais jamais à Varsovie. Aussi, ce prix gagné au concours de „La Semaine Polonaise” a vraiment été pour elle le meilleur cadeau d'étrennes.

Comme sur commande expresse, le temps s'était mis en Pologne au beau fixe. Notre lauréate a donc bénéficié des meilleures conditions pour visiter la capitale et ses monuments, les quartiers historiques et les cités nouvelles, aller en bateau-mouche sur la Vistule, admirer les spectacles d'opéra, de ballet et de théâtre, danser au club étudiant „Stodola”...

Sortie de l'école l'an dernier, Mlle Elisabeth travaille depuis janvier dans un bureau. Son père, M. Dourlou, est Français, mais il a déjà été trois fois en Pologne — dans la famille de sa femme — et il comprend un peu le polonais. Notre lauréate n'a pas manqué de visiter son oncle, M. Józef Walczak, retraité à Częstochowa, et ses cousins dont l'un, ancien pilote, préside actuellement le Conseil du Peuple de cette ville, et l'autre — ingénieur — travaille dans une grande usine textile en Basse Silésie.



Na Wybrzeżu Kościuszkowskim nad Wisłą pod pomnikiem warszawskiej Syreny — symbolem miasta wszyscy odwiedzający Warszawę robią zdjęcia

NIEDAWNO ROZSTRZYGNIĘTY został Wielki Konkurs „Tygodnika Polskiego” pod tytułem „NAJMILSZY PODAREK”, który wywołał bardzo duże zainteresowanie naszych Czytelników. Przypominamy, że polegał on na zdobyciu największej liczby nowych prenumeratorów naszego pisma. Rozlosowano cenne nagrody i wysłano je zwycięzcom.

Nie wszystkie jednak nagrody można było wysłać.

Drugą nagrodę — bilet kolejowy z Paryża, Lille lub Metz do Warszawy i z powrotem oraz 8-dniowy pobyt w Warszawie — ofiarowaną przez Biuro Podróży „Transtours”, wylosowała panna ELŻBIETA DOURLOU z La-Chapelle-d'Armentières.

„Nagroda ta była dla mnie najmilszym podarkiem — opowiada panna Elżbieta. — Byłam już kilkakrotnie w Polsce, ale tylko w Częstochowie i w Opolu. Tam mieszkają bracia mamusi. Zawsze marzyłam o tym, by poznać Warszawę”...

Marzenie p. Elżbiety Dourlou spełniło się. Pociąg z Lille zawiózł ją do Warszawy. Tutaj zamieszkała w Domu Turysty Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Chciała oczywiście w Warszawie zobaczyć jak najwięcej. Pogoda była wspaniała, jak na zamówienie ofiarodawcy nagrody „TRANSTOURS”. Panna Elżbieta godzinami spacerowała po Starym Mieście, podziwiając odbudowane w każdym szczególe piękne i wąskie uliczki, wysokie i ozdobne kamieniczki. Poznawała stare zaułki i nowoczesne dzielnice, znane ze zdjęć za-

mieszczanych w „Tygodniku”. Zwiedziła pałac w Wilanowie i pałacyk w Parku Łazienkowskim. Zwiedzała też kościoły. Najbardziej podobał jej się kościół św. Marcina na ul. Piwnej, z prostym, surowym wnętrzem i kościół św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Spoczywa tam serce Fryderyka Chopina.

Oglądała pomniki. Najbliższy był pomnik wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika, w sąsiedztwie Domu Turysty, w którym mieszkała; nieco dalej stoją pomniki księcia Józefa Poniatowskiego i poety Adama Mickiewicza.

Pobyt w Warszawie był starannie przygotowany. W dzień zwiedzała miasto, była w wielkim stołecznym ogrodzie zoologicznym, pływała statkiem po Wiśle, a wieczorem była na przedstawieniu w Operze. W Teatrze Współczesnym oglądała „Tango” Sławomira Mrożka, oklaskiwała argentyński zespół baletowy i tańczyła ze swoimi rówieśnikami w studenckim klubie „Stodola”.

Panna Elżbieta Dourlou w ubiegłym roku skończyła szkołę i od stycznia pracuje w biurze w Lille. Młodsza jej siostra, Irena, uczy się w gimnazjum. Ojciec p. Elżbiety jest Francuzem, ale trochę rozumie po polsku. Był już trzykrotnie w Polsce w rodzinny zony. Brat pani Dourlou a wujek naszej lauréatki, pan Józef Walczak, jest już na emeryturze. Mieszka w Częstochowie. Jego żona pracuje na kolei, a dwaj synowie państwa Walczaków założyli już własne rodziny. Jeden z nich był pilotem, a teraz jest przewodniczącym Rady Narodowej w Częstochowie. Drugi ukończył studia, jest inżynierem i pra-



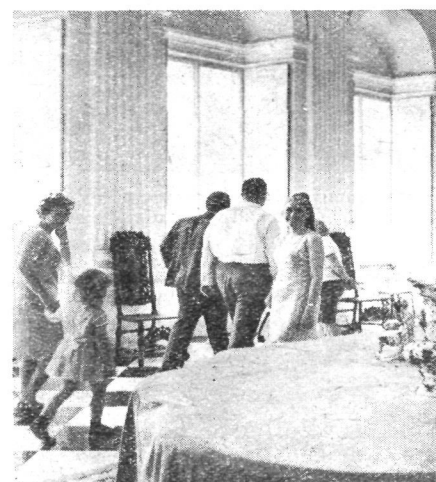
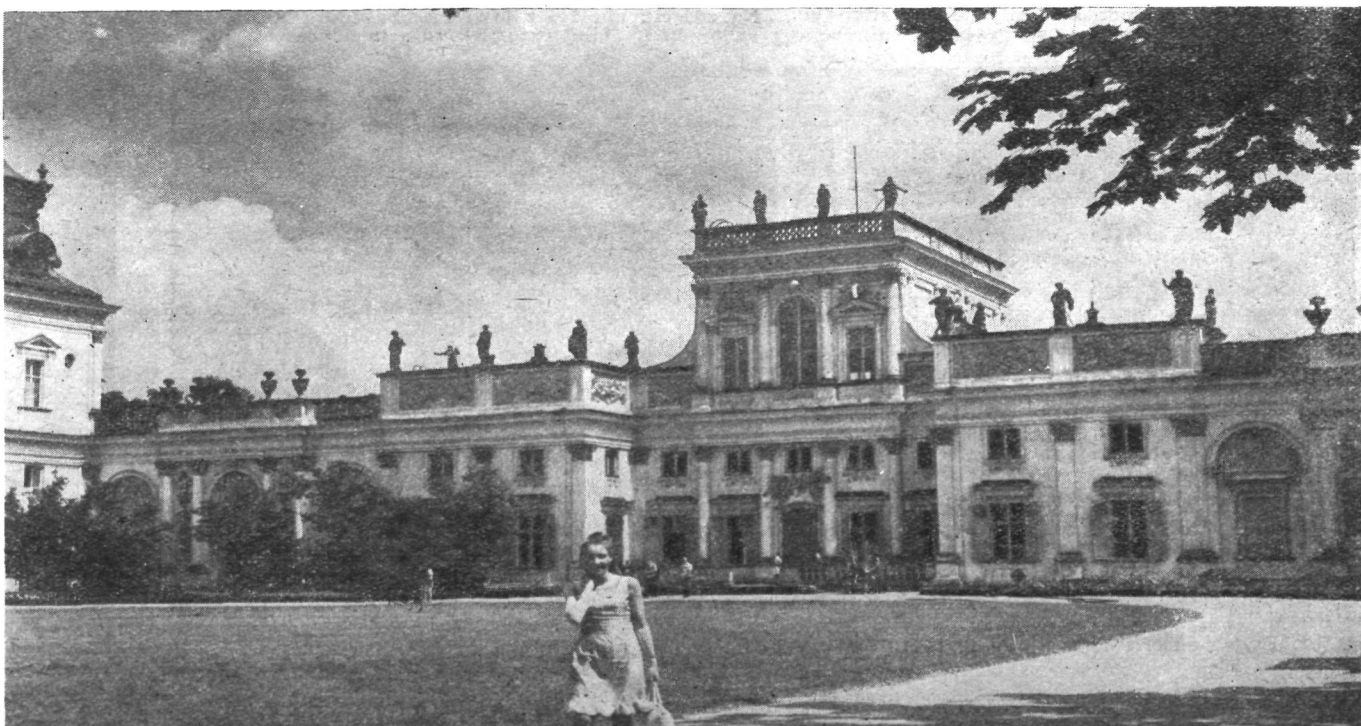
W hallu warszawskiego Domu Turysty

cuje koło Jeleniej Góry, w Mysłakowicach, w fabryce włókienniczej. Panna Elżbieta oczywiście odwiedziła rodzinę.

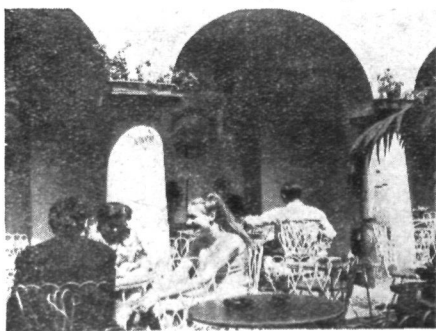
Gdy jechała do Warszawy wyobrażała sobie, że jest to ciasno zabudowane miasto, dom przy domu, a tymczasem zobaczyła wzniesioną z rozmachem, tonącą w zieleni nowoczesną metropolię.

— Pobyt w Warszawie był dla mnie najmilszym podarkiem — oświadczyła nam. — Z żalem z niej wyjeżdżałam.

Panna Elżbieta Dourlou zwiedziła wspaniały pałac w Wilanowie, zabytki zgromadzone w jego wnętrzu i sąsiedni park



Panna Elżbieta wraz z tysiącami turystów przybyłych do Warszawy zwiedziła wszystko, co jest w Stolicy Polski godne zobaczenia, odpoczywając w miłych kawiarnianych ogródkach



ŚWIĘTO 22 LIPCA W PARYŻU

JAK CO ROKU, z okazji Święta Narodowego Polski — 22 Lipca, ambasador PRL w Paryżu p. Jan Druto wydał przyjęcie, na które przybyły liczne osobistości administracji państwowej, świata politycznego, kulturalnego, naukowego, członkowie przedstawicielstw dyplomatycznych, generalicja i admiralicja, dziennikarze redakcji paryskich, prowincjonalnych oraz korespondenci zagraniczni, wielu przyjaciół Polski.

Wśród gości, serdecznie witanych w salonach Ambasady przez p. ambasadora Jana Druto, obecni byli m. in.: przedstawiciele francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych — dyrektorzy departamentów, ministrowie pełnomocni F. Puaux, Claude Lebel, Froment-Meurisse oraz zastępca szefa protokołu dyplomatycznego du Boisbéranger, sekretarz generalny Francuskiej Partii Komunistycznej Waldeck Rochet oraz członkowie Biura Politycznego Jacques Duclos i Roland Leroy, były minister Giscard d'Estaing i Michel Poniatowski — reprezentujący stronnictwo gaullistowskiej większości — Republikanów Niezależnych, deputowany Gabriel Kaspereit — reprezentujący UNR/UDT, Charles Hernu — reprezentujący Federację Lewicy Socjalistycznej i Demokratycznej, deputowani, senatorowie z byłym kandydatem na prezydenta Republiki P. Marcihacy, dziekan korpusu dyplomatycznego w Paryżu — nuncjusz papieski Bertoli.

Przyjęcie, które odbywało się w ogrodzie Ambasady, upłynęło w bardzo serdecznej atmosferze.

AL'OCCASION de la Fête Nationale Polonaise, une réception a réuni dans les jardins de l'Ambassade à Paris de nombreuses personnalités françaises et étrangères chaleureusement accueillies par M. Jan Druto, ambassadeur de Pologne. Nous avons noté la présence de MM. Puaux, Lebel et Froment-Meurisse, ministres plénipotentiaires — représentant le Ministère des Affaires Etrangères, du Boisbéranger — chef du protocole diplomatique, Waldeck Rochet, Jacques Duclos et Roland Leroy — secrétaire général et membres du Bureau Politique du Parti Communiste, Giscard d'Estaing et Michel Poniatowski pour les Républicains Indépendants, Gabriel Kaspereit pour l'UNR/UDT, Charles Hernu pour la Fédération Socialiste et Démocratique, P. Marcihacy — sénateur, Mgr Bertoli — doyen du corps diplomatique.

Le même jour, M. Janusz Mickiewicz, consul général de Pologne à Paris a offert une réception où nous avons noté la présence de nombreux représentants de la colonie polonaise en France et des Associations Oder-Neisse et France-Pologne, des maires des localités de la région parisienne, de personnalités du monde scientifique et artistique, ainsi que des représentants du Corps Consulaire.



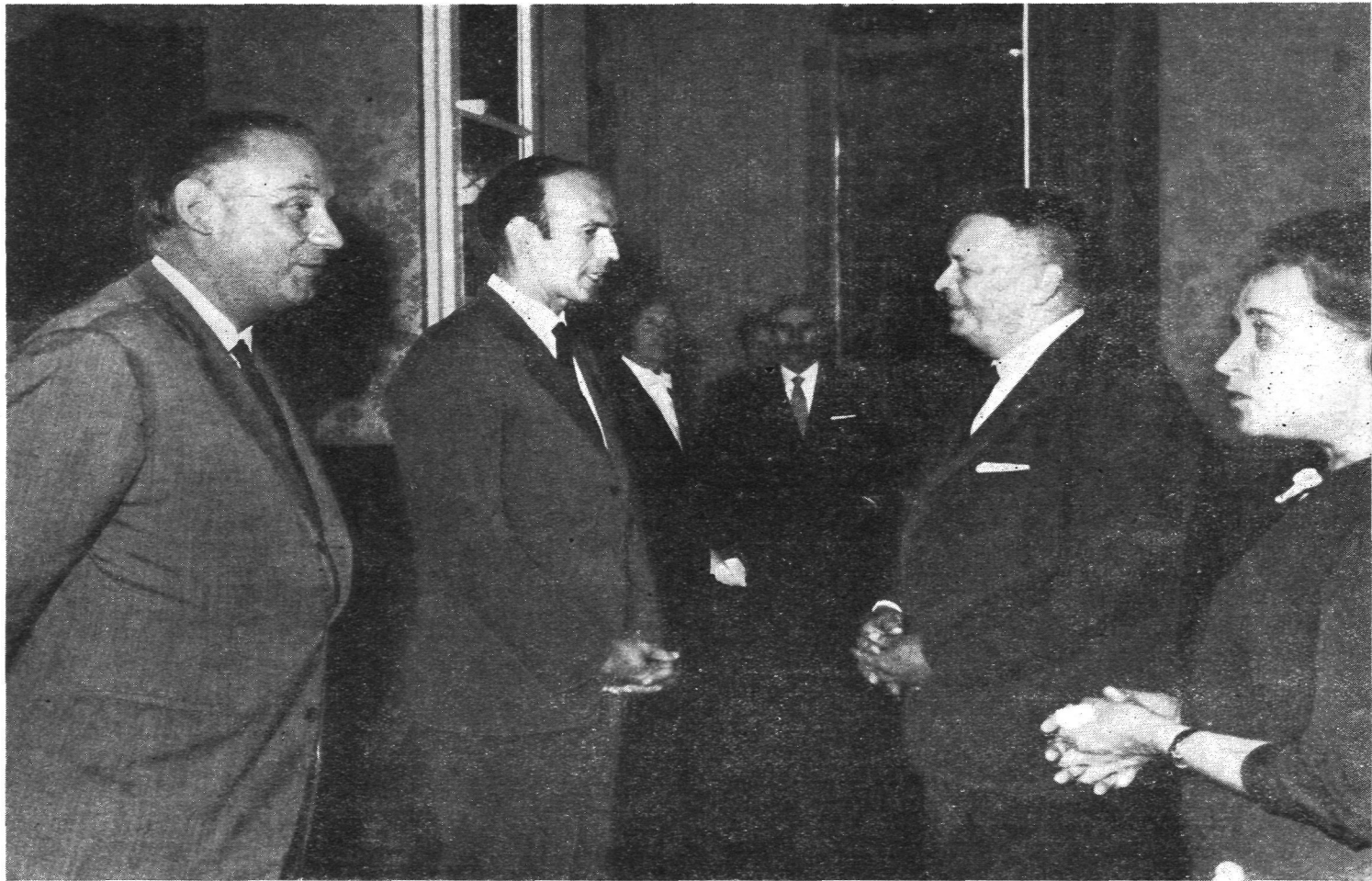
W pięknym ogrodzie Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Paryżu uroczyste przyjęcie wydane z okazji Święta Narodowego 22 Lipca upłynęło w niezwykle milej i serdecznej atmosferze

Na zdjęciu poniżej z lewej: ambasadora ZSRR w Paryżu Waleriana Zorina z małżonką wita ambasador PRL Jan Druto. Na zdjęciu z prawej: powitanie attaché wojskowego USA generała Holisa





Ambasador Jan Druto w rozmowie z sekretarzem generalnym Francuskiej Partii Komunistycznej Waldeck Rochetem. Poniżej: powitanie przybyłego na przyjęcie dziekana korpusu dyplomatycznego w Paryżu nuncjusza Bartoliego



Ambasador PRL w Paryżu Jan Druto (po prawej) wraz z małżonką witają w salonach Ambasady przedstawicieli Niezależnych Republikańców p. Michela Poniatowskiego (pierwszy z lewej) oraz byłego ministra p. Giscard d'Estaing

Zdjęcia: WŁ. SŁAWNY



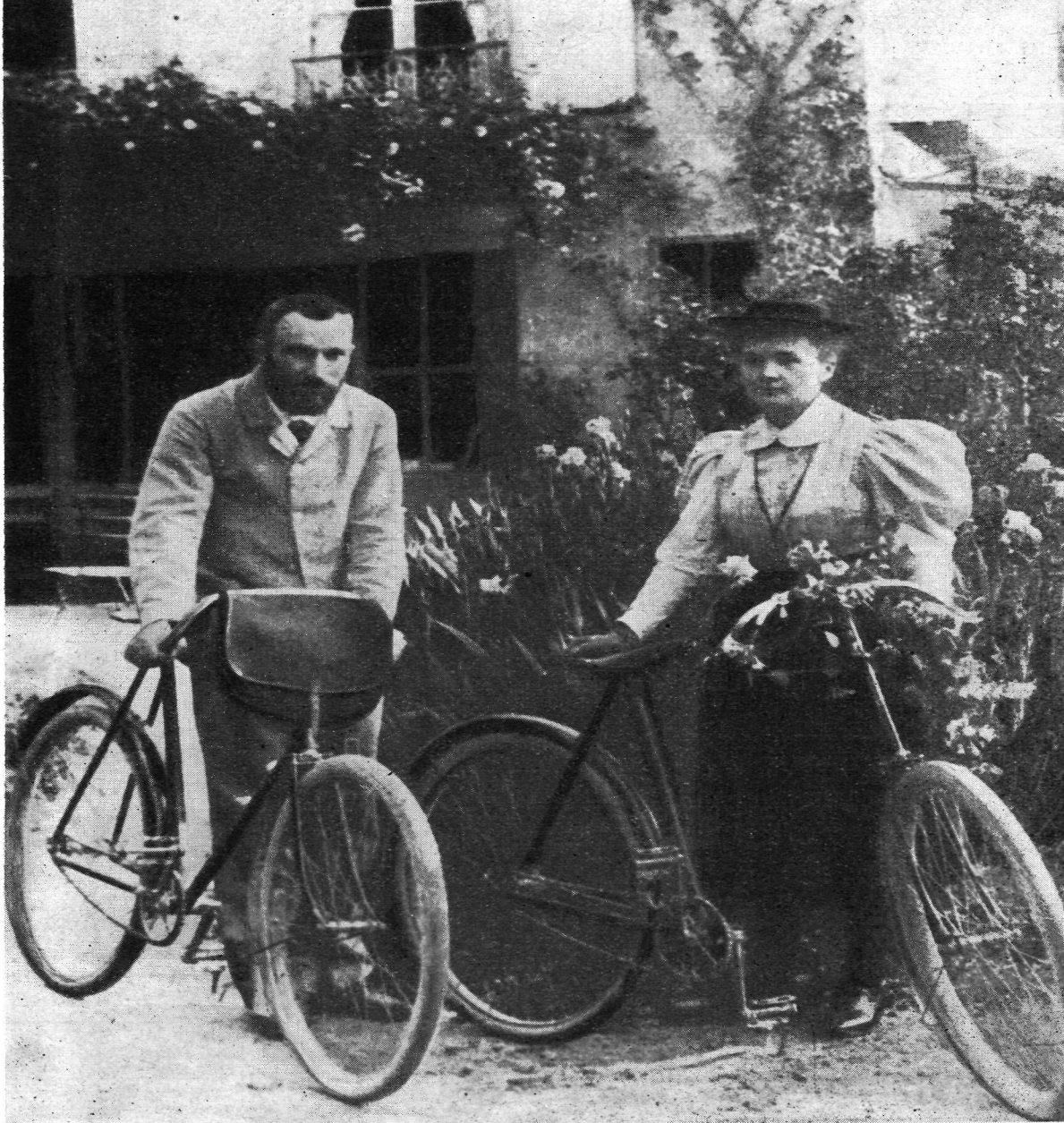
Konsul generalny PRL w Paryżu p. Janusz Mickiewicz (pierwszy z prawej) z małżonką witają przybyłego na przyjęcie do Konsulatu Generalnego w Paryżu dziennikarza francuskiego — prawnuka polskiego poety Adama Mickiewicza pana Goreckiego (po lewej) z małżonką. Na zdjęciach z lewej: licznie przybyli goście francuscy i przedstawiciele Polonii w salach Konsulatu na przyjęciu z okazji 22 Lipca



NA PRZYJĘCIE wydane przez konsula generalnego PRL w Paryżu p. Janusza Mickiewicza przybyli liczni przedstawiciele Polonii francuskiej, przedstawiciele władz naczelnych stowarzyszeń Obrony Granic na Odrze i Nysie i France-Pologne, merowie wielu miast podparyskich, naukowcy, artyści-malarze, przedstawiciele korpusu konsularnego w Paryżu.

Wznoszono toasty za pomyślność Polski, za przyjaźń polsko-francuską.

(Informacje z przyjęć w Lille, Lyonie i Metz ukażą się w następnym numerze „Tygodnika”.)



Maria SKŁODOWSKA-CURIE i Piotr CURIE swoją podróż poślubną odbyli na rowerach

poczynku, wsiedli uradowani na swoje rowery i udali się na wakacyjną wędrowkę. „W ich mniemaniu — pisze Ewa Curie — odpoczynkiem nazywa się przejechać na rowerze Sewenny. W dwa lata potem zwiedzą wybrzeże normandzkie od Havru do Saint-Valéry-sur-Somme, potem zaś jadą na wyspę Noirmoutiers. W 1901 r. są w Pouldu, w 1902 w Arromanches, w 1903 w Tréport, później w Saint-Trojean... Weźcie mapę! Bez mapy nie ma co tych słów czytać!”

Wcześniej, tj. w rok po wędrowce przez Sewenny, w 1899, Maria i Piotr bawili w Polsce, w Zakopanem. Zjechała się wtedy do podtatrzańskiej stolicy cała rodzina, w tym i senior rodu Władysław Skłodowski oraz czwórka jego dzieci: Józef, który był już wziętym lekarzem w Warszawie, z żoną i dwojgiem dzieci, lekarka Bronia z mężem lekarzem Kazimierzem Dłuskim, którzy przybyli niedawno z Paryża po dłuższej praktyce zawodowej, Helena, znana nauczycielka z mężem Szaleym, znawcą grafiki i fototechniki, no i najmłodsza — Mania, ogłaszająca światu wyniki rewelacyjnych osiągnięć naukowych uzyskanych wspólnie z mężem w dziedzinie fizyki. Odyto tu prawdopodobnie naradę rodzinną w sprawie budowanego w Zakopanem sanatorium doktorostwa Dłuskich. Większość jednak czasu spędzano na wycieczkach w Tatry. Piotr Curie początkowo nie był zachwycony okolicą Zakopanego, wydawała mu się jakby za bardzo surowa. Oczarowała go dopiero wycieczka na Rysy, uległ urokowi głębi Tatr, ich wierchom, urwiskom i jeziorom... „Ten kraj jest bardzo piękny — powiedział po polsku po powrocie z Rysów. — Rozumiem teraz, że można go kochać”.

W kilka lat później po tragicznej śmierci męża, kiedy pani Maria nadal kontynuuje prowadzone z Piotrem Curie badania, wykłada na Sorbonie, przeciążona jest licznymi obowiązkami, a przy tym wychowuje córki, też nie rezygnuje z turystyki. Na wakacje w 1911 r., gdy tylko Irena i Ewa skończą rok szkolny, po raz pierwszy zabiera je do Zakopanego, gdzie dziewczynki bawią się z całą gromadką polskich kuzynów, doskonala się w języku polskim, a przede wszystkim chodzą w Tatry. Nawet na kilkudniowe wycieczki. Nocują w schroniskach. Matka towarzyszy im i prowadzi je z wyładowanym plecakiem, w ciężkich turystycznych butach.

Wtedy właśnie wiąże się na dobre z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim, wchodzi do jego Sekcji, namierw turystycznej, a później także do Sekcji Ochrony Tatr. Spotyka tu wielu wybitnych ludzi. I to nie tylko turystów. Na rzecz sprawy ochrony Tatr i jej przyrody, do niedawna bezmyślnie niszczonej, działają w Sekcji m. in. tacy ludzie, jak pisarze: Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski i Kazimierz Przerwa-Tetmajer, wybitny rzeźbiarz Władysław Skoczylas, znakomity geograf Eugeniusz Romer i wielu innych, a Sekcją Turystycz-

W PUBLIKACJACH o Marii Skłodowskiej-Curie jest głównie mowa o jej wielkich sukcesach naukowych. Była przecież pierwszą kobietą, która w nauce wzniosła się na poziom osiągnięć dotąd jedynie przez mężczyzn; pierwszą, której przyznano Nagrodę Nobla, co prawda wraz z mężem, ale sukces ten w kilka lat później, już po śmierci Piotra Curie, powtórzyła indywidualnie, przy czym była pierwszą w ogóle wśród wszystkich laureatów w dziedzinie nagrody, która uzyskała ją po raz drugi. Zasługi Marii Skłodowskiej dla nauki i przeniknięcia tajemnic przyrody, a tym samym dla ludzkości są rzeczywiście ogromne. Ale ta jej naukowa wielkość i stałe niemal przebywanie w gronie ludzi ołbrzymiej wiedzy nie zmieniły jej jako kobiety, żony i matki, kochającej męża, dzieci, rodzinę, dbającej o wychowanie córek, spieszącej z pomocą krewnym i przyjaciołom, przejmującej się ich troskami i kłopotami, czulej na ludzkie sprawy, chociaż życie jej samej nie układało się najlepiej, lecz przeciwnie — pełne było przeciwności i przykrych zawodów.

Oprócz pasjonowania się nauką miała jeszcze Maria Skłodowska drugą umiłowaną dziedzinę — turystykę, wycieczki rowerowe i piesze, nizinne i górskie, morze i wiosłowanie. Córka uczonej, Ewa Curie, w pięknej książce pt. „MARIA CURIE” wielokrotnie wspomina o tym zamiłowaniu matki do turystyki, które zresztą dzielił z nią w całej pełni mąż — Piotr Curie, i które udzieliło się obu córkom — Ewie i Irenie, późniejszej pani Jolliot-Curie.

Również sama Maria Skłodowska w „Autobiografii” napisanej w 1921 roku w Ameryce po angielsku na prośbę przyjaciółki wspomina o swych turystycznych wyjazdach z ojcem na wakacje w górzyste strony Polski, do ówczesnej Galicji. „Pierwsze moje wrażenia z gór — pisze w „Autobiografii” — były bardzo silne. Wychowana na równinie, zachwycałam się wioską tatrzańską, widokiem na szczyty, wycieczkami w doliny i do jezior podniebnych noszących tak obrazowe nazwy jak „Morskie Oko”. A jednak nigdy nie przestałam kochać otwartej przestrzeni i miłych memu oku widoków równin lub z lekka falistej okolicy.

Później miałam okazję spędzić wakacje z ojcem na Podolu i ujrzeć po raz pierwszy morze w Odesie, a innym razem — brzegi Bałtyku. Lecz dopiero we Francji poznałam wielkie fale Oceanu i wieczną zmienność przypiętów i odpływów. Przez całe życie widoki natury cieszyły mnie jak małe dziecko.”

Zamiłowanie do wycieczek odziedziczyła Maria po swym ojcu, Władysławie Skłodowskim, profesorze gimnazjalnym z Warszawy. Był on, między

WŁÓCZĘGI TURYSTYCZNE MARI SKŁODOWSKIEJ - CURIE

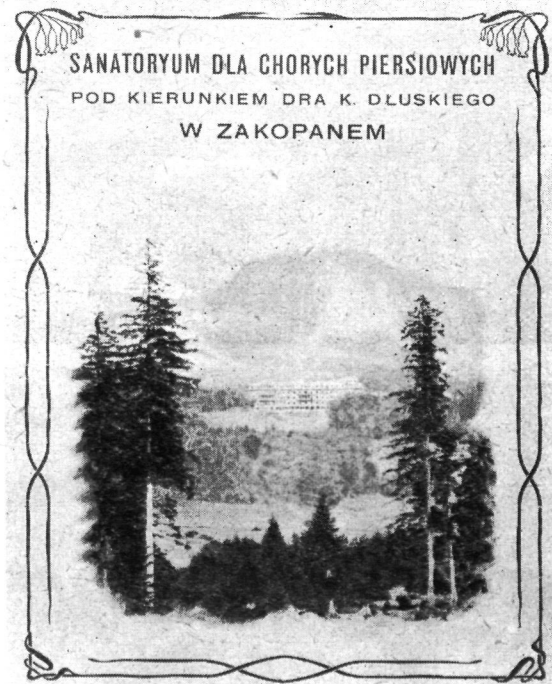
innymi, członkiem najstarszej polskiej organizacji turystycznej, założonej w 1873 r., *Towarzystwa Tatrzańskiego*, które rozwijając swą działalność w Tatrach i Karpatach, znajdujących się wówczas w zaborze austriackim, skupiało Polaków ze wszystkich trzech zaborów, a później również z Wychodźstwa.

Członkiem *Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (PTT)* była również Maria Skłodowska. Znajdujemy jej nazwisko na imiennej liście członków w drukowanych sprawozdaniach Towarzystwa od 1909 roku. W 1912 i 1913 należała ona także do jego *Sekcji Turystycznej*, w której skupiali się członkowie już z pewnym dorobkiem taternickim lub alpinistycznym. Ciekawe, że przewodniczącym tej Sekcji był wtedy prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego dr *Marian Smoluchowski*, podobnie jak pani Maria, światowej sławy fizyk, o wielkich osiągnięciach naukowych, a ponadto znakomity turysta, narciarz i alpinista.

W sprawozdaniu PTT z 1914 r. znajdujemy nazwisko pani profesor Skłodowskiej również w *Sekcji Ochrony Tatr*, do której należała wraz z siostrą *Bronistawą Dłuską*, lekarką prowadzącą w Zakopanem wspólnie z mężem dr *Kazimierzem Dłuskim* pierwsze polskie Sanatorium dla piersiowych chorych.

KIEDY w 1895 roku Maria Skłodowska zdecydowała się na poślubienie Piotra Curie, młode małżeństwo wybrało się w podróż poślubną na... rowerach. Ewa Curie nazwała to w biografii o matce „włóczęgą poślubną”, którą „opromieniła i upiększyła miłość... Wędrując od wsi do wsi i od miasteczka do miasteczka na swych rowerach, zwiędzali małżonkowie malownicze okolice *Ile de France*”. Któregoś dnia pozostawili rowery w jakiejś chłopskiej chałupie i opuścili szosę powędrowali na przelaj, rozkoszując się przyrodą...

W 1898 roku, kiedy państwo Curie mieli za sobą nie tylko odkrycia radu, ale i drugiego pierwiastka, który nazwali „polonem”, kiedy po męczącym i niezwykle wyczerpującym okresie naukowych doświadczeń, potrzebowali gwałtownie wy-



Kartka z Pamiątnika Towarzystwa Tatrzańskiego z widokiem na Sanatorium Dłuskich, które wybudowano z funduszy złożonych przez wybitnych Polaków m. in. Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego. Maria Skłodowska-Curie ofiarowała na ten cel 20 tysięcy franków z kwoty, jaką otrzymała z tytułu przyznanej jej Nagrody Nobla

na i jej wyprawami w Tatry kieruje kolega pani Marii po fachu prof. dr Marian Smoluchowski. Wtedy też przychodzi pani Maria z bardzo wydatną pomocą pieniężną na dokończenie Sanatorium prowadzonego przez dr Dłuskich — jej siostrę i szwagra.

WIOSNĄ 1913 roku Maria Skłodowska przyjeżdża do Warszawy na otwarcie Pracowni Fizycznej Warszawskiego Tow. Naukowego. Władze zaborcze ignorują jej obecność. Tym gorętsze jest przyjęcie ze strony Rodaków. Pani Maria wygłasza w Warszawie po raz pierwszy w swej karierze naukowej odczyt w ojczystym języku. Jest jeszcze słaba po przebytej ciężkiej chorobie, ale po powrocie do Paryża oświadcza córkom, że tegoroczne wakacje spędzą wspólnie w Alpach. I podobnie jak przed dwoma laty w Tatrach, z plecakiem i w podkutych turystycznych butach wędruje po alpejskich trasach. Towarzyszą jej obie córki, ich wychowawczynie i sławny fizyk Albert Einstein wraz z synem. „Tych dwoje genialnych ludzi — pisze Ewa Curie — łączy od paru lat przemile koleżeństwo. Szczerze się podziwiają i lubią nawzajem i godzinami rozprawiają o fizyce, to po francusku, to znów po niemiecku”. Maria była jedną kobietą na świecie, która o sprawach z najwyższych regionów fizyki i matematyki mogła rozmawiać z Einsteinem jako równy partner.

„Młodzi, których zachwyca ta wycieczka — pisze dalej Ewa — idą przodem. Cokolwiek z tyłu za nimi Einstein, wymowny i natchniony, wyklada swoje teorie, ciesząc się, że wreszcie może o nich mówić do syta z kimś, kto je naprawdę rozumie. Maria jest jedną z niewielu zdolnych do tego osób, dzięki swej niezwyklej kulturze matematycznej.

Irena i Ewa podchwytywają od czasu do czasu zdania, które im się wydają co najmniej dziwne. Einstein zaabsorbowany, drapie się po skatach, mija nie widząc ich nawet wiele groźnych przepaści. Nagle zatrzymując się chwytając rękę Marii i woła: — Rozumie pani, chciałbym wiedzieć, co się dokładnie dzieje z pasażerami spadającej windy...

Ta rozczulająca ciekawość pobudza do szalonego śmiechu młodą gromadkę, która nie przypuszcza wcale, że z tym wyimaginowanym spadaniem w windzie mogą się wiązać zagadnienia z dziedziny teorii względności.

W LATACH po pierwszej wojnie jeździ Maria Skłodowska na wakacje z córkami do Bretanii. Mieszka w małej nadmorskiej wiosce Larcouët, gdzie jest pięknie i gdzie nie ma letników; jest natomiast spokój, możliwość prawdziwego wypoczynku, kontakt z morzem, przyrodą, prostymi bezpretensjonalnymi ludźmi. Najpierw wynajmuje mieszkanie w domku rybackim, później wille, wreszcie tę wille kupuje. „Wybrała najdalej i najbardziej wietrzny zakątek nad morzem, usianym tysiącem wysepek, które czynią tu wodę spokojną nie dopuszczając wysokich fal do brzegu...”

Z czasem w jej ślady pójdzie wielu wybitnych uczonych francuskich, którzy zjeżdżali tu na lato, tu wypoczywali, tworzyli zwartą grupę i wspólnie zabawiali się w „marynarzy”. Mieli dwie żagłowniki i sześć łodzi. Wybierali sobie admirala, dzielili między siebie poszczególne funkcje, dzieci spełniały rolę chłopców okrętowych, a profesorowie Sorbony, wielcy uczeni, zasiadali przy wioślach, wykonując posłusznie rozkazy wyższych od siebie w hierarchii marynarskiej przełożonych. Kiedy indziej urządzali zawody pływackie, ścigali się w wodzie, porównywali swoje style, cieszyli się postępami w umiejętności pływania. Córka Ewa, w biografii poświęconej matce, zdradziła, że Maria

86. Reych Edward.
87. Rittersschild Zdzisław.
88. Romaniszyn Bronisław.
89. Romer Eugeniusz, prof. dr.
90. Różańska Ewa.
91. Różańska Marya.
92. Rudzki Stefan, dr.
93. Rzewnicki Jan.
94. Schiele Aleksander.
95. Schiele Kazimierz.
96. Seidler Artur.
97. Sienkiewicz Henryk.
98. Sienkiewiczówna Jadwiga.
99. Skłodowska-Curie Marya, prof. dr.
100. Skoczylas Władysław.
101. Stecki Konstanty.
102. Stegmanowa Wanda.
103. Szczawiński Zygmunt.
104. Szymborski Wincenty.
105. Świerż Mieczysław.
106. Taszycki Zygmunt, dr.
107. Terlecki Alfred.
108. Tetmajer-Przerwa Kazimierz (wsp.).
109. Trenklerówna Elżbieta (wsp.).
110. Uznański Jerzy Szamb. (zał.).
111. Wernik Konrad.
112. Weyberg Zygmunt, prof. dr.
113. Wilczyński Henryk, dr. (wsp.).
114. Wislocki Adam.
115. Worosz Leopold.
116. Wróblewski Witold.
117. Zakrzewski Wacław, dr.
118. Zieliński Konrad, dr.
119. Znamiecki Aleksander.
120. Zwoliński Tadeusz.
121. Żeromski Stefan.
122. Zmudziński Franciszek.
123. Żulawski Jerzy, dr.
124. Zychon Józef, dr. (wsp.).

Fragment Rocznika PTT za rok 1914. Nazwisko Marii Skłodowskiej-Curie wymienione jest w Roczniku kilkakrotnie. Na reprodukcji spis członków Sekcji Ochrony Tatr. Podkreśliliśmy wybitne nazwiska, ale i inne zasługują na uwagę. Bronisław Romaniszyn, to znany muzykolog, bracia Schiele, Mieczysław Świerż, Zdzisław Rittersschild i Tadeusz Zwoliński, to nazwiska dobrze zapisane w dziejach ochrony niebanalnego piękna polskich Tatr

Skłodowska, mając przeszło pięćdziesiąt lat, była wśród francuskich uczonych najlepszą pływaczką swego pokolenia. Wieczorami w czasie wakacji w Bretanii owijała się we włochatą pelerynę i z córkami kilometrami wędrowała brzegiem morza.

*

Zamknięcia turystyczne Marii Skłodowskiej-Curie, którym była wierna od dziecka niemal aż do ostatnich miesięcy życia, były dla niej wytnieniem i dodawały jej sił do prowadzenia wyczerpujących badań naukowych oraz intensywnej pracy pedagogicznej, a także pokonywania niezliczonych trudności, jakie piętrzyły się w jej codzienności.



Znakomity uczone Albert Einstein w rozmowie z córką pani Marii, Ireną Joliot-Curie wspominającą czasy, kiedy za życia Marii Skłodowskiej odbywali wspólne wycieczki po Alpach. Córki Skłodowskiej i syn Einsteina maszerowali przodem, podczas gdy para uczonych pochłonięta była rozmową o fizyce

Tygodniowa GAWĘDA

◆ Już po egzaminach ◆ Wykład „mini-dziewczęcia” ◆ Warto zostać lekarzem

UBIĘ OD CZASU DO CZASU, by zupełnie nie zeskorupieć i nie usprawiedliwiać nazwy „wapniaka”, którą niektórzy młodzi ludzie w Polsce obdarzają swoich rodziców, poobrać się wśród młodzieży, posłuchać co oni mówią o swych problemach, podyskutować z nimi.

Ostatnio zetknąłem się z grupą, w której przeważali studenci medycyny, wśród nich znalazł się i nowo upieczony, tuż po egzaminach wstępnych. I wokół tych egzaminów potoczyła się rozmowa. Wiadomo, że znacznie więcej młodzieży chciałoby studiować niż miejsc na wyższych uczelniach, stąd egzaminy, i tylko najlepsi przedostają się przez sito.

— Czy sito jest sprawiedliwe? — zadałem prowokacyjne pytanie.

— O, tak — odpowiedział „nowo upieczony” — sprawiedliwe.

— To zależy od tego, kto ocenia tę sprawiedliwość — sprostował inny student, już trzeciego roku. — Myślę, że gdyby pan zadał to pytanie komuś, kto nie został przyjęty, otrzymałby pan odwrotną odpowiedź.

— Fakt, że egzaminatorzy skarżą się na nie najlepsze przygotowanie zdających — dorzuciła paniemka w bardzo mini-spódniczce, wyglądająca raczej na uczennicę. Dlatego też zapytałem:

— Skąd pani wie, przecież pani chyba jeszcze nie studiujecie?

Wybuchnęli śmiechem. Okazało się, że to mini-dziewczę jest najbardziej zaawansowane w studiach z wszystkich moich rozmówców, jest już na czwartym roku medycyny. Chcąc więc zatuzować swoją gafę, zwróciłem się do niej z kolejnym, choć nieco żartobliwym pytaniem, dotyczącym studiów medycznych. W odpowiedzi usłyszałem dojrzały referat.

Oto, co z niego wynikało: Medycyna należy do „feminizujących się” kierunków studiów, tzn., że coraz większą przewagę zdobywają kobiety. Studia nie są łatwe ani krótkie. Po reformie, przeprowadzonej przed dwoma laty, same studia trwają lat sześć, po czym absolutnie musi odbyć dwuletni staż i dopiero wtedy uzyskuje prawo praktyki. Zdobycie specjalizacji I stopnia — to sprawa dalszych trzech lat i kolejnego egzaminu, specjalizacja drugiego stopnia — to znów lata. Oddzielnie doktorat...

— Czy w tej sytuacji kuszne było przedłużenie studiów? — zapytałem. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałem odpowiedź twierdzącą:

— Tak, tym bardziej, że obecnie zwraca się coraz więcej uwagi na praktykę studenta, poczynając już od I roku studiów. Rezultat jest ten, że młody lekarz po stażu rzeczywiście jest „oblatany”. Przez pierwsze dwa lata prowadzą nas na studiach „za rączkę” i wtedy też jest największy odśwież; kto przez to przebrnie, na ogół już nie rezygnuje do końca.

— Czy jednak tak długie studia nie zniechęcają młodzieży?

— Jak widać, nie. Zresztą większość studentów korzysta ze stypendiów, oczywiście rodzice pomagają...

— A poza tym — dodał z uśmiechem inny student — co pan doktor — to pan doktor. Przeprowadzaliśmy w ubiegłym roku (jestem na socjologii) badania społecznej oceny hierarchii zawodów. Lekarz zajmuje w tej hierarchii bardzo wysoką pozycję. Bardzo często spotykało się takie sformułowania: „doktor (mieli na myśli lekarza) nigdy i nigdzie nie zginie, zawsze da sobie radę”.

Zarzuciłem jeszcze jeden haczyk:

— Ale lekarze nie zarabiają najlepiej...

Tu spotkałem się z repliką: Nie jest tak źle. Oczywiście pracować trzeba dużo, ale np. jeśli ktoś zdecyduje się po stażu osiąść w małym miasteczku lub na wsi i nie zanieczyliwać przy tym wzbogacania swojej wiedzy, może wcale nieźle żyć.

MARIAN

PALCEM PO MAPIE POLSKI

Skorowidz nazw miejscowości w Polsce zawiera sporo ciekawostek:

● Najwięcej miejscowości w Kraju nosi nazwę Nowej Wsi. Nowe Wsie, których jest 60, wyprzedzają Dąbrowy (48), Dąbrówki i Rudy (po 37), Zalesia (33) i Białe (31). Sporo jest jeszcze Bud, Wysockich Górek, Biskupiec, Kamionek. Warto dodać, że Nowych Wsi jest 4 razy więcej niż Starych...

● Zdecydowanie największa liczba nazw miejscowości wywodzi się od imion i drzew. Od Jana np. biorą się nazwy 82 miasteczek i wsi, od Pawła pochodzi 40 nazw, a od Michała — 29. Jeśli idzie o drzewa, prym wiedzcie grab, od którego wzięło nazwę 101 miejscowości i brzoza (83 miejscowości m. in. 17 Brzezin, 15 Brzeźnic).

● Nie mniejsze „zasługi” w nazewnictwie ma fauna polskich lasów. Na pierwszym miejscu plasuje się wilk — i tak mamy m. in. Wilczą Górkę, Wilczą Wolę, Wilcze Gardło, Wilcze Kąty, Wilcze Łaski, Wilczopole, Wilczęta, Wilkowyje (3), Wilczyńska itp. Jest również 8 wsi o nazwie Niedźwiedz i tylko jedna Niedźwiedzica.

● Z niewielkimi uszczerbkami można by z nazw miejscowości sporządzić cały kalendarz. Jest więc: Poniedziałek, Środa, Piątek, a nawet Wielki Piątek. Licząc z przyszłkami są także nazwy wszystkich miesięcy.

Rozmawiamy z prezesem „France-Pologne” w Pas-de-Calais



POZYTYWNY BILANS

SALLAUMINES, Pas-de-Calais, szkoła im. Emile Basly. Mimo iż wakacje rozpoczęły się już dość dawno, dyrektor **Aimé Laly** nadal jest zapracowany, zastać go w domu jest równie trudno jak przedtem, jak przed wakacjami. Bo p. Laly jest departamentalnym prezesem stowarzyszenia „France-Pologne” w Pas-de-Calais, zaś departamentalny komitet „France-Pologne” w Pas-de-Calais jest komitetem niezwykle dynamicznym, aktywnym. Stąd ta masa zajęć. — Mąż pojechał do Lens — wyjaśnia nam pani Laly. — Zegnał tam uczestników naszej wycieczki do Polski. Bo dziś właśnie odbył się wyjazd pierwszej z zorganizowanych przez „France-Pologne” w Pas-de-Calais wycieczek do Polski.

Oto wreszcie i sam p. Laly. — Pojechali i ludzie całkiem młodzi, i ludzie starsi także — tłumaczy. — W tej naszej pierwszej tegorocznej wycieczce do Polski mamy trzy nauczycielki, trzech emerytów, instruktorkę gospodarstwa domowego, dwóch robotników fabrycznych, dwie studentki, itp. Są więc reprezentowane bardzo różne środowiska — podobnie zresztą jak w naszych lokalnych komitetach. Jeśli zaś idzie o narodowość, to większość stanowią w tej pierwszej wycieczce rodowici Francuzi. Z ramienia naszego departamentalnego komitetu pojechał z nimi sekretarz do spraw kulturalnych — **pan Ignacy Flaczyński** z Houdain. Drugą wycieczkę, 30 osób — wysłaliśmy do Polski 5 sierpnia. Tej drugiej wycieczki ja już zegnać w Lens nie będę — bo będę już w tym czasie w Polsce. I ja także jadę bowiem w tym roku na wakacje do Polski.

Notujemy, i zaczynamy:

— Dużo ludzi jest zdania, że komitet „France-Pologne” w Pas-de-Calais jest jednym z najaktywniejszych, a może nawet i najaktywniejszym komitetem stowarzyszenia we Francji. Ze jest to komitet wiodący...

— To chyba gruba przesada — p. Laly jest, jak się okazuje, człowiekiem skromnym. — Przeświadczony jestem, że w wielu innych departamentach przyjaciele Polski pracują tak samo jak my, a może nawet i lepiej niż my. My tutaj w Pas-de-Calais — no cóż — robi się, co się tylko może, a czasem — to prawda — nawet i nieco więcej. W minionym roku — mówię o „minionym roku”, bo dla nas rok ma 9 lub 10 miesięcy; zaczynamy pracę w październiku, a kończymy w lipcu — więc w minionym roku stanęliśmy już niewątpliwie na dość mocnych nogach. Zwiększyła się znacznie liczba naszych komitetów lokalnych. Mamy teraz komitety w Rouvroy (ten komitet ma 250 członków; jest to największy lokalny komitet „France-Pologne” we Francji; kieruje nim zastępca mera Rouvroy — p. Jajek, i sekretarz merostwa p. Caron), Harnes (w Harnes dzielnie pracują pani **Gaboriau** i p. **Gheysens**), Houdain, Calonne-Ricouart (komitetem w Calonne kieruje pp. **Roger Desoutter** — profesor liceum, **Heuse** — dyrektor szkoły i **Zbigniew Sulek** — prezes lokalnego polskiego Komitetu Towarzystw Miejscowych), Haillicourt, Drocourt (prezesem jest tam francuski kupiec), Neuville-Saint-Vaast. Zaraz po wakacjach ukonstytuowane zostaną nowe komitety w Sallaumines i Bruay-en-Artois. W minionym roku zorganizowaliśmy także szereg wystaw i uroczystości gwiazdkowych. Co się tyczy naszych „Arbres de Noël”, to śmiało można o nich powiedzieć, że były to imprezy udane. A już całkiem wyjątkowo udane były „gwiazdki” w Houdain i Rouvroy. Jeśli zaś idzie o wystawy, to eksponowaliśmy polskie plakaty artystyczne, plansze fotograficzne, obrazujące osiągnięcia polskiej architektury oraz plansze prezentujące „20 lat Polski Ludowej”. Urządziliśmy także wystawę pod nazwą „La Pologne sur votre table”. Tu, w Sallaumines, i w Drocourt. Było to pewne novum. Ale o tym później. Na razie — o naukach płynących z dotychczasowych wystaw „tradycyjnych”. Przekonał się, że wystawy poświęcone Polsce w

ogóle — takie, jak „20 lat Polski Ludowej” na przykład — to nie są wystawy najszcześliwiej dobrane. U nas w Pas-de-Calais „wszystkoizm” się nie opłaca. My nie mamy do czynienia z ludźmi, którzy o Polsce nic nie wiedzą. U nas czeka się na informacje bardziej konkretne, na wystawy obrazujące te dziedziny życia współczesnej Polski, którymi ludzie interesują się niejako sami z siebie. Górników interesuje przede wszystkim górnictwo, nauczycieli — szkolnictwo, itd. itp. Generalnie rzecz biorąc, o zainteresowaniach danego człowieka stanowi przede wszystkim wykonywany przez niego zawód. Musimy się z tym liczyć. Musimy pamiętać, że są takie wystawy, które przemówią naprawdę tylko do określonego grona ludzi, i to pod warunkiem, że będą komentowane fachowo, przez specjalistę. Jak to będzie wyglądało w praktyce? Dam wam przykład. Po wakacjach nadejdzie do nas wystawa o polskim przemysle węglowym. Otóż wystawę tę pokazywać będziemy przede wszystkim na terenie kopalń — a komentować ją będzie inżynier-górnik, p. **Planque**. Tak to będzie wyglądało.

...A wystawa „La Pologne sur votre table” — to było rzeczywiście coś nowego. Zwróciliśmy się do firm importujących z Polski wódkę, piwo, artykuły spożywcze i wyroby sztuki ludowej. Eksponowaliśmy — i sprzedawaliśmy, bo wystawa połączona była ze sprzedażą — polskie kiełbasy, wódki, itd. Mieliliśmy tłumy zwiedzających. Okazało się między innymi, że wielu naszym Rodakom żadne piwo nie smakuje tak bardzo, jak polskie — którego niestety nigdzie u nas nie można dostać! Napiszcie panowie o tym w „Tygodniku”. To też jest ważne. Może weźmie sobie to do serca któryś z francuskich importerów albo któryś z polskich eksporterów? — Oby!

...Co jeszcze robiliśmy w minionym roku? — Urządziliśmy zabawy taneczne — żeby zarobić trochę grosza, no bo samym entuzjazmem się przecież nie wyżyje. W kwietniu zorganizowaliśmy w Sallaumines zebranie informacyjne poświęcone turystyce w Polsce z udziałem kierownika paryskiego biura „Orbisu” p. **Janusza Piewcewicza**. No i urządziliśmy dwie wycieczki do Polski. A propos wycieczek do Polski: także i w tej materii z dotychczasowej praktyki płyną dla nas pewne nauki. Przekonał się na przykład, że do organizowania wycieczek do Polski należy się zabierać nie w lutym — a tak robiliśmy — ale już w październiku, zaraz po wakacjach. Na przyszły rok planujemy wycieczki dużego formatu. Zorganizujemy chyba wycieczkę na Mazury. Sądzę, że taka wycieczka może zainteresować tak przecież licznych w naszym górniczym regionie wędkarzy...

I prezes Laly konkluduje:

— Można chyba powiedzieć, że bilans naszej szeszciorocznej działalności jest pozytywny. Nasze starania, zmierzające do ukazania coraz większej liczbie ludzi życia Polski, w znacznej mierze uwieńczone zostały sukcesem. Z różnych środowisk oraz o różnych horyzontach intelektualnych i światopoglądowych doszło do nas wielu nowych francuskich przyjaciół Polski. Mamy na swoim koncie niebagatelną liczbę francusko-polskich imprez. Miniony rok był więc dla nas rokiem obiecującym, rokującym wielkie nadzieje. Ten pozytywny bilans zawdzięczamy nie tylko swojej własnej pracy, ofiarności naszych działaczy, ale także i wielu merom i radnym gminnym, przychylności i pomocy tych ludzi, a także przychylności i pomocy Konsulatu PRL w Lille. Wszystkim tym, którzy pomogli nam i pomagają pragnę za pośrednictwem „La Semaine Polonaise” raz jeszcze serdecznie podziękować...

My ze swej strony dziękujemy p. Laly za udzielenie nam wywiadu i życzymy mu szczęśliwej podróży i miłego pobytu w Polsce.

sk.

W 23 rocznicę wyzwolenia Caen

W Caen, w departamencie Calvados, odbyła się z okazji 23 rocznicy wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej piękna manifestacja. Oprócz przedstawicieli około 80 organizacji kombatanckich oraz francuskiego Ruchu Oporu w uroczystości wzięli udział osobisty przedstawiciel prezydenta de Gaulle'a — p. **Hettier de Boislambert**, były minister Ministerstwa Kombatanatów — p. **Triboulet**, prefekt Nadprefektury na okręg Normandii, prefekci departamentów, senatorowie, mer miasta Caen i inne osobistości oraz licznie przybyłe społeczeństwo. Na uroczystość zostali również zaproszeni przedstawiciele państw, których wojska brały udział w wyzwoleniu miasta Caen, tj. Polski, Kanady, USA i Anglii.

Polskę w Caen reprezentował p. konsul **Stanisław Pichla** i attaché konsularny p. **Zygmunt Karczewski**.

W przemówieniach osobisty przedstawiciel prezydenta de Gaulle'a — p. **Hettier de Boislambert**, prefekt Nadprefektury Normandii, mer miasta Caen, przedstawiciele Kanady i USA podkreślali ogromniszeń w mieście w trakcie działań wojennych, barbarzyństwo okupanta oraz wspólne braterstwo broni w walce z najeźdźcą i heroizm żołnierzy polskich w wyzwoleniu miasta Caen spod okupacji hitlerowskiej.

Konsul PRL p. **Stanisław Pichla**, przemawiając na uroczystości podkreślił wielki udział żołnierzy oraz polskich uczestników Ruchu Oporu w wyzwoleniu Francji, ich braterstwo, które przyczyniło się do zwycięstwa nad faszystwami oraz dążność Polski do utrwalenia pokoju na świecie.

Uroczystość w Caen była nie tylko piękną manifestacją w 23 rocznicę wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej, lecz przypomnieniem społeczeństwu tragedii ostatniej wojny i okupacji hitlerowskiej we Francji, a szczególnie w Caen — mieście, które podczas działań wojennych zostało zniszczone w 90 procentach.

Na zakończenie uroczystości mer miasta Caen wydał bankiet w salonach merostwa.

„MISS COUTURE”

A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)

Siedziba: 199, rue de Paris LILLE

Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice

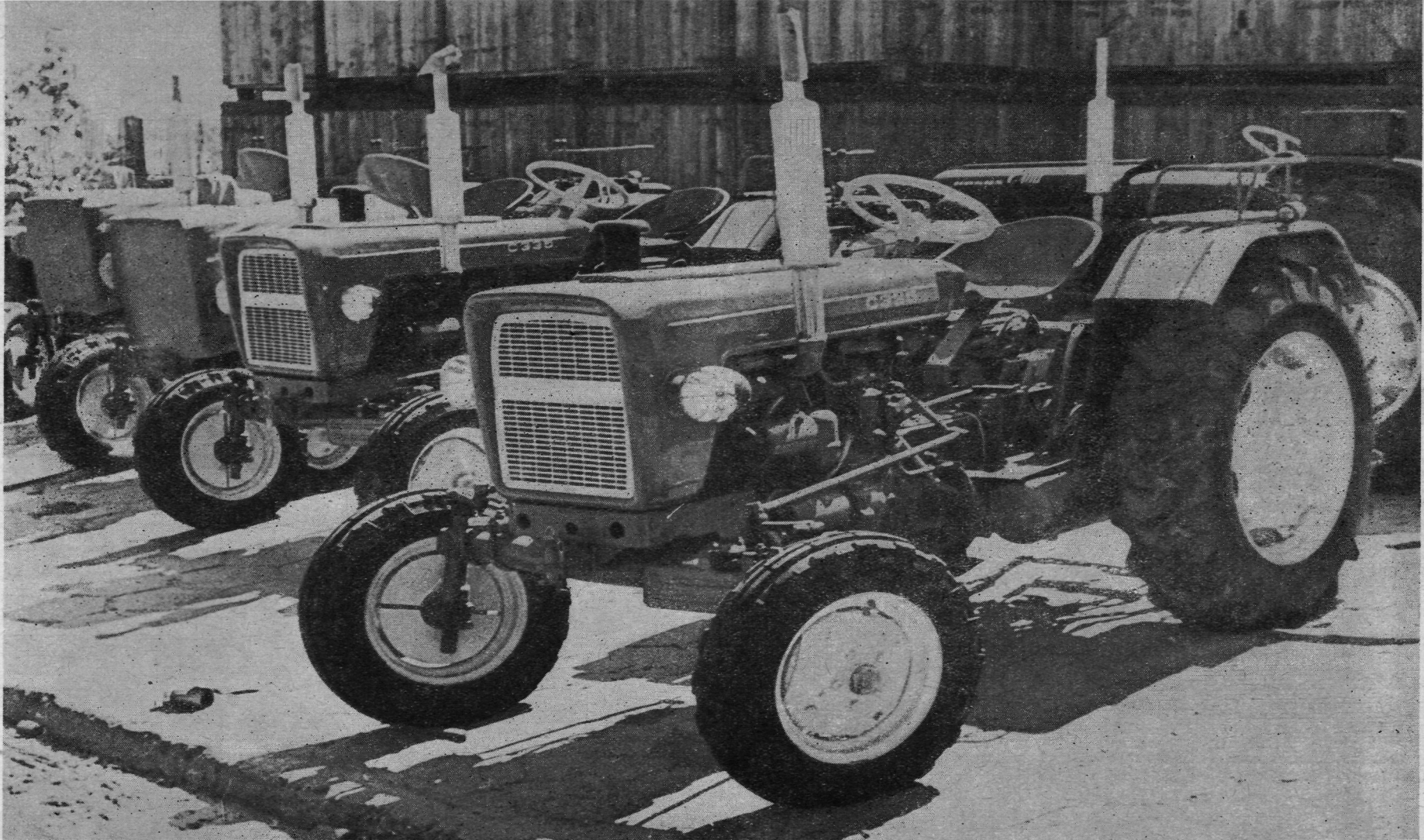
■ swetry ■ bluzki

■ popeliny ■ tergal

PIERZE • WSYPY • POSZWY • DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki



Ciągniki „URSUS-335” weszły na taśmę montażową przed kilkoma miesiącami. Znalazły one wielu nabywców na rynkach europejskich i pozaeuropejskich

FONDÉE à Varsovie il y a 74 ans, l'Usine de Robinetterie et de Moteurs, devint vite la plus grande usine de moteurs dans le Royaume de Pologne (partie du pays incorporée à la Russie des tsars). Après la première guerre mondiale, ses activités furent transférées à Ursus, petite bourgade de la banlieue. Connue désormais sous le nom d'Usines Mécaniques URSUS, l'entreprise fabriqua du matériel militaire, des motocyclettes, des camions, des moteurs Diesel, des moteurs d'aviation. Commencée en 1922, la production de tracteurs agricoles ne prit que peu l'ampleur.

Au lendemain de la dernière guerre, l'usine avait pratiquement disparu — machines pillées par les Allemands, installations détruites, ateliers dévastés. Pourtant, dans le défilé du 1-er Mai 1947 figuraient déjà les deux premiers tracteurs URSUS, engins encore primitifs mais remplissant de fierté leurs constructeurs.

En 1953, le tracteur frappé du numéro 20.000 quittait l'usine, en 1957 c'était au tour du 50.000-e, en 1963 — du 100.000-e, cette année le 180.000-e URSUS labourera les champs.

Ce sont actuellement des tracteurs agricoles et routiers de 40 et 45 ch, partiellement construits en coopération avec l'usine tchèque „Zetor”. Quarante six pays du monde entier figurent sur la liste des importateurs. L'Inde seule a acheté l'an dernier quatre mille URSUS, engins testés par l'Université du Nebraska, le Centre National d'Etudes et d'Expérimentation à Anthony (Seine) le Departamento Technico do Igga du Brésil...

Récemment la firme française „Somapol” a signé un contrat pour la livraison échelonnée de deux mille URSUS C-335, le „dernier-né” de cette belle série. Un service après-vente sera organisé par l'usine polonaise pour les agriculteurs français.

Sur les champs et les routes de Pologne il y a actuellement quelque 150 mille URSUS, cette année 33 mille quitteront l'usine. En 1970 la production annuelle atteindra 47 mille, dont une part importante destinée à l'exportation. Il semble que la silhouette des URSUS deviendra familière également aux utilisateurs français.

DWA TYSIĄCE « URSUSÓW » DLA FRANCUSKICH ROLNIKÓW

PRZED 74 LATY założono w Warszawie firmę pod nazwą Fabryka Armatur i Motorów. Zakład ten był największym producentem silników na ziemiach polskich w byłym zaborze rosyjskim. Silniki produkowane w fabryce znane były na terenie całego imperium carskiego. Po I wojnie światowej w podwarszawskiej osadzie fabrycznej — Ursusie — rozbudowane zostały Zakłady Mechaniczne znane odtąd jako „Ursus”. Produkowały one sprzęt wojskowy, motocykle „Sokół”, samochody ciężarowe PZI, silniki wysokoprężne, silniki lotnicze, ciągniki wojskowe i wiele wyrobów odlewniczych. W 1922 roku zbudowano w Polsce pierwszy ciągnik o napędzie spalinowym, przeznaczony dla rolnictwa. Produkcja ta nie rozwinęła się na szerszą skalę, ale dała dobre początki. Wojna zniweczyła jednak cały dorobek „Ursusa”.

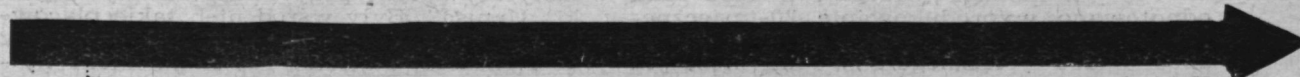
Po II wojnie światowej załoga wróciła do pustych i zniszczonych hal. Okupant wywioził urządzenia, a całą fabrykę zdewasto-

wał. Zakłady Mechaniczne „Ursus” przystosowano z konieczności początkowo do remontu taboru samochodowego.

Polskie rolnictwo wymagało tymczasem szybkiej mechanizacji robót. Trzeba więc było podjąć decyzję stworzenia od podstaw polskiego przemysłu ciągnikowego. Wybór padł oczywiście na Zakłady Mechaniczne „Ursus” w Ursusie pod Warszawą. Okazał się on nadzwyczaj szczęśliwy.

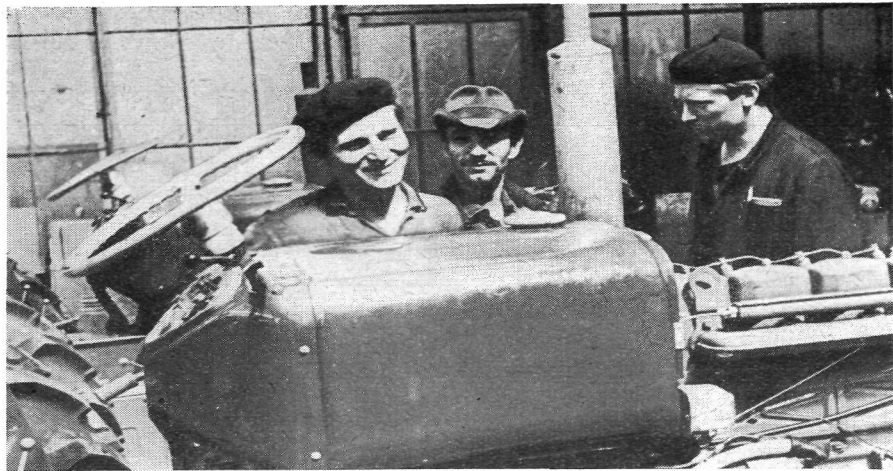
Pomiędzy opisy trudnych wstępnych przygotowań do produkcji traktorów. Podajmy tylko, że w pierwszomajowym pochodzie w roku 1947 jechały w kolumnie pojazdów mechanicznych po raz pierwszy dwa traktory ze znakiem fabrycznym „Ursus”. Były niezgrabne, huczące metalowymi kołami, ale były pierwszymi ciągnikami wykonanymi w Polsce Ludowej.

Te pierwsze dwa ciągniki skierowano do Pырzyc w województwie szczecińskim, celem przeorania kilkuletnich odłogów. Ciąg-

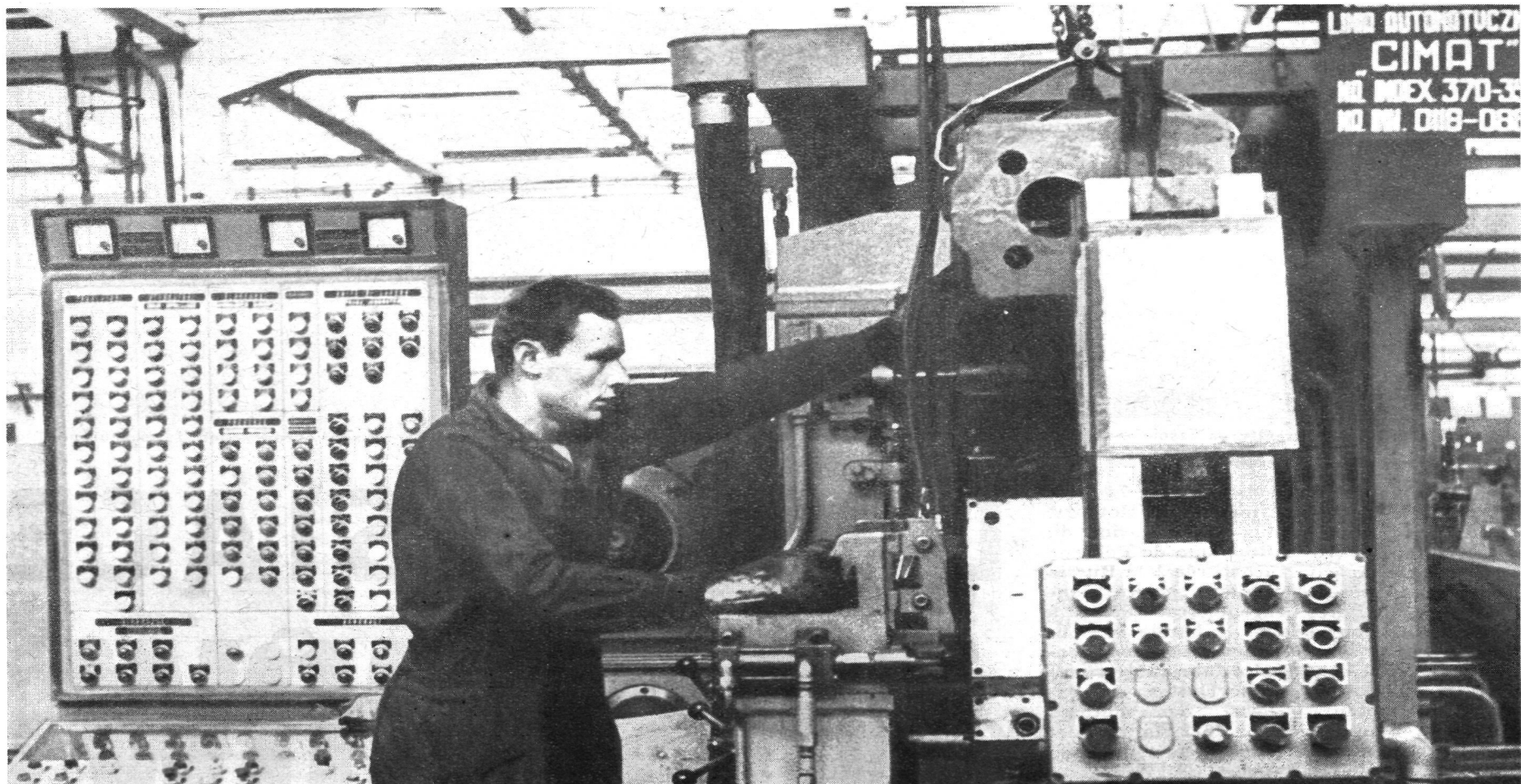


DWA TYSIĄCE «URSUSÓW»

DLA FRANCUSKICH ROLNIKÓW



Elektrycy-instalatorzy: Wiktor Mucha, Stanisław Głowacki i Jan Lange. Poniżej: technik Wacław Nossakowski obsługujący jedną z linii automatycznych



nik numer 0001 otrzymali w Karsku traktorzyści Maciejewski i Olejniczak. Zaorali na jesieni 600 hektarów zachwaszczonej ziemi. Pierwszy ciągnik przepracował 12 tysięcy godzin bez kapitalnego remontu i jeszcze siedem lat później orał ziemię na zachodnich terenach Kraju.

Rosło z latami doświadczenie załogi, modernizowano i rozbudowywano Zakłady Mechaniczne „Ursus”. Z taśm produkcyjnych schodziły nowe prototypy ciągników o różnym przeznaczeniu dla różnych gleb. Istotny postęp w produkcji dobrych jakościowo traktorów zanotowano w latach sześćdziesiątych. Od 1962 roku datuje się współpraca produkcyjna „Ursusa” z podobnymi zakładami w Kladnie w Czechosłowacji, produkującymi traktory typu „Zetor”.

Czechosłowacy, gdy im zaproponowano współpracę, nie wierzyli, by Polacy umieli produkować nowoczesne traktory. Ich produkcja miała lepszą markę w świecie. Gdy jednak zwiedzili Zakłady „Ursus”, nie mogli wyjść z podziwu. Podpisali umowę szybko i bez zastrzeżeń.

*

MINĘŁO JUŻ 20 LAT od wyprodukowania pierwszego polskiego ciągnika po wojnie. W okresie tym kilka dat jest szczególnie ważnych w historii „Ursusa”. W 1953 roku odnotowano wyprodukowanie 20-tysięcznego ciągnika, w 1957 — 50-tysięcznego, 1963 — 100-tysięcznego i w roku bieżącym Zakłady opuszcza ciągnik z numerem 180.000.

Obecnie z taśm montażowych Zakładów Mechanicznych w Ursusie schodzą ciągniki o mocy 40 i 45 KM, o najwyższym standardzie światowym i estetycznej sylwetce, znajdujące nabywców na całym świecie.

Na przestrzeni zaledwie kilkunastu lat Polska z importera stała się eksporterem ciągników. Pierwsze „Ursusy” były eksportowane m. in. do Grecji, Francji, Chin, Brazylii, Hiszpanii, Indii i Korei. Nikły był to jeszcze eksport — zaledwie 6 tysięcy sztuk na przestrzeni 12 lat. Odbiorcy czasami wnosili reklamacje i zastrzeżenia. Opracowany w 1956 roku uniwersalny ciągnik typu „Ursus-325” miał już europejski poziom i otworzył dalsze rynki światowe dla polskiego eksportu.

Dziś na liście importerów polskich „Ursusów” znajduje się 46 państw Europy, Azji i Ameryki Południowej. W Indii specjaliści z podwarszawskiego Ursusa budują montownię traktorów, podobną zamawia Costa Rica. Do największych odbiorców polskich traktorów należą: Indie, Cejlon, Grecja, Ghana, Holandia, Szwajcaria, Wenezuela i Włochy. Jedne tylko Indie otrzymały w ubiegłym roku prawie 4 tysiące sztuk „Ursusów”.

Czy są dobre? Otóż Zakłady Mechaniczne „Ursus” dokonały prób związanych z uzyskaniem oficjalnej opinii światowej zagranicznych instytutów rolniczych. Wszystkie instytuty bardzo pozytywnie oceniły ciągniki „Ursusa”. Były wśród nich takie placówki agrarne, jak m. in. instytuty: University of Nebraska, Agricultural Experiment Station w USA, francuskie Centre National

d'Etudes et d'Expérimentation de Mécanismes Agricoles w Anthony (Seine) oraz AO Departamento Technico do Igga w Brazylii.

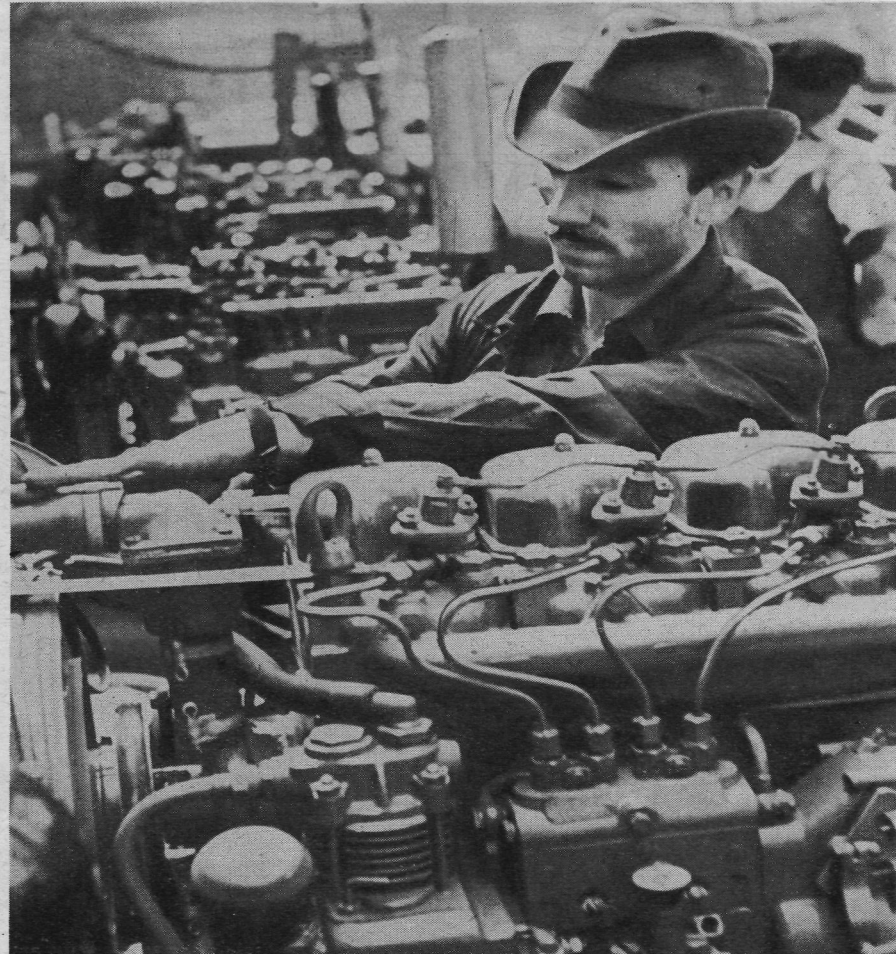
*

PIERWSZE „URSUSY” znalazły się we Francji w 1961 roku. Dostarczono niewielką stosunkowo ilość — 62 sztuki. Publikowaliśmy wówczas fotoreportaż ilustrujący, jak polskie traktory przejeżdżają przez Paryż. Wzbudziły wtedy niemałą sensację. W następnych latach eksport był nadal ograniczony, ale stale wykazywał tendencję zwyżkową.

W czerwcu br. bawiła w Zakładach Mechanicznych „Ursus” delegacja Compagnie des Tracteurs „Universal”, Société Somapol, z dyrektorem generalnym Jean Guymarchem i dyrektorem technicznym Jacques Crepetem. Pan Jean Guymarch jest zasłużonym uczestnikiem ruchu oporu i wspólnie z Polakami walczył w latach okupacji niemieckiej w partyzancie francuskiej.

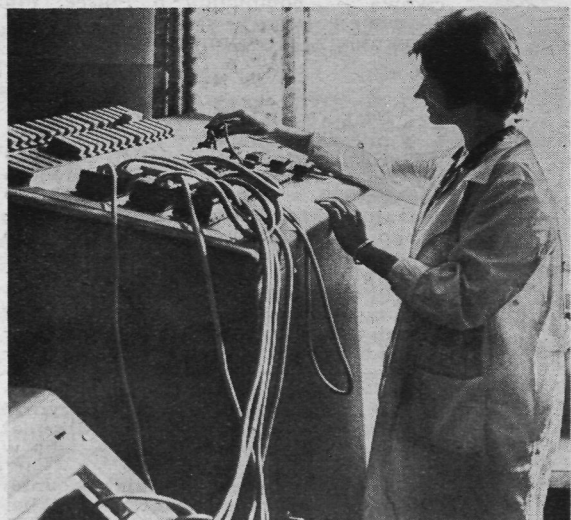
Dyrektorzy „Somapolu” przyjechali do Polski w celu sfinalizowania rozpoczętych wcześniej rozmów techniczno-handlowych. Po dokładnym zwiedzeniu Zakładów i zapoznaniu się z warunkami zakupu — podpisali z Centralą Handlu Zagranicznego „Motoimport” umowę na dostawę do Francji 2 tysięcy ciągników C-335 — najmłodszego „dziecka” Ursusa.

„Ursus” podjął zobowiązanie zabezpieczenia dla nich obsługi technicznej na terenie Francji. Już wkrótce specjalny wóz serwi-



Władysław Kowalski pracuje w dziale montażu przy zakładaniu felg do kół. Niżej: technik Anna Laskowska obsługuje maszynę liczącą w ośrodku obliczeń

Długoletni pracownik „Ursusa” Stanisław Głowacki montuje silnik ciągnika C-4011, których setki po próbach technicznych czekają na ekspedycję (niżej)

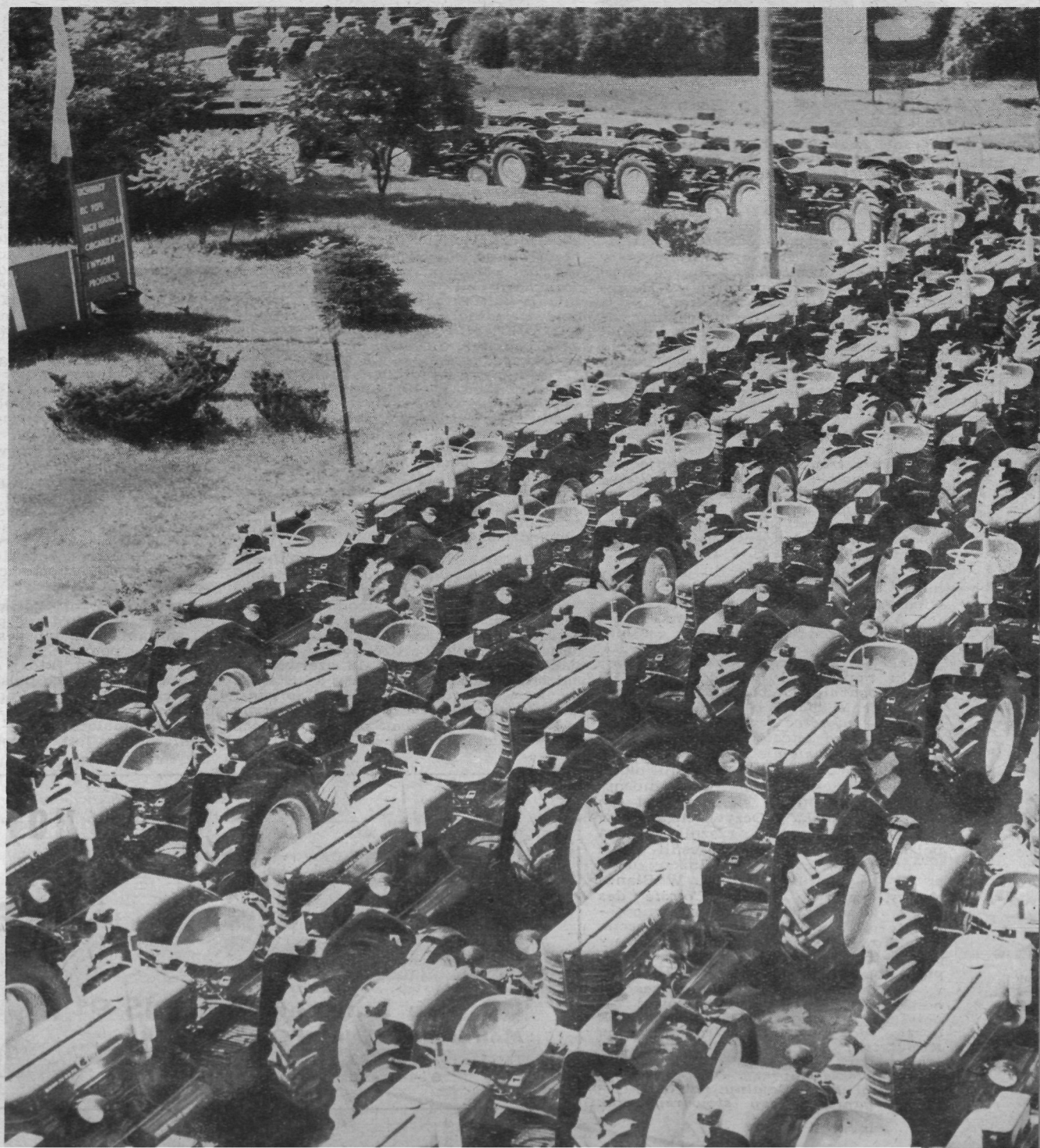


sowy objeździe agentów firmy „Somapol”. W skład obsługi wejdzie m. in. mechanik Józef Pyclik, który urodził się we Francji i po wojnie repatriował się do Kraju. Teraz będzie jednym z reprezentantów swojej fabryki. Ekipa „Ursusa” będzie szkolić mechaników francuskich, a w kilku regionach rolniczych zostanie zorganizowana wystawa polskich ciągników, połączona z pokazem ich obsługi.

Obydwie strony są zadowolone z transakcji. Francuscy goście wysoko ocenili produkcję Zakładów Mechanicznych w Ursusie, a dyrektor naczelny „Ursusa” mgr inż. Zygmunt Purzycki, który dwukrotnie przebywał z wizytą we francuskich zakładach, wyraził przekonanie, że polskie ciągniki dobrze przysłużą się francuskiemu rolnictwu. Dodajmy, że w polskich Zakładach „Ursus” pracują maszyny z Francji, m. in. produkcji Renault.

*

W polskim rolnictwie pracuje obecnie blisko 150 tysięcy ciągników. „Ursus” wyprodukuje w roku bieżącym 33 tysiące, za trzy lata produkcja osiągnie 47 tysięcy traktorów, które służyć będą polskiemu rolnictwu. Spora część zostanie przeznaczona na eksport i pracować będzie na polach 50 krajów świata.



Zdjęcia: Leopold Dzikowski

Z WIZYTA u RODAKÓW W BLANC-MESNIL



„Wesele krakowskie” w wykonaniu dzieci i młodzieży z Blanc-Mesnil. „Było to na uroczystości gwiazdkowej urządzonej przez Comité des Fêtes Polonaises — wyjaśniła nam p. Ludwika Rydzińska (która wypożyczyła nam to zdjęcie) — czworo naszych dzieci: Edward, Władzio, Danusia i Rysio — występowało wtedy na scenie...”

BLANC-MESNIL należy do „banlieue nord” Paryża. Podobnie jak w Servan, Saint-Denis, Aulnay-sous-Bois, w okresie międzywojennego dwudziestolecia powstała w Blanc-Mesnil spora kolonia polska.

W historii Blanc-Mesnil Polacy zapisałi się nie tylko za sprawą swojej liczebności i swojej pracy, ale także i za sprawą swojej patriotycznej postawy w okresie okupacji hitlerowskiej. Tytułem przykładu: „W gorących dniach powstania paryskiego (...) w Blanc-Mesnil 16 członków polskiej Milicji Patriotycznej (wśród których było trzech dezertersów z Wehrmachtu), przez całe trzy dni biło uciekających przed dywizją gen. Leclerca Niemców” — pisze w swojej poświęconej udziałowi emigrantów w ruchu oporu we Francji i zatytułowanej „On les nommait des étrangers” książce pułkownik F.T.P.F. Gaston Laroche.

W Le Bourget wyzwolili oni 30 kobiet i dzieci uwięzionych tam przez Niemców w baraku. Od ich kul padło 150 żołnierzy i oficerów niemieckich; rozstrzelali oni także trzech esesmanów.

„Jeden z młodych członków tego oddziału zaatakował niemiecki okop i zmusił ogarniętych paniką Niemców do wywieszenia białej chorągiewki. Nadeszłym wkrótce potem żołnierzom gen. Leclerca oddział ten oddał dziecięciu jeńców niemieckich...”

Aktualnie żyje w Blanc-Mesnil około 2.500 polskich rodzin. O północnej części miasta mówi się, że jest to „dzielnica polska”. Oczywiście, jest w Blanc-Mesnil polski rzeźnik. Języka polskiego uczy w Blanc-Mesnil dzieci i wnuków emigrantów zasłużony nauczyciel — pan IGNACZAK. W Blanc-Mesnil istnieje także „Comité des Fêtes Polonaises”, który niedawno temu zorganizował wystawę poświęconą dorobkowi dzisiejszej Polski i udany polsko-francuski wieczór artystyczny; prezeską jego jest pani ZIĘCIKOWA.

— „Comité des Fêtes Polonaises” — oddajemy głos pani Zięcikowej — powstał w styczniu 1965 roku. Jak doszło do powstania tego naszego Komitetu? Ano tak. Od czasu do czasu paru entuzjastów urządzało u nas polskie imprezy. Imprezom tym potrzebny był oficjalny patronat jakiejś organizacji czy stowarzyszenia.

Więc założyliśmy ten nasz Komitet. Naszym celem jest organizowanie polsko-francuskich imprez. Generalnie rzecz biorąc, chodzi nam o propagowanie idei przyjaźni polsko-francuskiej i francusko-polskiej w współpracy i wymiany kulturalnej. W naszym zarządzie zasiadają: pani DELAY (sekretarka), pani MISIUK (skarbnik), no i ja. Jeśli będziecie o tym pisać, to wymienicie także i p. Eugène Le MOIGN. Pan Le Moign to honorowy mer Blanc-Mesnil i od wielu, wielu już lat — wielki przyjaciel Polaków. W okresie, kiedy był on jeszcze merem kręciłyśmy, p. Le Moign zawsze w lipcu urządzał na merostwie przyjęcie dla Polaków z okazji święta odrodzenia Polski. A jeśli idzie o „Comité des Fêtes Polonaises”, to p. Le Moign był jednym z inicjatorów założenia tego naszego Komitetu. Oto co chciałam powiedzieć...

— Co się zażytyczy naszej działalności — to, co tu dużo gadać, jesteśmy jeszcze trochę w powijakach. No, ale mamy już jednak na swoim koncie udaną imprezę gwiazdkową (jesieńka, „wesele krakowskie”, itd.), polskie zabawy taneczne (bardzo udany był bał, jaki zorganizowaliśmy 18 czerwca z udziałem polskiej orkiestry ze Stains, tę imprezę, którąśmy ostatnio zorganizowali z okazji 22 Lipca: na merostwie odbyła się wystawa prac polskiego artysty-plastyka Juliana Zebrowskiego

(były także plansze fotograficzne obrazujące osiągnięcia Polski), w naszej „Bibliothèque Municipale” wicekonsul Ogonowski przekazał władzom miejskim utwory pisarzy polskich (będzie więc teraz w naszej bibliotece dział polski), wieczorem nasza grupa folklorystyczna wystąpiła z programem polskich i francuskich tańców ludowych... Celowo mówię: „grupa”, a nie „zespół”. Bo zespół mam dopiero zamiar założyć. Na razie mamy tylko ośmiuosobową grupę — cztery pary. Do organizowania prawdziwego zespołu zabiorę się po wakacjach. Mam nadzieję, że uda mi się coś zdziałać...

Uda się raczej na pewno. Pani Zięcikowa jest przecież naprawdę entuzjastką idei krzewienia przyjaźni francusko-polskiej i pracy społecznej w ogóle. Sama uszyła swoim tancerzom stroje. Sama i z własnej inicjatywy zorganizowała kiedyś wieczorek dla starsców polskich; sama opiekowała się warszawskimi sportowcami, którzy w zeszłym roku odwiedzili Blanc-Mesnil.

Poza tym pani Zięcikowa ogromnie lubi folklor. Więc na pewno uda się jej zorganizować ten zespół. Tym bardziej że pomoże jej we wszystkim mąż, p. Lucjan, który także „choruje” na wszystko, co polskie, i na pracę społeczną w ogóle. Pan Lucjan ma bardzo ciekawy zawód — jest mechanikiem samolotowym — a poza godzinami pracy jest zastępcą dyrektora



Powyżej: pani ZIĘCIKOWA, poniżej: pani Ludwika RYDZIŃSKA



„Equipe de Secouristes de la Croix Rouge Française” w Blanc-Mesnil. No i — oczywiście — członkiem „Comité des Fêtes Polonaises”...

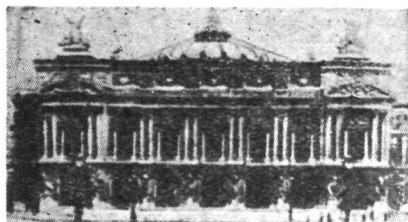
Dzielnicy i sympatycznej państwo Zięcikowie wyjeżdżają w tym roku na wakacje do Polski. „Przyjedźcie do nas po wakacjach — zaprasza pani Zięcikowa — pomówimy o Polsce, my opowiemy wam swoje wrażenia...”
Dziękujemy. Nie omieszkamy.

* * *

OPODAŁ PAŃSTWA ZIĘCIKÓW mieszkają państwo RYDZIŃSCY. Nasi czytelnicy. Państwo Rydzińscy są emigrantami całkiem świeżo upieczonymi. I całkiem szczególnego rodzaju także. Rodzice pana Rydzińskiego wyemigrowali wprowadzić do Francji jeszcze w latach międzywojennych, ale syna ze sobą nie zabrali, zostawili go u swoich rodziców. Zamierzali sprowadzić go z chwilą, kiedy mocniej staną na nogach. Zanim jednak zdążyli stanąć na naprawdę mocnych nogach — wybuchła wojna. Słowem — tak się złożyło, że miast przyjechać przed wojną, p. Rydziński przybył do rodziców zaledwie kilka lat temu. Już z żoną i dziećmi — bo w międzyczasie założył rodzinę.

Jak im się żyje? — Najswobodniej czują się we Francji dzieci — one bowiem zdążyły już niejako nauczyć się tej drugiej ojczyzny na pamięć. Oswoił się już także z Francją pan Rydziński — no bo praca, bo w pracy kole-dzy — Francuzi, itd. Dla pani Rydzińskiej natomiast to nowe życie stanowi jeszcze trochę problem — bo ona cały czas jest w domu.

Oczywiście, skontaktowali się z miejscową Polonią. Nie mogą pojąć, jak to się dzieje, że są tacy Polacy, którzy nie dbają o to, aby ich dzieci czy wnuki znali język polski. Cieszą się, że ich dzieci mogą uczęszczać na lekcje języka polskiego i występować na polskich imprezach. Pewnie, że tęsknią. Pewnie, że chcieliby odwiedzić Polskę. Ale na razie są jeszcze na dorobku. „W tej chwili nie możemy niestety pozwolić sobie na wyjazd na wakację do Polski — mówi pani Rydzińska. — Ale za kilka lat to pojedziemy na pewno!”



HOTEL OPERA-LAFAYETTE
CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBIŃSKI

80, rue Lafayette — PARIS 9^o

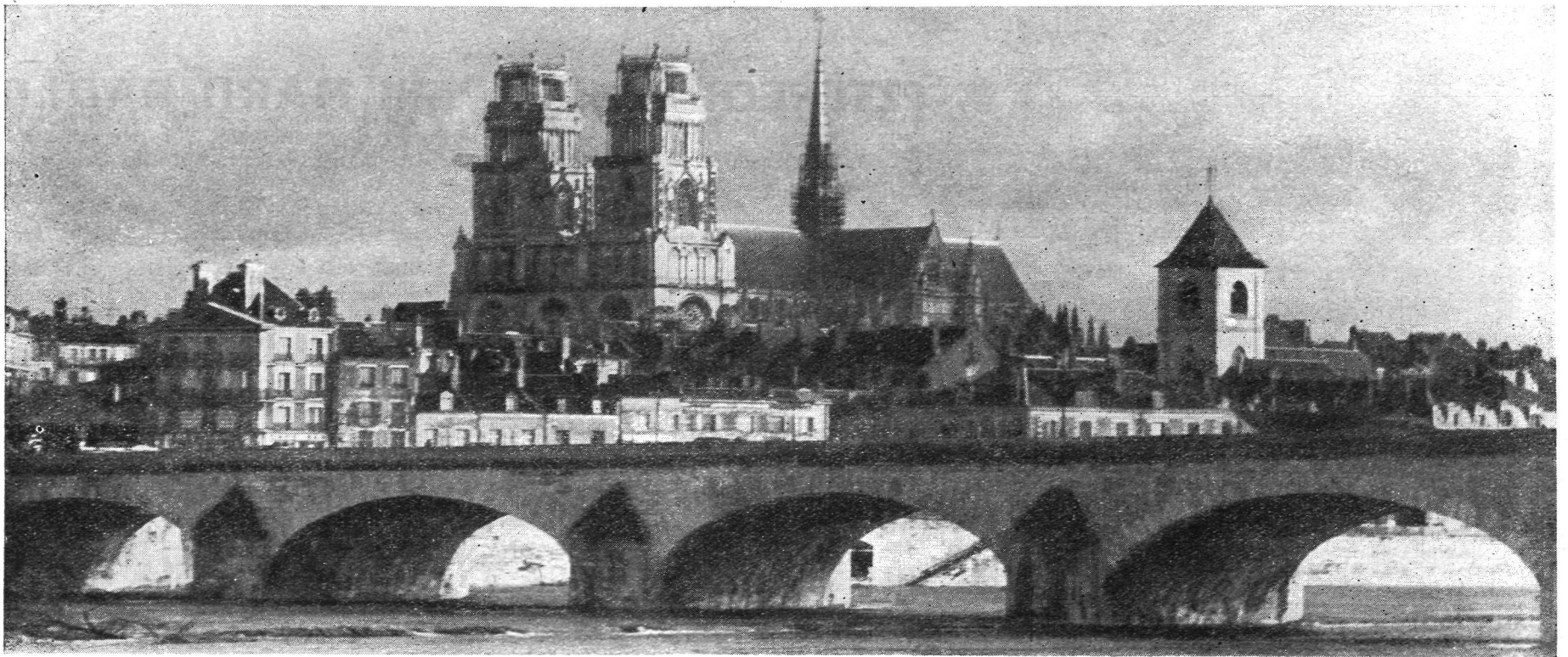
Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43

824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku



Miasto usytuowane jest pięknie nad brzegiem Loary. Nad wspaniałą i urozmaiconą panoramą Orleanu górują okazałe wieże katedry Sainte-Croix

ORLEANS

**Z wędrówek
po miastach
i koloniach**

GENABUM, AURELIANIS, ORLÉANS... Stare, piękne miasto, rozłożone szeroko nad Loarą, ma zapisane w swych dziejach trzy kolejne nazwy i dużo więcej ważnych wydarzeń. Było ono na tyle dumne i śmiałe, że powstało przeciw najeźdźcy rzymskiemu. W r. 52 przed naszą erą Cezar słumił ten bunt krwawo. W r. 451 biskup tego miasta, Saint-Aignan, wstrzymał i przepędził stąd hordy Atylli. Już w 800 r. Karol Wielki przygotowuje założenie uniwersytetu w Orleanie; powstanie on w r. 1305. Za panowania dynastii Kapetyngów Orleães staje się stolicą państwa.

Ale najgłośniejszym faktem z historii, znanym chyba wszystkim, jest uwolnienie Orleanu od Anglików 29 kwietnia 1429 r. przez Joannę d'Arc, zwaną od tego momentu Dziewicą Orleańską. Zwycięstwo to jest punktem zwrotnym w dziejach wojny stuletniej.

W czasie wojny francusko-pruskiej (1870—1871) zacięte walki w obronie miasta toczyły się na przedmieściach Orleanu i wzdłuż Loary. Wzięły w nich udział oddziały Legii Cudzoziemskiej, w której szeregu było już wtedy dużo Polaków.

Pierwsza wojna światowa ominęła szczęśliwie Orleães, ale podczas drugiej miasto złożyło ciężką daninę. Ofiary w ludziach i zniszczenie miasta były bardzo poważne. W okresie okupacji Niemcy stracili nad Orleanem samolot RAF-u z polską załogą; lotnicy ci spoczywają na miejscowym cmentarzu.

Po wojnie miasto rozwinęło się i wypiękniało. Powstają nowe dzielnice i gmachy, zabytki są kolejno odnawiane. Miasto szczyci się również wielką międzynarodową imprezą, organizowaną na przedmieściach Orleanu: Florales Internationales. Łącznie ze słynnymi szkółkami oraz plantacjami drzewek, krzewów i przede wszystkim róż, jest Orleães obecnie największym we Francji ośrodkiem plantacji i parków kwiatowych.

Polacy zaczęli przybywać tutaj dawno. Starzy emigranci pamiętają potomków powstańców polskich, którzy tu mieszkali: pradiadek adwokata Wędrzychowskiego walczył w Powstaniu Listopadowym; p. Pacewicz miał przodka w Powstaniu Styczniowym. Największa jednak fala emigrantów napłynęła w latach dwudziestych naszego stulecia. Wielu spośród nich mieszka do dzisiaj w Orleanie. W czasie II wojny, zwłaszcza w ostatnich jej miesiącach przybyli nowi ludzie, których wojna rzuciła za granicę, oraz żołnierze ze służby wartowniczej armii amerykańskiej, która opuściła niedawno terytorium Francji. W sumie mieszka tutaj kilkadziesiąt rodzin polskich. Każda z nich ma do opowiedzenia ciekawe wspomnienia i przeżycia.

NUL N'EST BESOIN de présenter à nos lecteurs la ville d'Orleães, une des plus anciennes et des plus célèbres cités de France. Depuis le soulèvement des Gaulois de Genabum (appelé plus tard Aurelianis) contre les régions romaines de César, à travers l'épopée de Jeanne d'Arc, jusqu'à la défense de la Loire en 1870-71 (à laquelle participèrent aussi des Polonais de la Légion Etrangère) Orleães a inscrit bien des pages glorieuses dans l'histoire.

Comme partout en France on trouve à Orleães des familles polonaises ou des descendants de Polonais installés ici après les insurrections du siècle dernier. Mais la plupart sont venus dans les années vingt et après la dernière guerre.

L'un des plus anciens est M. Jan Jareńko, tailleur bien connu des Orleãesais. A son arrivée, il y avait ici quelque cinquante familles polonaises. La plupart travaillaient en usine. M. Jareńko en fit d'abord autant avant de revenir — pendant la guerre et après avoir échappé aux Allemands — à son premier métier.

M. Władysław Nowak, originaire de Poznań, a connu les mines du Pas-de-Calais, les déboires d'un commerçant qui accordait trop facilement du crédit et d'un agriculteur ruiné par le gel de sa vigne et la mévente du blé. Finalement il trouva du travail dans une usine d'Orleães, peu avant la guerre. Aujourd'hui, ayant pris sa retraite il s'adonne aux joies de la famille.

Insurgé de Poznań en 1918, émigré, six ans légionnaire en Afrique du Nord, M. Stanisław Ciecchelski habite Orleães depuis 1932. Il y a travaillé comme infirmier, cheminot, employé des Assurances Sociales. Toujours sur les rangs quand il s'agissait d'organiser des fêtes et des commémorations polonaises, d'aider ses compatriotes comme interprète, de fonder une Union des Réservistes et Anciens Combattants (dont il fut le président), M. Ciecchelski est celui à qui tout le monde se réfère quand on parle des Polonais d'Orleães.

C'est en Allemagne que Mme Hélène Stachowiak, déportée, fit la connaissance d'un prisonnier de guerre,

M. Camille Cohen qui devint son mari et la suivit en Pologne où ils passèrent ensemble cinq ans avant de venir à Orleães où M. Cohen était originaire. A l'entendre parler en polonais (il a appris la langue de sa femme) de la Pologne on le croirait volontiers Polonais.

Mme Marie Radio, devenue veuve, a du avoir bien du mal à élever ses quatre fils. Mais elle peut en être fière. François (28 ans) travaille dans une société d'assurances, Guy, de deux ans plus jeune — „le plus Polonais de tous” — nous dit Mme Radio, est agent commercial d'Air France à Paris. Sa connaissance du polonais lui est fort utile et il voudrait de nouveau visiter le pays de sa mère. Jacques étudie le droit par correspondance. Lui aussi connaît la Pologne pour y avoir été en vacances. Maintenant c'est au plus jeune, le lycéen Michel d'y aller...

C'est à Mlle Jeanine Cehin et à ses patients efforts que doit son existence l'ensemble folklorique polonais d'Orleães qu'on peut — entre autres — admirer tous les 8 mai à l'occasion de la fête de Jeanne d'Arc. La plupart des jeunes danseuses sont des Françaises — l'une d'elles, Christiane Marchex, part cette année en Pologne pour un cours de danses folkloriques.

Mlle Hélène Kaffes travaille au Service des Relations Extérieures de la Mairie d'Orleães. C'est elle qui nous dit les efforts de M. Frochot pour jumeler la ville avec une cité polonaise, peut être Wrocław... Mlle Kaffes a appris le polonais aux cours de Mme Nodzeńska, à la maison ses parents parlent le polonais... Chose normale, direz-vous? Pourtant M. Kaffes est d'origine grecque et son épouse... tchèque. Quoi de plus précieux qu'un tel choix venant du coeur! Et Mlle Kaffes a été une des initiatrices de la création de l'ensemble folklorique dont nous avons parlé plus haut, c'est aussi à ses efforts qu'on doit la création d'un cercle de France-Pologne à Orleães. — C'est vraiment une atmosphère très polonaise qui règne dans notre maison gréco-tchèque en France — sourit pour terminer notre interlocutrice...

TAŃCZĄ i ŚPIEWAJĄ PO POLSKU

PAROKROTNI PRÓBOWANO stworzyć w Orleanie polski zespół folklorystyczny. Nie udało się. Pierwszą grupę po pewnym czasie rozwiązano, drugą — znów rozwiązano. Nie było kandydatów, zwłaszcza chłopców, praca szła ciężko. Wreszcie panna Jeanine CEHIN próbowała szczęścia nie w samym mieście, ale na jego peryferiach — w La Chapelle Saint-Mesmin. Miała w tym zakresie doświadczenie, ponieważ należała do poprzednio tworzonych zespołów i znała polskie tańce ludowe. W La Chapelle spróbowała zainteresować folklorem polskim młodzież francuską, przede wszystkim dzieci — no i rezultaty były od razu dobre.



Polski zespół podczas pochodu z okazji święta Jeanne d'Arc. Po lewej Christiane Marchex, która w tym roku wyjechała do Polski na kurs świetlicowo-taneczny, zorganizowany przez Towarzystwo „Polonia”

Dalszy ciąg na str. 16





Panna Jeanine Cehin sama wyhaftowała krakowski serdaczek według polskich wzorów i w nim też występuje

Dalszy ciąg ze str. 15

Zebrała się grupka dziewcząt, które z entuzjazmem zaczęły tańczyć polki, mazury i krakowiaki. Próby sprawiały im wielką przyjemność. Nie mając in-

nych rozrywek, poświęcały czas wolny zespołowi z wielką przyjemnością i z wielkim przejęciem.

Z początku przyjmowała p. Jeanine dzieci w wieku 5—11 lat. Obecnie są to już dziewczynki starsze, znające wiele tańców polskich i szczerze przywiązane do zespołu. Zespół ten z własnych funduszy kupuje materiały, z których kierowniczka szyje stroje ludowe. Znalazło się w końcu i dwóch chłopców, i para dziewczynek starszych w wieku 14 lat, i trochę dzieci polskiego pochodzenia. Jedna z nich, Christiane Marchex, pojedzie w tym roku na kurs tańców ludowych do Polski po raz pierwszy w życiu. Będzie to wielką zachętą do dalszej pracy i dla niej, i dla jej koleżanek.

Zespół występuje publicznie. Największą imprezą, podczas której można go podziwiać, jest defilada 8 maja z okazji święta Joanny d'Arc — Dziewicy Orleańskiej.

CZTERECH SYNÓW PANI MARII RADŁO

FRANÇOIS MA 23 LAT, pracuje jako referent w towarzystwie ubezpieczeniowym. Guy jest o dwa lata młodszymi i jest agentem commercial „Air France” w Paryżu. Jacques studiuje korespondencyjnie prawo; co 15 dni dojeżdża do Paryża na wykłady, ćwiczenia i egzaminy. Najmłodszy Michel jest w liceum. W tym roku wybiera się na kolonie letnie do Polski, której jeszcze nie zna.

— Najbardziej polskim dzieckiem jest Guy — mówi p. Maria Radło. — W pracy w „Air France” często przydaje mu się znajomość polskiego, a poza tym Polska interesuje go. Dużo podróżował już po świecie, ale od daw-

na nie był w Polsce. Bardzo chce pojechać. Może nawet uda mu się to w tym roku. Zabrałby wtedy i mnie ze sobą.

dobało im się bardzo: „Mamo, niech teraz jedzie Michel! Jest co zobaczyć w Polsce!” — mówili po powrocie.

Pani Maria Radło jest wdową. Wychowała wszystkich synów na dzielnych ludzi; teraz jeszcze troszczy się o to, aby zachowali coś polskiego. Guy i Jacques byli w Polsce jako mali chłopcy. Po-

Matce zależy na tym szczerze. Zachęca swego najmłodszego, żeby skorzystał z wakacji w Kraju, żeby poduczył się polskiego. Tak jak Guy, który mówi i pisze dobrze po polsku.



Wychować czterech synów i „zrobić z nich ludzi” — to na pewno nietatwe zadanie. Wykonała je pani Maria Radło

W GRECKO-CZESKIM DOMU MÓWI SIĘ PO... POLSKU



Córka Greka i Czeszki panna Kaffes jest jednym z pionierów organizowania życia polskiego w Orleanie i serdeczną admiratorką Polski

ORLÉANS ma trzy jumelage z różnymi miastami europejskimi, ale władzom miejskim zależy, żeby zarwać jeszcze „bliźniactwo” z jednym z miast polskich. Szczególnie troszczy się o to dyrektor Centrale Régional des Oeuvres Universitaires, p. Frochot. Mówi się o Wrocławiu...

Panna Hélène Kaffes pracuje w merostwie w Orleanie w Service des Relations Extérieures i jest o tym doskonale poinformowana. Ojciec, p. Kaffes, jest Grekiem, matka — Czeszką, a córka jest wielką przyjaciółką i wielką entuzjastką Polski. Nie znajdując w Orleanie nic czeskiego, zainteresowała się sprawami polskimi. Polska jest siostrzycą i Czechosłowacją i Francji, jest krajem, który pociąga ją od dawna i interesuje. Pragnęła stworzyć coś polskiego w Orleanie i z początku próbowała założyć zespół

folklorystyczny. Nie wychodziło, ale próba została uczyniona dwukrotnie i zachęciła innych, żeby wysiłki kontynuować i wreszcie doprowadzić do pomyślnego końca.

P. Hélène Kaffes założyła w Orleanie koło „France-Pologne”. Co pewien czas odbywają się zebrania i imprezy tego stowarzyszenia. Projekty na przyszłość są bardzo ciekawe.

— Języka polskiego nauczyłam się na lekcjach p. Nodzeńskiej. Mój ojciec zna polski jeszcze lepiej ode mnie. Ponieważ nie mówi po czesku, a moja matka nie zna greckiego, porozumiewają się po polsku. No i w naszym domu grecko-czeskim we Francji panuje naprawdę polska atmosfera — mówi panna Kaffes.

SPOD LWOWA DO ORLEANU

OKOŁO 1929 ROKU była już w Orleanie pewna liczba emigrantów polskich. Przyjeżdżali tu na ogół indywidualnie. W późniejszych latach zaczęły przyjeżdżać grupy kilkudziesięciosobowe. Jednym z tych starych emigrantów jest p. Jan JAREMKO rodem spod Lwowa.

— Około 1935 roku zaczęły powstawać w Orleanie stowarzyszenia polskie — wspomina. — Organizowano wtedy uroczystości, obchody, zabawy, wycieczki. Z czasem najstarsi wymarli, sporo wróciło do Polski.

Gdy p. Jaremko przyjechał do Orleanu, było tu mniej więcej 50 rodzin polskich. Pracowali prawie wszyscy w fabryce. Rzemieślników polskich było mało. P. Jaremko pamięta tylko polskiego szewca. On sam jest z zawodu krawcem; zawodu tego wyuczył się w Polsce. Przez dłuższy czas pracował w fabryce, ale od czasu wojny wrócił do krawiectwa. Było wtedy dużo roboty: naprawianie ubrań, przeróbki. Początkowo miał klientelę tylko polską, ostatnio ma już prawie wyłącznie klientów Francuzów.

W roku 1940 został p. Jan Jaremko powołany do wojska do Coëtquidan. Miał być w trzeciej dywizji, której jednak nie zdążono sformować. Po klęsce, w lipcu 1940 r. wracał piechotą do domu. Dostał się wprawdzie do niewoli niemieckiej, ale od razu spróbował ucieczki i na szczęście udało mu się. Inni, którzy zostali, pojechali po miesiącu do Niemiec.

Tak zakończyła się kampania niedoszłego artylerzysty polskiego z Orleanu, którego dzisiaj mieszkańcy tego miasta powszechnie lubią i cenią jako dobrego krawca.



Pan Jan Jaremko, niedoszły artylerzysta trzeciej dywizji, słynie wśród licznej klienteli jako doskonały krawiec

DOROBIĆ SIĘ, A PÓTEM znów stracić wszystko, to istotnie brak szczęścia w życiu. Ale ludzie, którzy to przeszli, mają przynajmniej o czym opowiadać.

Pan Władysław NOWAK, rodem z Wielkopolski, wzięty był przez Niemców do wojska jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej. Zdezercerował i udał się do Holandii. Tam spędził resztę lat wojny i dopiero w r. 1918 wrócił do Poznania. Zaproponowano mu, żeby wstąpił do żandarmerii i pojechał na Wołyń. Gdy odmówił i nie znalazł żadnej innej pracy w Polsce, nie pozostawało nic innego jak wyjazd za granicę.

Najpierw zaangażował się do pracy w kopalni w Pas-de-Calais. Zarabiał bardzo dobrze i z osz-

DWA RAZY OD NOWA

zczędności był w stanie założyć po pewnym czasie sklep. Klienteli nie brakowało, ale nie wszyscy płacili gotówką. Wielu brało na kredyt, towary rozchodzily się, a pieniądze do kasy nie wpływały. Zadłużenie klientów wzrosło w końcu do tego stopnia, że trzeba było sklep sprzedać.

Drugą próbę zrobił p. Nowak na roli. Kupił ładny kawał ziemi w okolicach Agen, około 50 hektarów. Był już rok 1937. Ale i tu skończyło się nie-dobrze. Winnica wymarzała (nie był ubezpieczony), a cena pszenicy była tak niska, że po pewnym czasie trzeba było wszystko sprzedać i wyjechać z pięknych okolic Agen.

— Pracowaliśmy z bra-

Pan Władysław Nowak dwukrotnie dorabiał się i wszystko stracił. Mimo to zachował do dziś świetny humor

tem, dwie rodziny, byliśmy oszczędni. Pamiętam, jak moja żona narzekała, że na śniadanie mamy tylko chleb z orzechami do jedzenia.

W Orleanie pracował p. Władysław Nowak w fabryce. Doszedł do wieku emerytalnego i teraz pędzi życie spokojnego „retraité”. O swych przygodach opowiada czasami swemu wnukowi, który odziedziczył po przodku naturę bardzo żywą. Cztery lata spędził w Kanadzie, ale tak tęsknił za rodziną, że niedawno wrócił i osiedlił się w Orleanie. Mówi, że tutaj dużo lepiej.



OŻENIŁEM SIĘ NA POLSKICH ZIEMIACH ODZYSKANYCH OCZYWIŚCIE Z POLKĄ

POZNALI SIĘ W NIEWOLI. Pani Helena STACHOWIAK była wywieziona na roboty rolne, p. Camille COHEN znajdował się w obozie jeńców wojennych. Losy rzuciły ich z dwóch przeciwnych krańców Europy na teren Dolnego Śląska, który dzisiaj jest znowu polską ziemią. W niedzielę po pracy wychodzili oboje na miasto, aby się spotkać. W tych najczarniejszych latach hitlerowskiej niewoli, kiedy Niemcy zamordowali również brata p. Heleny, spotkania te były jedyną ich radością i otuchą do przetrwania.

Skończyła się wojna. P. Cohen pozostał w Polsce. Wziął ślub we Wschowie ze swą narzeczoną z lat wojny, a następnie pojechał do Francji, aby się zdemobilizować. Po powrocie pięć lat spędzili w Polsce, aż wreszcie na wieść o chorobie matki p. Cohena przyjechali do Orleanu i tutaj ostatecznie zamieszkali.

Zabawne były przygody p. Cohena w Warszawie. Gdy przyjechał do stolicy po raz pierwszy, nie znał jeszcze języka polskiego. W zrujnowanej Warszawie, pozbawionej komunikacji szukał konsulatu francuskiego przez cały dzień. Bez skutku. Znalazł go w końcu, ale dopiero nazajutrz rano!

Obecnie mówi po polsku świetnie. Nauczył się języka podczas pobytu w Kraju, który pozostawił mu wiele miłych wspomnień. No i wzbudził serdeczną sympatię.



Z taką nazwyką musiała chodzić w obozie na Dolnym Śląsku pani Helena Stachowiak podczas wojny. Jej mąż nosił w tym czasie, jako jeńiec wojenny, mundur francuskiego żołnierza

DZIEJE WĘDRÓWEK OFIARNEGO SPOŁECZNIKA

PAN STANISŁAW CIECHELSKI żyje w Orleanie od dawna, ale historia jego wędrówek po świecie zaczęła się jeszcze wcześniej.

Rodzice jego mieszkali przed I wojną światową w Westfalii. Młodego Stanisława wzięli Niemcy do wojska w roku 1916, ale gdy wojna wybuchała, uciekł natychmiast. Brał udział w Powstaniu Wielkopolskim i doczekał się wreszcie niepodległej Polski, ale po przewrocie majowym marszałka Piłsudskiego nie chciał mieszkać w Kraju. Wyjechał do Francji i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Spotkał tu dużo Rodaków. W 3 pułku na trzy i pół tysiąca legionistów było około trzystu Polaków. Przez sześć lat służył p. Ciechelski w Legii, budował drogi w Atlasie, aż wreszcie w 1932 r. przyjechał do Orleanu i zainstalował się tutaj na stałe. Pracował najpierw jako pielęgniarz, potem na kolei, wreszcie w ubezpieczalni społecznej. W czasie II wojny światowej został zmobilizowany i był w Lyonie-Bron — w bazie polskiej jednostki lotniczej.

Pan Ciechelski znany jest powszechnie w Orleanie jako ofiarny społecznik. Organizował tutaj liczne polskie uroczystości, był prezesem Związku Rezerwistów i byłych Wojskowych, pomagał nieraz Polakom jako tłumacz.

I dzisiaj również, gdy odwiedza się jakąś polską rodzinę w Orleanie, pada zaraz pytanie:

— A nie zapomnieliście wstąpić do pana Ciechelskiego?

la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS IX-e

tél. 770-83-37
c.c.p. Paris 189-46-68

poleca:

- KSIĄŻKI
- ZNACZKI
- PŁYTY
- FOLKLOR

MAPY drogowe Europy i Polski, mapy województw i campingów w Polsce
PLANY polskich miast

PRZEWODNIKI po Polsce (w języku polskim i francuskim)

DUŻY WYBÓR PŁYT nagranych w Polsce i we Francji

SŁOWNIKI francusko-polskie

ZNACZKI polskie

LALKI, WYCINANKI

bieżanki łowickie, pocztówki

LA BOUTIQUE POLONAISE przyjmuje prenumeratę pism

Zdjęcia: Wł. SŁAWNY

EN FÉVRIER 1947, Antoni Paško — ancien soldat polonais interné en Suisse après la campagne du France — réunissait à Neuilly quelques amis de l'Union des Travailleurs Agricoles pour leur proposer de fonder une coopérative agricole en... Pologne. 13 familles y adhèrent sans savoir où elles s'installeraient une fois rentrées au pays. Le 1-er mai 1947, tous arrivaient à Malbork dans la région de Gdańsk. On leur confia deux propriétés abandonnées par les „junkers” prussiens — 446 hectares au total dont 346 de terre arable. Ils y trouvèrent deux bâtiments délabrés, deux étables, deux granges et un hangar. Les „Français” (ils ont gardé ce surnom jusqu'à aujourd'hui) se mirent au travail sous la présidence d'Ambroży Rychlik qu'ils avaient choisi encore à Neuilly. Ils donnèrent à leur coopérative le nom de „Zwycięstwo” (Victoire).

La première année, ils eurent à peine de quoi ensemençer 50 hectares de blé et reçurent des autorités cinq chevaux et cinq vaches, puis — l'année suivante encore trois chevaux et un tracteur. En 1949, ils admettaient dix nouveaux membres et cultivaient déjà 200 hectares. En 1950, ils étaient riches de 40 chevaux et de 150 vaches. Mais les récoltes étaient encore maigres — 18 quintaux de céréales par hectare. Les progrès se firent ensuite plus rapides, surtout à partir de 1957.

Actuellement la coopérative compte 47 familles et 71 membres dont huit familles et seize membres sont des „anciens” et constituent toujours l'ossature du groupe. Ambroży Rychlik montre avec fierté son domaine: trois nouvelles maisons pour dix familles, six maisons uni-familiales, quatre autres en construction; six tracteurs, des camions, des moissonneuses-batteuses, d'autres machines agricoles et à peine... six chevaux, ce qui montre bien le degré de mécanisation des travaux. Ils ont aussi plus de 300 vaches de bonne race, donnant en moyenne 3.980 litres de lait par an.

Rien que cette année, les „Français” ont construit une nouvelle étable et une nouvelle grange, acheté deux tracteurs et trois remorques ainsi qu'une voiture de tourisme. Les récoltes moyennes par hectare atteignent 37 quintaux de froment, 38,5 d'orge, 385 de betteraves sucrières, 727 de maïs vert, 27 de colza, mais cela ne les satisfait pas encore. Disons que chaque membre de „Victoire” possède en propre un demi hectare, deux vaches, 4-5 porcs, quelques brebis, de la volaille etc. Dans chaque appartement on trouve une salle de bains, l'eau courante chaude et froide, des appareils ménagers, des meubles neufs, des téléviseurs...

L'avenir cause peut-être certains soucis. C'est que les jeunes ont parfois d'autres aspirations. La fille des Rychlik a terminé des études supérieures et travaille dans une entreprise de commerce extérieur, sa soeur dans le laboratoire d'une usine de panneaux d'agglomérés. La petite-fille des Zadrożny étudie la pédagogie, la fille des Wymysłowski est comptable. Et leur village de Lichnowy a lui aussi bien changé. On y trouve maintenant une maison de la culture, un cinéma, un club, une bibliothèque de 4000 volumes, un dispensaire moderne, six magasins, etc. Ça n'est pas si mal pour une localité de 734 habitants.

«FRANCUZI» Z NEUILLY GOSPODARUJĄ NA ŻUŁAWACH

Emilia Wróblewska lubi pogwarzyć ze starym znajomym Antonim Nawrockim. Po powrocie z Francji wspólnie gospodarzą w rolnej spółdzielni produkcyjnej

WLUTYM 1947 ROKU w miejscowości Neuilly (Seine-et-Oise) byli żołnierze 2 Dywizji gen. Prugar-Ketlinga, internowani w czasie wojny w

Szwajcarii, Antoni Paško, zwołał do siebie kolegów i znajomych i zaproponował im założenie w Kraju spółdzielni rolniczej. Wśród zebranych byli członkowie Związku Robotników Rolnych. 13 rodzin zdecydowało się na wyjazd do Polski. Już we Francji założono zatem spółdzielnię, co było wtedy przedsięwzięciem na papierze, gdyż niebardzo wiadzano, gdzie po dotarciu do Kraju osiądą. Tak więc spółdzielnia już istniała. Miała nawet wybrany przed wyjazdem Zarząd. Przewodniczącym został Ambroży Rychlik, który przybył do Francji w 1937 r. z powiatu wieluńskiego.

1 maja 1947 r. dotarli do Malborka w województwie gdańskim. Państwowy Urząd Repatriacyjny dał im do wyboru kilka gospodarstw. Wybrali dwa sąsiednie w Lichnowych w powiecie Malbork, utrzymali w mocy poprzednie postanowienie o spółdzielni. Nowa Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna przyjęła nazwę „Zwycięstwo”.

Na dwóch dawnych junkierskich gospodarstwach o łącznej powierzchni 446 hektarów, w tym 346 ha ziemi ornej, ziemia stała od wojny odłogiem. Na pozostały dobytek składały się 2 wielorodzinne domki, 2 obory, 2 stodoły i szopa. „Francuzi” — jak ich nazywano w okolicy, raźnie wzięli się do roboty, chociaż mieli bardzo trudne warunki. Przewodniczył nadal Ambroży Rychlik, pomagał mu dzielnie członek zarządu Ignacy Sommer oraz pozostali reemigranci: Teofila Zadworna, Bronisława Walencik, Antoni Nawrocki, Piotr Wymysłowski, Fabian Michałek, Bolesław Sławski, Jan i Marian Papjewscy, Jan Zaton, Franciszek Sobótka i Tomasz Sosnowski, wszyscy z rodzinami, wielu z dziećmi.

Z kroniki spółdzielni można dziś wyczytać, że w pierwszym roku zasiano zaledwie 50 hektarów pszenicy, owsa i jęczmienia. Władze polskie przydzieliły im 5 koni i 5 krów oraz trochę zboża siewnego. Jako fachowcy wiedzieli, że ziemia na Żuławach jest żyzna, mlekiem płynąca, trzeba jednak wiele pracy w nią włożyć po długim zaniedbaniu pól. Ale uparli się.

Spółdzielcy „Francuzi” z Lichnowych spodziewają się w bieżącym roku dobrych plonów, zarówno z upraw zbożowych, jak i okopowych. Ich wspólna praca przynosi coraz lepsze wyniki



Następnego roku otrzymali jeszcze 3 konie i traktor. Obsiali 80 hektarów. Rok 1949 — przybyło im 10 krów i drugi traktor, przyjęli do spółdzielczego grona nowych członków i obsiali łącznie 200 hektarów. W następnym roku doczekali się pierwszych maszyn. Mieli już teraz 40 koni i 150 krów. Ale zbiory wciąż jeszcze były niskie, zaledwie 18 kwintali z hektara, a więc dochody nie były za wielkie.

Dopiero od 1957 roku zaczęły się szybkie zmiany na lepsze. Wybudowali dom mieszkalny dla pięciu rodzin, uzupełniali sprzęt i inwentarz, przyjęli znowu nowych członków. Wzrastały plony i dochody. Obecnie, w 1967 roku, spółdzielnia liczy 71 członków — 47 rodzin, ale jej trzonem i kierownictwem są wciąż „Francuzi”, jej założyciele: 8 rodzin, z których 16 osób jest pełnoprawnymi członkami spółdzielni. Zmarli, niestety, Sosnowscy, Pajewski i Sobótka; Zaton przeszedł na emeryturę, a F. Pajewski przeniósł się do województwa wrocławskiego, gdzie osiadła jego rodzina.

Przewodniczącym jest od 20 lat Ambroży Rychlik, który ze zrozumiałą dumą pokazuje majątek spółdzielni: 3 nowe domy dla 10 rodzin, 6 prywatnie wybudowanych domów jednorodzinnych i 4 dalsze w budowie. Wszystkie podstawowe prace rolne wykonują maszyny, jak kombajny, snopowiązałki, śrutowniki, żniwiarki, siewniki itp., mają 6 traktorów i samochody ciężarowe, warsztat kowalско-mechaniczny i zaledwie 6 koni. Dumą jest ponad 300 sztuk rasowego bydła, a od jednej krowy mają przeciętnie 3.980 litrów mleka rocznie. Nowa obora, 2 nowe ciągniki, samochód osobowy, 3 przyczepy i nowa stodoła — to dorobek ostatniego roku.

„Francuzi”, jak ich nadal na Żuławach malborskich nazywają, sieją głównie pszenicę, ponadto jęczmień, buraki cukrowe i nasienne, rzepak, bobik i trawy nasienne. W ubiegłym roku pszenicy zebrali z hektara 37 kwintali, jęczmienia — 38,5 q, buraków cukrowych — 385 q, kukurydzy 727 q i rzepaku — 27 q, ale jeszcze nie są z tego zadowoleni. Mówią, że wyciągną więcej. Niezależnie od wspólnego majątku, każdy członek spółdzielni posiada prywatnie pół hektara ziemi, 2 krowy, 4—5 świń, owce, drób itp.

W ciągu 20 lat wyrosły już dzieci reemigrantów, założyły rodziny, część wstąpiła do spółdzielni. Córka Rychlików skończyła wyższe studia i pracuje w Centrali Handlu Zagranicznego, druga — w laboratorium wytwórni płyt pilśniowych. Wnuczka Zadwornych studiuje pedagogikę, córka Wymysłowskich jest księgową itd. W każdym mieszkaniu, z łazienką, ciepłą i zimną wodą, widać pralki, telewizory, nowoczesne meble...

Tak się ułożyło życie reemigrantom z okolic Neuilly. Rychlik wybiera się właśnie do brata w Achères. Ostrowski do syna w Conflans-Sainte-Honorine, a na przyjazd syna z Seine-et-Oise czeka Sławski.

Zmieniła się w tych latach bardzo sama wieś Lichnowy. Liczy 734 mieszkańców. Ma dom kultury, stałe kino, klub-kawiarnię, bibliotekę z 4 tysiącami tomów, ośrodek zdrowia, aptekę, kościół, pocztę, bar i 6 sklepów.

Edmund ORKISZEWSKI



Przyjechali z Francji na ziemię odzyskaną, aby osiąść na stałe na gospodarce. Jeszcze przed wyjazdem do Polski założyli wspólną spółdzielnię. Dziś, po 20 latach wytrwałej pracy cieszą się z licznych osiągnięć swojej spółdzielni



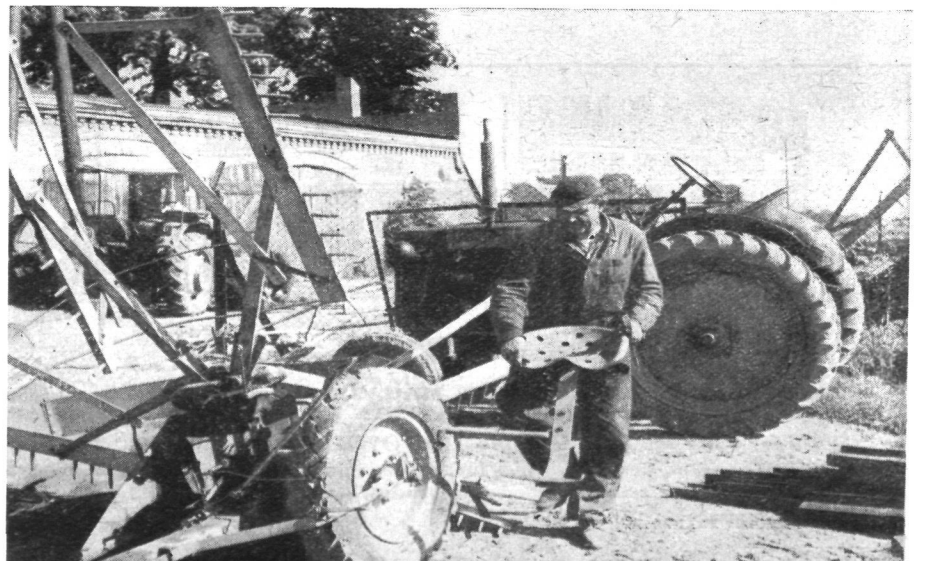
Przewodniczący spółdzielni „Zwycięstwo” Ambroży Rychlik każdego dnia od 20 lat objeżdża pola należące do spółdzielców, aby osobiście dopilnować wszystkich robót



Edwin Ubowski opiekuje się maszynami spółdzielczymi. Szef mechaników nie wypuści w pole żadnego traktora czy kombajnu bez dokładnego sprawdzenia jego działania



Kolejny dom mieszkalny dla spółdzielców, jeden z czterech oddanych w bieżącym roku do użytku. Ogółem wybudowano dotąd 13 takich okazałych domów



W okresie pilnych robót polowych wiele pracy ma szef kuźni Stanisław Jahym. Jego pieczy powierzono cały liczny sprzęt mechaniczny w spółdzielni

WEEKEND w ZUYDCOOTE

Niech ten tytuł nie wprowadzi nikogo w błąd, nie zamierzam pisać o powszechnie znanym filmie, ale o tym, w jaki sposób znalazłem się niedawno właśnie w Zuydcoote, historycznej już wiosce francuskiej na granicy z Belgią. Stało się to za sprawą „Olkusza”, który to solidny „Motorship” Polskich Linii Oceanicznych obsługuje tzw. „linię lewantyńską”, wożąc drobnicę polską i obcą do portów Bliskiego Wschodu i Południa.

W rejsie, który rozpoczął się 18 maja w Gdańsku, M/S „Olkusz” oprócz drobnicy pod pokładem zabrał jeszcze siedmiu pasażerów na pokład — dwie panie, które choć mieszkają w Gdyni, po raz pierwszy w życiu znalazły się na prawdziwym „okręcie”, oraz pięciu panów, w tej liczbie (niestety!) obu współmałżonków no i — mnie.

Nie będę opisywał ani wzruszających chwil roztania z Gdańskiem, ani pierwszej kolacji w morzu (tosoś, salami, wątróbka na gorąco), ani pełnych niepewności przewidywań — będzie czy nie będzie kiwało, ale wprowadzę od razu Czytelników do Kanału Kilońskiego, po to, aby stwierdzić, że jego obramowanie stanowią kolorowe wille przy starannie pielęgnowanych ogródkach, rozrzucone na brzegach czystutkie campingi w otoczeniu Volkswagenów, Opli i Mercedesów i że między obu brzegami żwawo kursują promy o nazwach „Breslau”, „Danzig” i „Küstrin”. Wypatrywałem następnych, mogłyby się nazywać np. „Posen” czy „Litzmannstadt”, ale właśnie dopłynęliśmy do ujścia kanału i młody człowiek, który wpadł na pokład, aby przynieść nam ostatnią niemiecką prasę, zapewnił mnie gorąco, że chociaż sam był w Hitlerjugend — jest przeciw rewizjonistom, przeciw NPD i w ogóle przeciw całej „wrednej wojennej polityce Bonn”. A że promy noszą nazwy polskich miast — no cóż, trzeba mieć wzgląd na upodobania pasażerów, nich wahr?

W CIEPŁY MAJOWY RANEK zeglłowaliśmy po Morzu Północnym. Niedaleko brzegów Holandii minął nas wielki nowoczesny motorowiec zachodniemiecki, jasny, 12 tysięcy DWT, należący do Süd Amerika Line z Hamburga. Linia ta wraz ze statkami należy do doktora Oetkera, który, zrobiwszy majątek na swoich proskach i budyniach, przerzucił się po wojnie na żeglowanie i stał się jednym z najbogatszych armatorów w NRF. W każdym razie — statek „z prosku”, który nas wyprzedził, prezentował się solidnie, zwracając uwagę swoim kształtem: był bowiem bez tradycyjnego komina.

W GABINECIE PANA BURNOD

Tego samego dnia wieczorem nasz „pierwszy po Bogu” kpt. ż.w. Bolesław Rakowski, najwyższy wzrostem wilnianin, jakiego spotkałem w swoim życiu, który sympatycznym, kresowym akcentem zabarwiając ciekawe opowiadania o swoich morskich wojazach począwszy od „Sobieskiego”, zafundował nam pierwszą „zakąskę” w lewantyńskim rejsie, a mianowicie Dunkierkę.

Co prawda spodziewaliśmy się, zgodnie z planem, Antwerpii i zaopatrzyliśmy się nawet w wizy Beneluxu, ale statkami handlowymi rządzą przede wszystkim prawa ładunku, a nie życzenia kilku pasażerów.

Dla mnie osobiście Dunkierka była ciekawsza; warto chyba rzucić okiem na miasto, w którym w roku 1940 miał miejsce dramatyczny ale i zwycięski odwrót brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego przez kanał do Anglii i które w wyniku walk i bombardowania zostało zniszczone w 85%.

Dzisiaj z ruin, jak i w Warszawie, pozostały tu wspomnienia tylko na fotografiach. Oglądam je siedząc w gabinecie pana Claude Burnod, redaktora naczelnego dziennika „La Voix Du Nord”, który — jak wiadomo — ma centralę w Lille, a tutaj swój oddział i specjalne wydanie dla Dunkierki. Z okien redakcji rozpościera się widok na centralny plac miasta: kolorowy, pulsujący życiem, udekorowany sztandarami wielu państw, wśród których dostrzegam i nasz — biało-czerwony, jest ten plac jakby wizytówką pogodnego miasta, w którym chyba tylko wtopione w ziemię potężne bunkry na słynnej plaży, no i ciche cmentarze poległych żołnierzy przypominają o piekle majowych dni 1940 roku.

JAK w WARSZAWIE

Patrzę z zaciekawieniem na zdjęcia, które pokazuje mi redaktor Burnod. Zwały gruzów, opalone ściany domów, pogiete słupy oświetleniowe, głębokie wyrwy w bruku, jakże znajomy obraz z popowstaniowej Warszawy, a przecież jest to właśnie ten sam plac, po którym teraz spaceruje roześmiana francuska młodzież i gdzie stateczni obywatele Dunkierki popijają coca-cola czy kawę w ślicznych ogródkach kawiarnianych.

— *Tak wyglądało całe nasze miasto po przejściu „boszów”* — mówi redaktor francuskiego dziennika, pokazując mi cykl interesujących fotografii: „stara” przedwojenna Dunkierka, Dunkierka w roku 1944 i obecnie, jako 30-tysięczne powiatowe, ale bardzo nowoczesne w swej architekturze miasto. Zresztą — za chwilę je zobaczę z bliska: samochód czeka i kolega-dziennikarz z „La Voix du Nord” jest gotów swoim „Consulem” pokazać gościowi w Warszawie wszystko, co jest tu godne zobaczenia. Tym bardziej, że rodzice kolegi-dziennikarza, pana Bijan, pochodzą z... Przemyśla, a on sam ciekaw jest życia i obrazu Polski.

Oglądam plażę i usiłuję z pamięci odtworzyć sceny odwrotu Anglików, tak jak je widziałem na filmie; więc aż tu podpyływały łodzie i barki desantowe, tłum żołnierzy brnie do nich po pas w wodzie, z boku stoją stłoczeni bezradni Francuzi z żonami i dziećmi; dla nich, niestety, nie ma miejsca na angielskich okrętach, choć bohaterscy lotnicy francuscy toczą teraz nierówną walkę

z hitlerowskimi „Stukasami” i „Messerschmidami” pod niebem Dunkierki. Przypomina o tym pamiątkowa tablica na plaży: „Ku czci lotników, marynarki francuskiej i żołnierzy, którzy ofiarowali swe życie w 1940 roku” — głosi napis. Czytam go w zadumie, ogarniając spojrzeniem rozległe wybrzeże, wzdłuż którego rozbudowała się i buduje nadal nowa, powojenna Dunkierka.

CZERWONY SZPITAL

Tędy właśnie prowadzi droga do Zuydcoote. Redaktor Bijan pokazuje mi po drodze nowe osiedla mieszkaniowe, „cooperative”, jak i u nas. Ma on tu zresztą i swój własny domek, ot ten z czerwonej cegły — 3 pokoje, łazienka, garaż i małe ogródki. Ile kosztował? Około 150 tys. franków, oczywiście — na raty.

No i wreszcie — Zuydcoote, tu, gdzie odbył się pamiętny wojenny „weekend”. Z łańtwością poznaję czerwone budynki szpitala, który „zagrał” w filmie ogarnięty pożarem, poznaję wąskie uliczki, które do niego wiodły. Dzisiaj w szpitalu mieści się sanatorium dla dzieci niedorozwiniętych i ułomnych. Spotykamy je, bawiące się na trawnikach lub przykute do małych inwalidzkich wózków, w których pielęgniarki wożą je na spacer.

Ostatnie spojrzenie na Zuydcoote i hołd złożony na cmentarzach: jeden pochodzi jeszcze z czasów I wojny światowej, drugi — bardzo starannie utrzymany, to osobny cmentarz żołnierzy brytyjskich.

Pożegnalny kielich szampana u redaktora „La Voix Du Nord”. Dzielimy się wrażeniami. Opowiadam, jak odczułem swoje pierwsze spotkanie z Dunkierką, on natomiast kreśli interesujące plany rozwoju tego trzeciego portu Francji, który równocześnie ma ambicję być kurortem i dużym ośrodkiem turystycznym — riwierą Północy, skąd w ciągu jednego dnia można promem obrócić do Anglii i z powrotem.

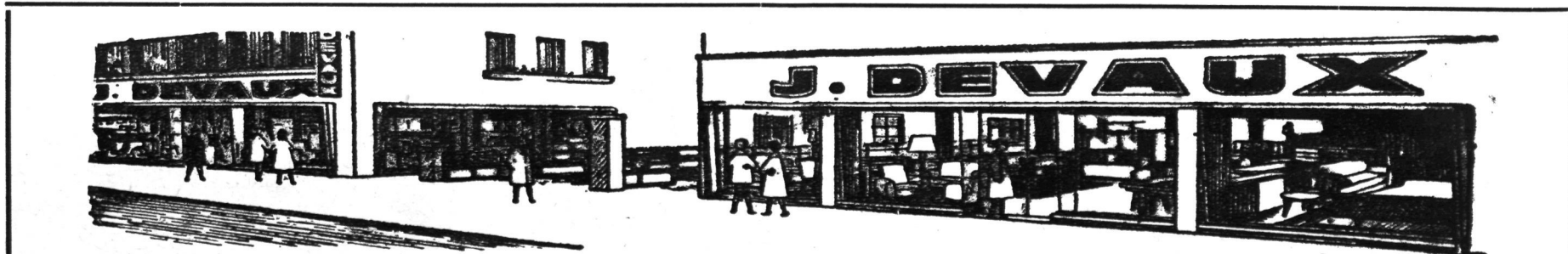
VIVE LA POLOGNE!

Mówimy o projektowanej wizycie generała de Gaulle’a w Polsce, wspominam o popularności i sympatii, jaką cieszy się wśród Polaków.

— *A czy żyje jeszcze ta piękna Polka, o którą pojedykował się generał de Gaulle, kiedy jako kapitan armii francuskiej bawił po pierwszej wojnie w Warszawie?* — pyta z uśmiechem Burnod, nieodrodny syn ziemi francuskiej. Na to pytanie ja z kolei nie potrafię odpowiedzieć, co nie przeszkadza, że pijemy „strzemiennego” szampanem i ze szczerością niedyplomatyczną wymieniamy starodawne toasty: „Vive la France — vive la Pologne”.

Pędzimy samochodem do portu. „Olkusz” imponuje z daleka wyglądem: nieskazitelnie biały i czysty, świadczy o swojej załodze. Tylko co zamknięto ładownie: wzięliśmy stalowe rury i stal w wiązkach do Pireusu i już — porządek na pokładzie. Żegnamy brzegi Francji.

LEOPOLD MARSCHAK



DWA OBSZERNE NOWOCZESNE MAGAZYNY gwarantują Wam nie spotykany dotąd wybór wszystkiego, co dotyczy komfortowego WYPOSAŻENIA MIESZKANIA I GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

LATO! Pomyślcie o zakupie LODÓWKI.

NASZE ceny są bezkonkurencyjne, gwarancja na 5 lat. LODÓWKI mają ładny, estetyczny wygląd, znak wysokiej jakości. Zapewniamy, że z zakupu będziecie zadowoleni.

LODÓWKI:	120 litrów	143 litry	150 litrów	175 litrów	240 litrów
	495 F.	595 F.	620 F.	675 F.	810 F.

ETS. JACQUES DEVAUX — 2-bis, rue Pasteur (obok fosse 2-bis) MARLES-les-MINES — tel. 10

PIERWSZY ROZPOCZĄŁ PODOBÓJ GŁĘBIN I PRZESTWORZY

JEDNĄ Z NAJCIEKAWSZYCH POSTACI świata naukowo-technicznego na przełomie XIX i XX wieku jest niewątpliwie Stefan DRZEWIECKI, uczonek i wynalazca, jeden z pionierów postępowej myśli lotniczej. Stefan Drzewiecki, syn ziemianina i byłego oficera Powstania Listopadowego, wnuk oficera napoleońskiego, urodził się w majątku Kunka na Podolu w 1844 r. Po wstępnych naukach, które pobierał w domu rodzicielskim, wyjechał do Francji, gdzie po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia techniczne w Ecole Centrale w Paryżu. W 1863 roku przerwał naukę i powrócił do Kraju, aby wziąć udział w Powstaniu Styczniowym.

W parę lat później ponownie udał się do Francji, aby ukończyć rozpoczęte studia. Będąc jeszcze studentem Stefan Drzewiecki odznaczał się niesablonowym podejściem do zagadnień technicznych, a pierwsze jego wynalazki powstały w 1872 r.

Jednym z nich był specjalny cyrkiel do wykreślania przekrojów stożkowych oraz automat do kontrolowania szybkości parowozów. Obydwa te wynalazki zostały nagrodzone na Wystawie Powszechnej w Wiedniu w 1873. Z tego okresu jego twórczości pochodzą też: automatyczny sprzęg wagonów i „dromograf” — przyrząd do automatycznego kreślenia drogi statku na mapie.

Tym ostatnim wynalazkiem zainteresowała się rosyjska marynarka wojenna i Stefan Drzewiecki został zaproszony do Petersburga. Jego wynalazek, po drobnych udoskonaleniach, zainstalowano na rosyjskich okrętach wojennych, a on sam udał się do Odessy, aby podjąć pracę nad zagadnieniami żeglugi podwodnej.

W tym samym czasie w różnych krajach próbowano budować okręty podwodne przydatne dla celów wojskowych. Próbowano również budować je i w Rosji. Wszystko to jednak były jednostki prymitywne i wykorzystanie ich do morskich działań wojennych wymagało wielu ulepszeń konstrukcyjnych oraz rozwiązania wielu problemów technicznych. Była to praca niemal pionierska, bo dla wielu współczesnych, nawet i świątynych ludzi, sprawy żeglugi podwodnej wydawały się jakąś bajką z krainy fantazji.

Prototyp jednoosobowej łodzi podwodnej konstrukcji Stefana Drzewieckiego odbył swój pierwszy rajd morski w 1877 roku. Wynalazca zanurzył się w niej osobiście, przez dłuższy czas płynął pod wodą wykonując zamierzone manewry, aż wreszcie wypłynął na powierzchnię. Wszystkie przyrządy działały bezbłędnie i problem w zasadzie został rozwiązany. Wprawdzie łódź podwodna Drzewieckiego była tylko jednoosobowa i posiadała niepraktyczny napęd pedałowy, ale jej udoskonalenie było już tylko kwestią czasu.

W 1878 r. Drzewiecki kieruje budową serii sześćdziesięciu czteroosobowych łodzi podwodnych. Wyposażył je w peryskopy, wyrzutnie torpedowe i silniki elektryczne. W 1888 roku opracowuje projekt 12-osobowej jednostki podwodnej z silnikami parowymi, który w 1898 roku uzyskuje I nagrodę na międzynarodowym konkursie w Paryżu.

Po tym sukcesie Stefan Drzewiecki, który już w 1892 r. przeniósł się na stałe do Francji i zamieszkał w miejscowości Auteil pod Paryżem, rozpoczyna prace nad konstrukcją wyrzutni torpedowych opartych na działaniu sprężonego powietrza.

Prace te zakończyły się pełnym powodzeniem i w 1901 roku wyrzutnie Drzewieckiego zostały zainstalowane na francuskich i rosyjskich jednostkach. Ich twórca staje się sławny i znany, ale jego niespożyta energia każe mu iść dalej. Opracowuje system napędu spalinowego do jednostek podwodnych i w 1905 r. wielki okręt podwodny — o wyporności 350 ton — zbudowany w Rosji, zostaje wyposażony w silnik spalinowy. Teraz wynalazca zaczyna pracować nad projektem okrętu „wodopancerne”, którego osłonę ma stanowić gruba warstwa wody. I tu już wyraźnie zaczyna się zarysowywać zmiana jego zainteresowań. Z głębin morskich przenosi się w przestworza i rozpoczyna prace, które w przyszłości przyniosły mu największą sławę.

AZACZEŁO SIĘ TO właściwie przypadkowo. Po prostu studiując zagadnienia śruby okrętowej zainteresował się śmigłem lotniczym i lotnictwem.

Studia w tym kierunku rozpoczyna od badania ptaków, analizując szczegółowo elementy ich lotu. Powstają jego wspaniałe, nowatorskie prace: „*Aeroplany w przyrodzie*” (Samoloty w przyrodzie), „*Les oiseaux considérés comme des aéroplanes animés*” (Ptaki rozważane jako żywe aeroplany), „*Le vol plan*” (Lot szybowy), „*L'aviation de demain*” (Lotnictwo jutro). Były to lata 1887—1892, a więc okres poprzedzający pierwsze udane loty maszyn cięższych od powietrza.

Teoretycy i wynalazcy samolotowi nie byli wówczas zgodni w wielu zasadniczych punktach. Wbrew przeważającym tendencjom Stefan Drzewiecki jest zwolennikiem nieruchomego skrzydła samolotu. Śluszność jego teorii potwierdza praktyka. Samoloty o skrzydłach ruchomych nie zdają egzaminu.

Drzewiecki podejmuje prace nad teorią śmigła i te właśnie prace przyniosły mu największą światową sławę.

Wyniki swych dociekań ogłasza w pracy pt. *Śmigła powietrzne. Teoria ogólna napędów śmigłowych*. Ogłasza ją w 1909 roku, a jego dzieło ma pionierski charakter. Gdy skutkiem jego starań powstało w St. Cyr, pod Wersalem, laboratorium aerodynamiczne, Stefan Drzewiecki przeprowadza w nim szereg doświadczeń i badań, które następnie ogłasza drukiem.

Oprócz badań naukowych Drzewiecki przeprowadza próby konstruowania samolotów. W 1909 r. buduje model a potem prototyp samolotu o automatycznym urządzeniu stabilizacyjnym. Samolot, który samoczynnie zachowuje równowagę w powietrzu. W 1911 r. samolot ten, nazwany „Kaczka”, o dziwnym kształcie i skrzydłach znajdujących się blisko ogona i śmigle na wzór śruby okrętowej, umieszczonym z tyłu aparatu, odbywa swój pierwszy lot. Następnie Stefan Drzewiecki na podstawie opracowanej przez siebie teorii śmigła konstruuje szereg młynków wiatraczkowych o nastawnych łopatkach i samoczynnej regulacji obrotów. W 1929 r. konstruuje śmigło lotnicze o nastawnych łopatkach.

Stefan Drzewiecki zyskał ogólne uznanie i szacunek, a z największym podziwem wyrażali się o nim uczeni tej miary, co angielski uczonek G. Glaubert, czy radziecki J. Juriew, członek Akademii Nauk, który stwierdził wyraźnie: „*że teoria Drzewieckiego posłużyła za podstawę innym, późniejszym teoriom śmigła*”.

Do końca swego życia, bo do roku 1938, Stefan Drzewiecki przebywał prawie stale poza ojczyzną, mimo to czuł się zawsze Polakiem.

W latach międzywojennych uczonek mieszkał w Paryżu i studiował budowę atomu, a gdy w Polsce po pierwszej wojnie światowej zaczęto tworzyć podstawy lotnictwa, natychmiast złożył wysoką sumę na popieranie badań naukowych w tej dziedzinie. Umierając zapisał swoją pracownię w Auteil wraz ze wszystkimi urządzeniami Państwu Polskiemu.

Profesor Stefan Drzewiecki, genialny zdobywca głębin, był jednakże entuzjastą lotnictwa, a dowodem tego są napisane przez niego, jeszcze w końcu XIX wieku, następujące słowa:

„*Idea lotnictwa przeniknęła i poruszyła masy: ludzie poczuli, że dzięki lotnictwu właśnie własne będą granice i narody zbliżą się ze sobą w braterstwie powszechnym*”...

WŁADYSŁAW KISIELEWSKI



Widok z wieży średniowiecznego kościoła w Niepołomicach na królewski zamek, równie stary jak kościół, a sięgający czasów Kazimierza Wielkiego. Wnętrze zamku wzorowane jest na królewskim Wawelu. Stanowił on wypożyczynową i myśliwską rezydencję królów, gdy stolicą Polski był Kraków. Położony w niedalekiej od niego odległości, na skraju słynnej Puszczy Niepołomickiej, świetnie się do tego celu nadawał. Rozstrzygano w nim również ważne sprawy państwowe: przyjmowano poselstwa, ustalano i podpisywano przywileje, prowadzono rozmowy. Wzmiankują o tym często dawni kronikarze. Bardziej natomiast są oni powściągliwi co do szczegółów związanych z intymnym życiem monarchów. A właśnie tu za czasów krakowskiej stolicy zjawiali się królowie najczęściej dla miłosnych igraszek: z żonami i nie-żonami

MIEJSCE KRÓLEWSKICH MIŁOSTEK

Nie można było wynaleźć lepszego miejsca na królewskie wczasowisko. Przy pogodzie dostrzegano się je z okien wawelskiego zamku, podążając wzrokiem w dół Wisły ku widocznej potężnej ścianie lasów. Z dawien dawna (Puszczą Niepołomską lasy te zwano. Od niepołomów czyli drzew nie do połamania ówczesnymi umiejętnościami i zwyczajną siłą człowieka. Na pierwszej większej polanie puszczańskej od strony Krakowa, rozłożonej na nadwiślańskiej skaranie, powstała z czasem skromna osada, w której król Kazimierz Wielki zaczął zbudować zamek myśliwski, a opodał okazały kościół. Dało to początek późniejszemu miasteczku Niepołomicom.

Przymiotnik od Niepołomic zawsze brzmiał niepołomski, właśnie od owych nie do połamania drzew, a że tak brzmiał, łatwo przekonać się na starych cmentarnych tablicach wmurowanych w zewnętrzne ściany kościoła. Można w nich jeszcze odnaleźć ta-

kie określenie jak „niepołomska pani” lub „kanonik niepołomski”. Nowoczesne słowniki i instrukcje polecają jednak mówić i pisać niepołomicki a nie niepołomski.

Dla współczesnych językoznawców pozostaje to bowiem w zgodzie z innymi podobnymi nazwami, jak myślenicki — od Myślenic, czy od Cieżkowic — ciężkowicki czy wreszcie od Szopienic — szopienicki, itd. To, że sens słowa i jego rodowód wskazują wyraźnie na odmienną, jakoś do ekspertów językowych nie dotarło. Dowodzą, że język jest rzeczą żywą, zmienia się i unowocześnia. Unowocześnił więc słowo niepołomski na niepołomicki, zrównał je z innymi podobnymi, tak jak gospodarza puszcza wycięła niepołomskie drzewa i zrównała ten wspaniały stary rezerwat leśny, nie tak dawno temu największy w środkowej Europie, z tysiącami polami okolicznych wsi, pozostawiając z niego jedynie szumną nazwę puszcza i skrawki lasu.



Niepołomice leżą na uboczu od wielkich szlaków. Kończy się tu boczna linia kolejowa na tzw. „Składzie” nad Wisłą, prowadząca z Podłęża a ostatnio także z Krakowa przez Nową Hutę. (Nazwa „Skład” wywodzi się od składu soli, kiedy polską sól z Wieliczki zaborca austriacki sprzedawał drugiemu zaborcy — rosyjskiemu. Do tego miejsca sól dowożono na skład, tu następował jej przeładunek na galary, a następnie spławiano ją Wisłą do Warszawy



MIEJSCE KRÓLEWSKICH MIŁOSTEK



Kościół niepołomicki ufundował Kazimierz Wielki. Budowę rozpoczęto w 1349 r. Boczne kaplice (widoczna jedna) pochodzą z XVI w. Kilka lat temu pod starą zaprawą murarską odkryto najstarsze polskie malowidła średniowieczne

Dalszy ciąg ze str. 21

Piszemy o tym szczególnie językowym dlatego, że na emigracji stoczono o niego ostatnio batalię. A było to tak:

Nieżyjący już znany pisarz i felietonista Zygmunt Nowakowski (prawdziwe nazwisko Tempka), krakowianin z krwi i kości, uważający Kraków i jego okolice, do których i Niepołomice należą, za „pępek świata”, przy tym emigrant nieprzejednany wobec wszelkich zmian, jakie w Polsce zaszły po drugiej wojnie, użył w jakiejś ze swych publikacji słowa niepołomicki. Wielu emigrantów z oburzeniem zaprotestowało: „nie niepołomicki, panie Nowakowski, lecz niepołomski”. Nowakowski trwał przy swoim. Znalazł kilku zwolenników. Wytaczali różne argumenty. Na łamach gazet polonijnych w Anglii przez kilka miesięcy ukazywały się listy za i przeciw. Więcej było tych przeciw twierdzeniu Nowakowskiego. Dobił sprawę czytelnik podpisany „F. B.” z *Lancasteru — wychowanek Niepołomskiej Puszczy*. Wytoczył on m. in. takie argumenty:

„Tak historycy jak i czolowi pisarze używali nazwy Niepołomska opisując czasy króla chłopów. Jagiełło przed wyruszeniem pod Grunwald w Niepołomskiej Puszczy urządził wielkie łowy, by wojsko zaopatrzyć w żywność.

W niepołomskich lasach Bona porodziła przedwcześnie syna w chacie węgla Klinka.

W starych archiwach znajdowała się wzmianka, że w czasie łowów Stefana Batorego w towarzystwie dwóch posłów obcych — mieszczanin niepołomski skradł sobolowe futro z królewskich san.

Resztki konfederatów barskich z ks. Markiem schroniły się w Niepołomskiej Puszczy.

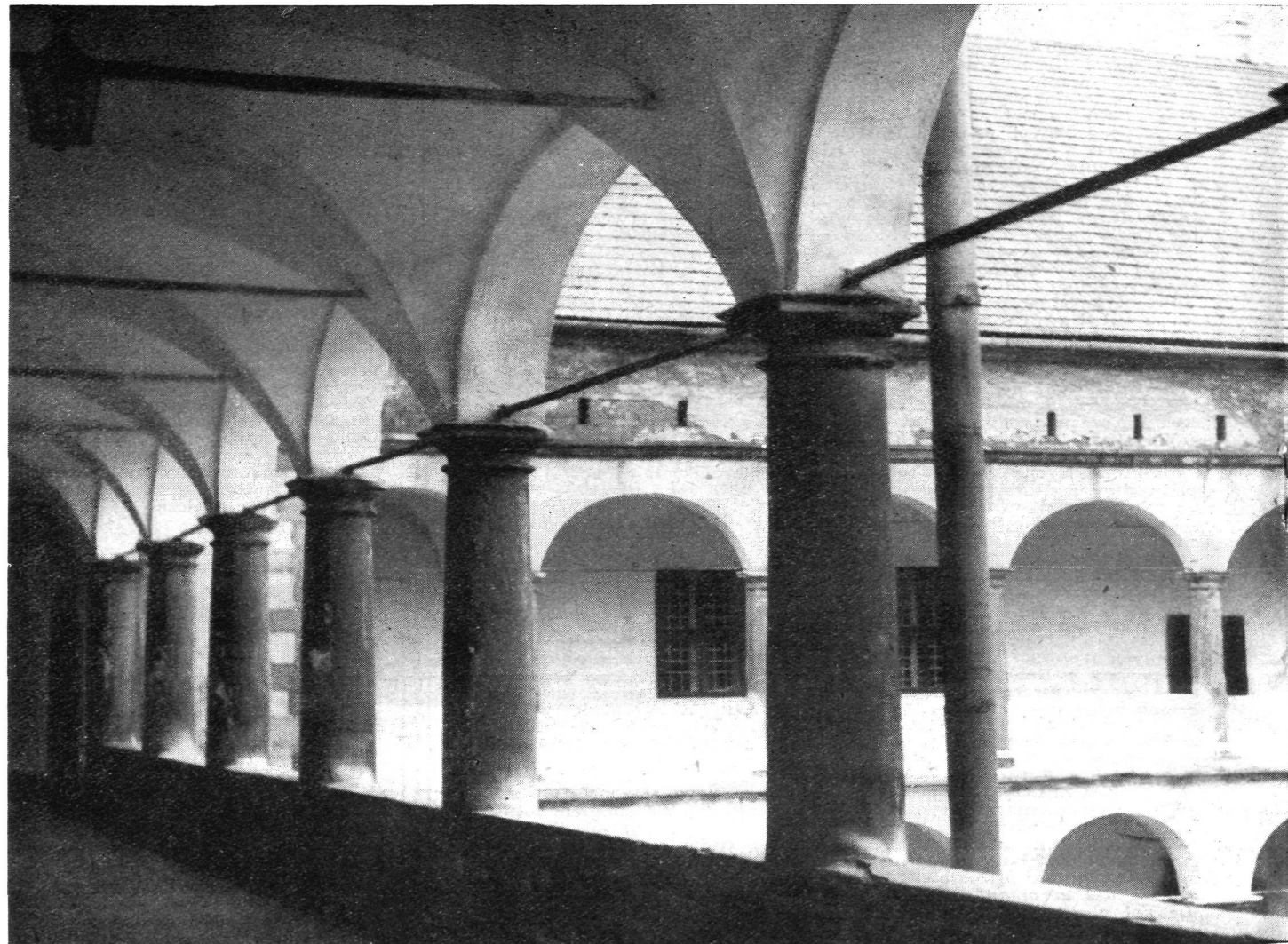
Mógłbym podać więcej przykładów — a każdy chyba słyszał kiedyś w życiu krakowianka „Płynię Wisła płynie”, którego druga zwrotka zaczyna się: „Chociaż się schowała w niepołomskie lasy...”

Nowakowski przyznał, iż w polemice zwyciężyła forma niepołomski. Z przekory jednak natychmiast napisał artykuł „Puszcza Niepołomicka”, w którym podał że „zwyciężyła niesłusznie”, bo przecież gdy on „w młodości swej ze sztuczerem polował w niej na dziki, mówiło się puszcza niepołomicka”.

Cała ta dyskusja nikogo w Kraju i w Niepołomicach nie interesowała. Mieli tam na głowie ważniejsze sprawy. Dowiodła jednak, jak bliski emigracyjnym sercom jest każdy nawet mało znaczący szczegół, dotyczący rodzinnego Kraju.

Królewskie pobyty w Niepołomicach nie ograniczały się do wypoczynku i polowań. Dokumenty mówią o radach koronnych, spotkaniach dyplomatycznych, nadawaniu praw i przywilejów. Głównym jednak celem przyjazdów w puszczańskie ustronie było oderwanie się od gwaru i masy ludzi, jaka na Wawelu stale bawiła, dygnitarzy i rycerstwa, gości i darmozjadów, żyjących z łaski króla. Niepołomice dawały błogi spokój, pozwalały na wytchnienie, na chwile prywatnego życia bez cudzych natrętnych oczu.

Z dziewięciu kobiet, które przewinęły się przez życie Kazimierza W., nie bez wielu dla niego perypetii, przynajmniej sześć bywało lub oczekiwało na upragnione z nim sam na sam w komnatach niepołomskiego zamku. A więc wesoła *Litwinka Aldona*, córka Gedymina, ochrzczona w Krakowie na Annę. Lubiła bardzo polować, znakomicie jeździła konno i kto wie czy to właśnie nie ona namówiła męża, by w tym leśnym uroczysku stworzył stałe oparcie dla wspólnych przeżyć. Rządziej chyba odwiedzała Niepołomice *Niemka Adelajda*, brzydka jak noc, którą naraili władcy międzynarodowi pośrednicy do kojarzenia królewskich mariażów. Żył z nią Kazimierz dwa lata, a później wystawił jej zamek w Żarnowcu, miała w nim wszystko prócz



Fragment krużganków w zamku. Otaczają one dziedziniec z trzech stron. Obecnie zamek jest jednopiętrowy. Kiedyś był dwupiętrowy. W czasie wojen szwedzkich, budowla przez długie lata znajdowała się w ruinie i nigdy już nie odzyskała dawnej świetności. Nowym dachem Niemcy, uchodząc za Polskę, usiłowali wysadzić zamek w powietrze. Założone w piwnicach materiały wybuchowe naruszyły masywność murów. Obecnie odnawia się stopniowo i rekonstruuje najbardziej zniszczone części zamku, przywrócić mu dawny kształt.

męża... Nie mógł mu tego później darować w swej „Historii Polski” Jan Długosz. Skarcił go, zresztą nie tylko za Adelajdę, ale i za czeską wdowę *Rokiczana*, za kasztelanową *Cudkę Sieciechową*, z którą miał trzech nieślubnych synów i za piękną *Zydówkę Esterkę*. Bo i jej nie brakło w Niepołomicach, a także ostatniej z legalnych żon króla — *Słazaczki Jadwigi*, córki księcia Głogowa i Zagania.

Nie wiemy dokładnie, jak wyglądał zamek niepołomicki za Kazimierza. Można przypuszczać, że już wtedy był murowany. Trudno powiedzieć czy istniała wówczas jego wielka sala z galerią wokół o niezwykle ciekawych walmach akustycznych. Szeptem wypowiedziane słowa w jednym z jej czterech kątów, przy ustawieniu twarzą do ściany, słyszane są w wyraźnym brzmieniu w przeciwnym kącie.

Różne o przeznaczeniu tej właściwości krąży opowiadania, m. in., że wtajemniczonym znana była jej wymyślna akustyka, że służyła do podsłuchiwania intymnych rozmów królewskich żon i nałożnic, jak również do zdobycia szczegółów ujawnianych tylko spowiednikom...

Przez Niepołomice przejeżdżał kilkakrotnie do Krakowa król węgierski *Ludwik*, kiedy sprawował władzę w Polsce po wymarciu Piastów. Tu musiał się zatrzymać nie wpuszczony na Wawel mąż jego córki *Marii*, *Zygmunt*, gdy Polacy dowiedziawszy się o obwołaniu *Marii* królową węgierską, powierzyli tron jej siostrze, młodsiutkiej *Jadwidze*. Przed objęciem władzy na

Wawelu ostatnią noc w drodze do Krakowa spędziła ona w Niepołomicach, później zaś często przebywała tu z Jagiełłą. Ten zaś szczególnie sobie Niepołomice upodobał. Puszcza przypominała mu litewskie knieje. *Anna Cylejska*, *Elżbieta z Pileckich Granowska* i *Rusinka Sońka*, kolejne żony Jagiełły po *Jadwidze* młodo zmarłej, też najchętniej zażywały wczasów w Niepołomicach.

Wiele wskazuje, że dziarski wysiłek Jagiełły, który dopiero u schyłku życia przyniósł mu z *Sońką* męskich potomków: *Władysława*, nazwanego później *Warneńczykiem* (ur. w 1424 r.), drugiego syna, który zmarł (w 1426 r.) i *Kazimierza Jagiellończyka* (w 1427 r.) wiązał się z niepołomskimi wczasami króla.

Przy urodzeniu *Kazimierza* sędziwy zwycięzca spod *Grunwaldu* miał już lat 79. Jego wyczyn pokrzyżował plany obcym rektantom na tron krakowski, a przy tym nie został chyba nigdy przez żadnego monarchę nie tylko pobity, ale nawet wyrwany. Żył jeszcze Jagiełło do 1434 r., a więc osiągnął lat 86.

Wszyscy pozostali królowie polscy z linii Jagiellonów też Ignęli z ukochanymi kobietami do Niepołomic. Za ich sprawą zamek stał się jedną z pereł renesansowej architektury, wzbogacano jego wyposażenie. Trudno tu wymienić wszystkie epizody wyłaniające się z nieodomyślnych kronikarzy czy zapisów administratorów. Pewne jest,

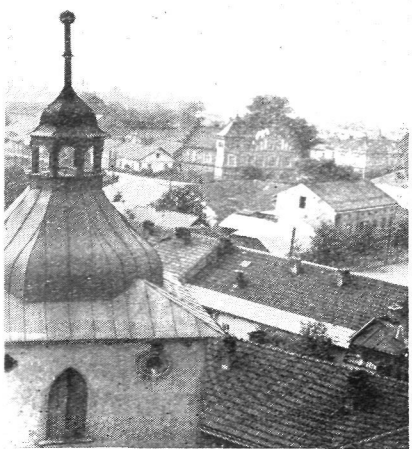
że do Niepołomic częściej jeżdżono dla dyskretnego spędzania wypoczynku we dwoje i więcej w nich było miłosnych wczasów aniżeli polowań. *Królowa Bona*, *Włoszka* z urodzenia, druga żona *Zygmunta Starego*, choć pochłonięta najrozmaitszymi sprawami, była częstym gościem w tutejszym zamku.

Pełna tragicznych przeżyć miłość ostatniego z Jagiellonów *Zygmunta Augusta* z *Barbarą Radziwiłłówną* jedyną szczęśliwą okresu zaznała w Niepołomicach. Przybyli tu oboje 22 lutego 1549 r. Król „*jakby odrodzony szczęściem* — informuje kronikarz — *już zupełnie pewny posiadania drogi nabytej małżonki, starał się w każdym kroku okazywać dowody miłości do Barbary*”. A ona „*pierwszy raz może spokojnie zaczęła używać szczęścia obok wielbionego małżonka*”.

Nie należy się dziwić, że zamek obrósł wtedy w bogactwo. *Zygmunt August* kazał na jego wieży osadzić zegar bijący, przyozdobić wnętrza złoceniami i zakupić dużej wartości szkło.

Przeniesienie stolicy Polski z Krakowa do Warszawy zdecydowało o upadku Niepołomic. Od czasu do czasu odbywały się tu jeszcze w puszczy wielkie łowy, zamek tętnił w takich dniach ruchem i gwarem, ale między jednym a drugim polowaniem wiało już w jego sypialnych komnatach tylko pustka...

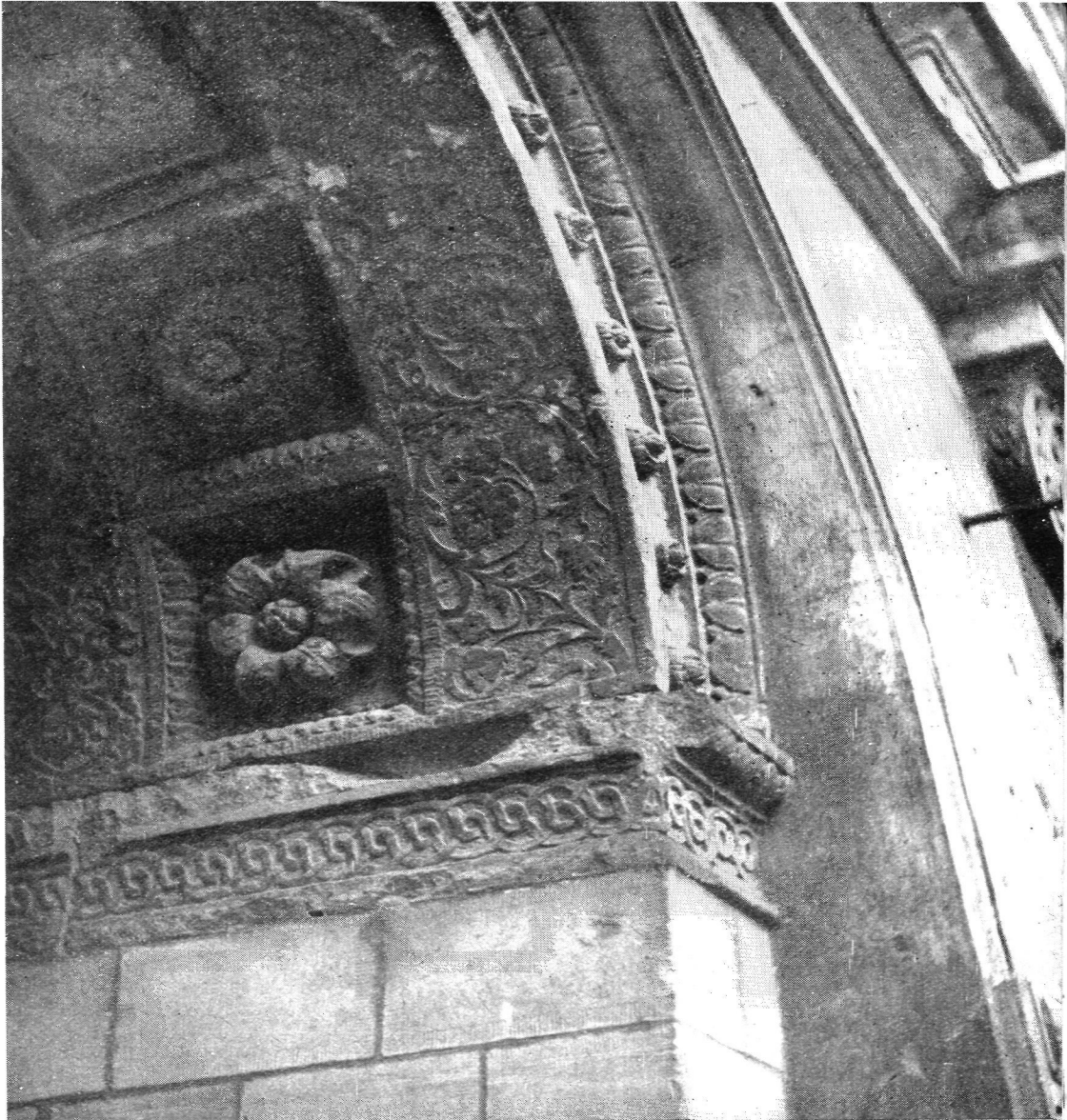
Przypieczętowały los zamku najaz-



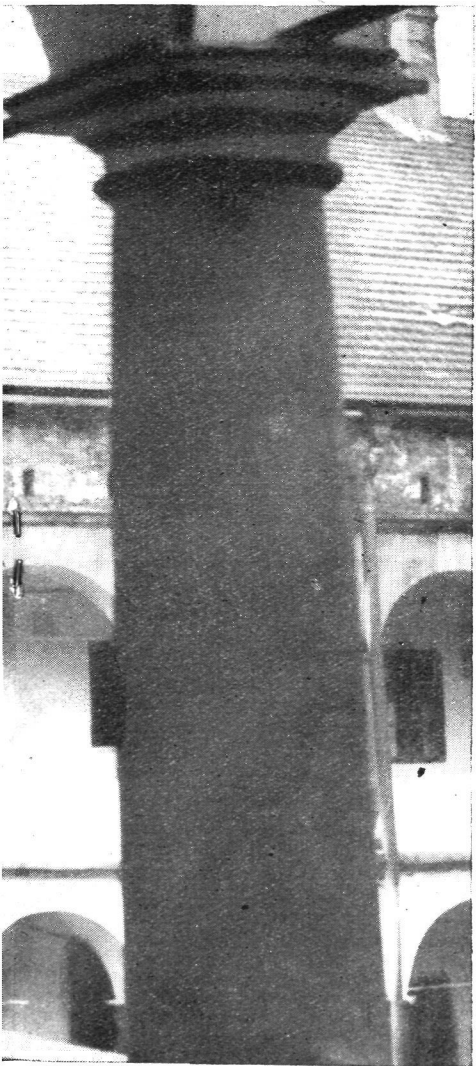
Zdjęcia: Aleksander ŁADNO



Na zdjęciu z lewej: widok poprzez fragment miasteczka na miejscowy Ratusz (XIX w.). Na jego wieżycyce przetrwał na widoku publicznym przez okres okupacji hitlerowskiej orzeł polski, wycięty w chorągiewce z blachy. Drugi orzeł, po którego nie odważyli się sięgnąć najeźdźcy, znajduje się na chorągwi rzeźby św. Floriana w głównym oltarzu kościoła



W obu zabytkowych budowlach znajduje się wiele cennych fragmentów. Obok po lewej widzimy bramkę w murze okalającym kościół z 1596 r. mistrza Santi Gucciego z Florencji. Również spod jego dłuta wyszedł wspaniały portal głównej bramy do zamku ozdobiony różami z kamienia, z których każda jest inna. Jest on też budowniczym pałacu w Baranowie i nagrobka króla Stefana Batorego w katedrze na Wawelu



Wypiętrowy. Górna kondygnacja spłonęła. W latach międzywojennych pokryto ją nowymi oknami, które wyrwały tylko kilka komnat, ale nie tracąc imu dawny, świetny wygląd



Fragment rynku z podcieniami. Niegdyś drewniana miasteczka między masywami kamiennymi zamku i kościoła, składała się z domczków z podcieniami. Do dziś zachowało się tylko kilka. Poniżej: w pobliskich partiach niepołomickich lasów znajduje się ośrodek wczasowy — z domkami, pawilonami, pływalnią i urządzeniami do sportu i wypoczynku. Z ośrodka korzystają przede wszystkim mieszkańcy Nowej Huty i turyści zdążający w głąb Puszczy Niepołomickiej

IL Y AVAIT UNE FOIS une belle forêt proche de Cracovie qui était alors la capitale de la Pologne. Par beau temps, des fenêtres du Wawel, on apercevait les denses massifs touffus de Niepołomice.

On ne peut donc s'étonner que Casimir le Grand y fit construire une belle résidence qui était censée servir pour ses grandes chasses, et aussi une église — en bon roi chrétien.

Effectivement ce palais servit pour des chasses royales, pour des rencontres diplomatiques ou simplement pour des jours de détente dans le calme de la forêt. Mais il fut surtout un refuge pour les amours royaux.

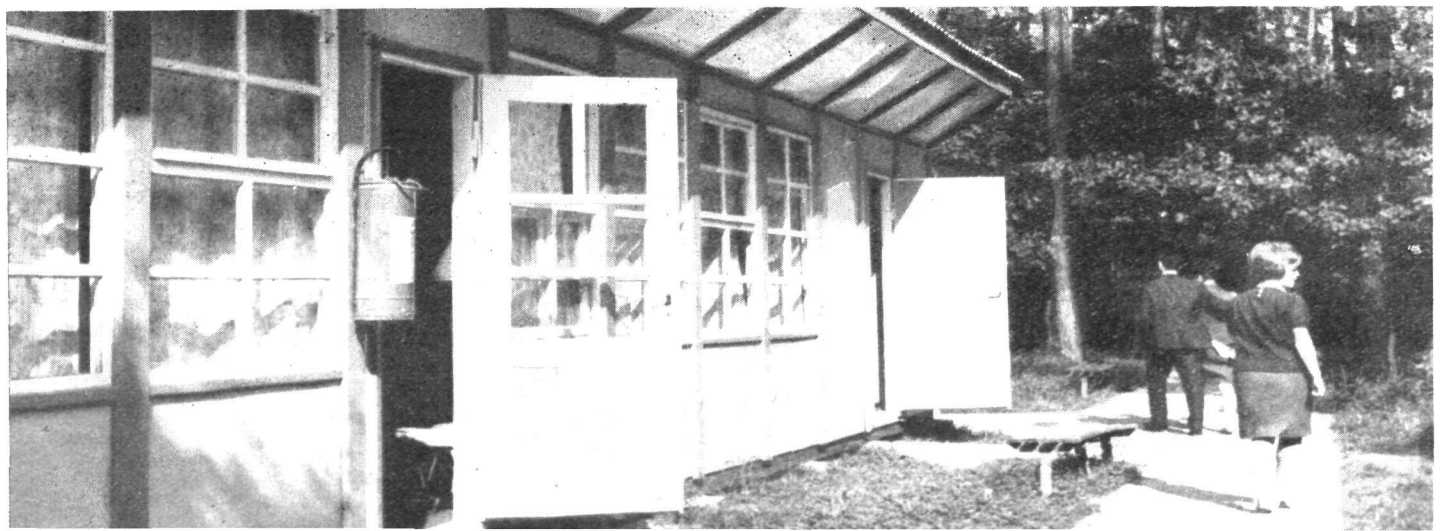
Selon les chroniqueurs, au moins six des neuf femmes qui traversèrent la vie du souverain, séjournèrent avec lui dans le château de Niepołomice ou y attendirent son bon vouloir: la gale Lituanienne Aldona, la laide Allemande Adélaïde, la veuve tchèque Rokicana, la châtelaine Cudka Sieciech (qui lui donna trois bâtards), la belle Juive Esther et la dernière des épouses légales du roi — Hedvige la Silésienne, fille du duc de Głogów et de Zagań.

Ladislas le Jagellon suivit son exemple puisqu'il séjourna souvent à Niepołomice, d'abord avec sa première femme Hedvige de Hongrie, puis avec ses autres épouses Anne, Elisabeth et Sonia la Ruthénienne. Le climat devait avoir des vertus bénéfiques, puisque de ce dernier mariage le roi, âgé déjà de 76, puis de 79 ans, eut trois fils dont Ladislas (mort à la bataille de Varna) et Casimir le Jagellon né en 1427. Et leur heureux père vécut jusqu'à 86 ans, chose plutôt rare à cette époque.

Ainsi fut-il jusqu'au dernier des Jagellons. Niepołomice, devenu un admirable château Renaissance, est lié à la seule et brève heureuse période des amours tragiques de Sigismond-Auguste avec Barbara Radziwiłł.

Avec le transfert de la capitale à Varsovie commença le déclin de Niepołomice. Les grandes chasses et les amours discrètes se firent rares, l'invasion suédoise au XVII-e siècle y laissa des ruines fumantes.

Aujourd'hui, dans ce qui n'est plus que le souvenir de la forêt d'antan, à proximité des hauts fourneaux de Nowa Huta, le château de Niepołomice, patiemment restauré, retrouve sa beauté. Certains affirment qu'on peut y entendre au soir des rires cristallins. Les belles de jadis reviennent au lieu de leurs amours...



dy szwedzkie. Zrabowane zostały jego wnętrza, a potem podpalone, stracił wówczas drugie piętro i wieżę, których już nigdy nie odbudowano.

Przeżyły jeszcze Niepołomice podniosła chwila w 1910 r., kiedy z inicjatywy miejscowych obywateli rozpoczęto budowę Kopca Grunwaldzkiego w miejscu, z którego Jagiełło wracając po zwycięstwie nad Krzyżakami odbył ostatnią część drogi na Wawel piechotą, przed nim zaś kroczyło rycerstwo ze zdobytymi chorągiewkami.

Sypanie Kopca stało się symbolem jedności rozdartych zaborami ziem polskich. Ze wszystkich stron przywożono lub przysyłano nań polską ziemię, również i z pola bitwy pod Grunwaldem. Nie brakło w tym dziele i polskiej emigracji, m. in. Sokoli amerykańscy przywieźli (1.VI.1914) 500 worków ziemi z grobów zmarłych w Ameryce wychodźców polskich.

Dziś z Kopca Grunwaldzkiego widać skromną panoramę Niepołomice, z zamkiem, zgrabną sylwetką kościoła i resztkami dawnej puszczy, z drugiej zaś strony mieniają się w oddali kopuły krakowskich kościołów i Wawelu oraz imponującą panoramę hal, wielkich pieców, martenów i koksowni Nowej Huty. Same zaś Niepołomice są jak dawniej oazą ciszy i spokoju. Leżą na uboczu i służą za wczasowisko pracownikom Nowej Huty i ich rodzinom.

Zespół Pieśni i Tańca „Wielkopolska” dość często daje występy w podpoznańskim Kórniku. Wśród zieleni parku kórnickiego znajduje się zamek z bogatymi zbiorami muzealnymi i bibliotecznymi. Tu, na rozległym dziedzińcu odbyła się próba przed wyjazdem zespołu do Francji

LA BRETAGNE fera bientôt connaissance avec le folklore polonais. L'ensemble de chant et de danses „Wielkopolska” (Grande Pologne) de Poznań — dirigé par MM. Roman Matysiak (chorégraphie) et Ludwik Rok (orchestre et choeurs) — effectuera en effet une tournée du 4 au 16 août et présentera son spectacle aux habitants de Brest, Landivisiau, Lorient, Sarzeau, Morlaix, Quiberon, Guilvinec, Perros-Guirec, Saint-Pol-de-Léon, Pont-Croix, Mur-de-Bretagne.

„Wielkopolska” — ensemble amateur — dont les membres sont médecins, ingénieurs, instituteurs, ouvriers, employés etc. — existe depuis plus de huit ans. Il compte plus de cent chanteurs, danseurs et instrumentistes dont la qualité permet à la troupe d'égaliser certains des célèbres ensembles folkloriques professionnels. Pour la saison d'été, „Wielkopolska” s'est scindé en deux troupes et deux tournées — c'est donc quelque 50 exécutants qu'applaudirons (nous en sommes sûrs) les Bretons et les nombreux estivants des stations du littoral.

C'est surtout le folklore de la Pologne qui figurera au programme, mais on y trouvera aussi une suite de chants et de danses de la Pologne centrale, de Basse Silésie, de la région de Rzeszów etc.



„WIELKOPOLSKA”

Prawie milion widzów oglądało dotychczas występy „Wielkopolski” w Kraju i za granicą. Niejednokrotnie młodzi amatorzy tańczą i śpiewają dla współziomków wielkopolskich — w rogalińskim parku, słynącym z pięknych starych dębów



PREZENTUJE W BRETRANII POLKĘ JAROCINKĘ I OBERKA POZNAŃSKIEGO

DO BRETRANII zawita polski zespół pieśni i tańca z Poznania. W przeciwieństwie do „Śląska” i „Mazowsza”, które są zespołami zawodowymi, „Wielkopolska” jest zespołem amatorskim. Wystąpi on w dniach od 4 do 16 sierpnia w następujących miejscowościach: Brest, Landivisiau, Lorient, Sarzeau, Morlaix, Quiberon, Guilvinec, Perros-Guirec, Pont-Croix, Saint-Pol-de-Léon, Mur-de-Bretagne.

„Wielkopolska” istnieje ponad 8 lat. Cały zespół liczy ponad 100 osób wyspecjalizowanych w śpiewie chóralnym, balecie i grze na instrumentach. Do Bretanii przyjedzie część zespołu — 50 osób.

Wszystko zaczęło się od maleńkiego kółka miłośników tańca i śpiewu przy Młodzieżowym Domu Kultury w Poznaniu. Zespół zrzeszał młodzież uczącą się i pracującą oraz członków różnych organizacji społecznych. Pod kierunkiem Romana Matysiaka — obecnego kierownika baletu i choreografa, Ludwika Roka — kierownika muzycznego i dyrygenta oraz doświadczonych pracowników — znawców sztuki i kultury ludowej przystąpił do żmudnego zbierania materiałów, które miały się stać drogowskazem w odtwarzaniu ludowych tańców wielkopolskich.

Zanim zatem młodzi Wielkopolanie stali się wykonawcami — jeździli najpierw po wsiach i osiedlach regionu wielkopolskiego, by wsłuchiwać się w rytmy i takty starych, zapomnianych często przyspiewek. Podpatrywali obyczaje i odtwarzali tradycje różnych części Wielkopolski. Wielu członków zespołu pochodzi ze wsi, sami zresztą niejedno pamiętali i przekazywali kolegom — co ułatwiło zadanie.

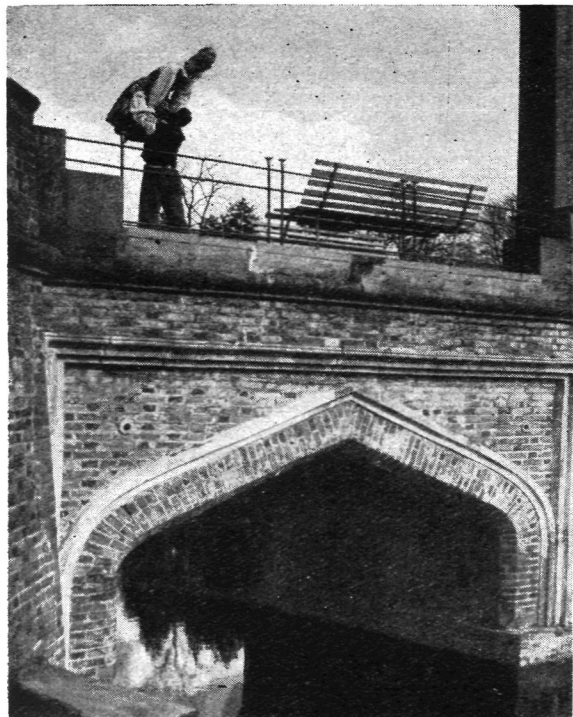
Zebrałe materiały postanowiono odtworzyć w pieśni i tańcach. Wiele prób i niemało pracy włożono, zanim pierwsze występy publiczne przyniosły uznanie i sukcesy. Zespół tańczył w Rogalinie — dawnym pałacu Raczyńskich, obecnie filii Muzeum Narodowego, w pięknym kórnickim parku, oczywiście w Poznaniu, potem w Warszawie, na Polach Grunwaldzkich z okazji Złotu Młodzieży z całego Kraju, w Olsztynie, Zielonej Górze, Gnieźnie, na uroczystościach dożynkowych w Warszawie itd. Występował też za granicą: w Jugosławii, Włoszech, Danii, Szwecji, Niemieckiej Republice Demokratycznej. Na każde tournée przygotowano inny program, inne układy choreograficzne, nowe pozycje repertuarowe, konsultowane uprzednio z wybitnymi znawcami sztuki ludowej i kompozytorami.

„Wielkopolska” uratowała od zapomnienia dawne formy muzyki ludowej. Pod Krotoszymem np. zachowały się zanikłe gdzie indziej pieśni o chmielu, sięgające czasów pogańskich, przetrwały także instrumenty muzyczne typowe dla tych terenów z „dudami” i „kozami” na czele. Lud Wielkopolski był niezmiernie przywiązany do tych prostych i prymitywnych instrumentów, czego najdobitniejszym wyrazem jest to, że gdy przed laty ludność udawała się stąd na emigrację, zabierała je ze sobą.

W repertuarze, jaki zaprezentuje nam „Wielkopolska”, zobaczymy najbardziej typowe regionalne tańce z „wivatami” i „przodkami”. Ujrzymy „Polonez powitalny”, „Hejże w tany” — oberek wielkopolski, „Polkę Jarocinkę”, „Poniewieranego”, „Foreje z batami”, a także mazury i kujawiaki, które znacznie odbiegają od typowych dla innych regionów tańców z przyspiewkami. Są niejako cięższe, wolniejsze, bardziej posuwiste. Ponadto Zespół pokaże suitę tańców i przyspiewek kurpiow-



Tak prezentuje się taniec krakowski na tle rogalińskiego pałacu. A jak będzie tańczony na estradach Bretanii, sami ocenimy. Znakomitą scenerią dla dziewcząt i chłopców w strojach regionalnych jest ich rodzimy krajobraz — piękna ziemia Wielkopolan, usiana malowniczymi stawami, jeziorami oraz parkami (z prawej)



Tańczyć można wszędzie, nawet na mostku starej fosy otaczającej zamek kórnicki (zdjęcie u góry). Podczas prób odbywanych przed przyjazdem do Francji ostatnich porad udzielał kierownik baletu i choreograf, p. Roman Matysiak (zdjęcie na dole), który również kieruje zespołem amatorskim Ziemi Lubuskiej, występującym obecnie w Belgii



skich, dolnośląskich, rzeszowskich i innych. Piękna jest również piosenka o Poznaniu oraz pieśni w wykonaniu żeńskiego zespołu wokalnego. Całość opracowana jest żywo, dowcipnie, choć nie braknie w niej nut rzewnych, sentymentalnych i patriotycznych. Na uwagę zasługują opracowania starych pieśni Wielkopolan dokonane przez poznańskich kompozytorów: Floriana Dąbrowskiego, Stanisława Paradowskiego, Władysława Dondajewskiego.

A sami artyści — kim są z zawodu?

Podczas ich pracy nad tańcami i śpiewami niejedną z nich ukończył studia wyższe, niejedną zyskał świadectwo dojrzałości w szkołach ogólnokształcących i zawodowych. Wielu ma już dyplomy inżyniera, lekarza, nauczycielskie i różnych szkół zawodowych: technicznych, mechanicznych a także plastycznych. Niektórzy mieszkają w Poznaniu i pracują w Zakładach Cegielskiego, inni dojeżdżają do poznańskiego Pałacu Kultury na próby z podpoznańskich osiedli i miast, pracują w biurach, w spółdzielniach, fabrykach.

Jedną z solistek baletu, Lidia Balcer, która jest ekspedientką — ukończyła szkołę baletową! Wszystkie pozostałe tancerki są amatorkami, np. Jadwiga Kielkowska — która tańczy w Zespole od samego początku, a pracuje stale w Spółdzielni Rzeźbiarzy i Stolarzy Artystycznej.



◆ W lutym kwiaty ◆ 13 lipca śnieg ◆ Z Gdańska na Hel saniami ◆ Srogie zimy ◆ Upalne lata

Już za czasów Piasta narzekano na... pogodę

Ulubionym tematem rozmów i narzekań jest pogoda. Psioząc na deszcz lub spiekotę, sięgamy pamięcią, jak to dawniej bywało — Bo, proszę pana, dawniej zimy były siarczyste, ale letnie miesiące wynagradzały sownicie zimowe chłody...

Okazuje się jednak, że nasi przodkowie, poczynając od Piastów, mieli nie mniejsze kłopoty z pogodą i zapewne narzekali, że ongiś...

NAJDAWNIEJSZE ŹRÓDŁA pisane, które przetrwały do naszych czasów, podają, że na przełomie 940—941 r. na ziemiach polskich panowała siarczysta zima i na niebie ukazały się komety. Z kronik Galla Anonima dowiadujemy się, że ostre mrozy notowano również w latach 1110—1111, kiedy to lody na jeziorach i bagnach służyły ludziom za mosty, a **Morze Bałtyckie skuł mocny lód**. W następnych latach przechodziły nad całą Europą ulewę i nawalnice. Wiele rzek wylało i niektórzy przepowiadali nastanie potopu.

Od marca do maja 1121 r. Polskę nawiedziła niezwykła o tej porze spiekota i susza. Wiosenne upały zniszczyły nawet zasiewy. W następnym stuleciu kronikarze częściej podawali opisy ostrych zim i wiosennych powodzi. Rok 1332 upamiętnił się niebywale upalnym latem.

W 15 lat później — 21 września 1347 r. Pomorze nawiedziły wielkie śnieżyce. Pod ciężarem śniegu pękły gałęzie drzew. Potem przysła powódź. O niezwykłym wybruku aury z 1412 r. wspomina Jan Długosz. Otóż w lutym owego roku na Litwie obrodziły wczesne jarzyny i było pełno kwiecica.

Inne źródła kronikarskie wspominają, że całe lato 1453 r. było zimne i deszczowe. W noc świętojańska panował mróz. 13 lipca spadł pierwszy śnieg z deszczem, a 8 września wody pokryły się warstwą lodu.

Osobliwe dziwy pogody zanotowano w 1471 r., gdy w drugiej połowie czerwca większość zbóż była zebrana z pól. Kilka tygodni wcześniej bogato obrodziły jabłonie i grusze. W początkach zaś grudnia w ogrodach i na łąkach kwitły kwiaty.

WNASTĘPNYCH WIEKACH materiały dotyczące aury były coraz obszerniejsze. Oto kilka ciekawostek.

1511 r. — w dzień sylwestrowy przeszła nad Śląskiem wielka burza z piorunami. 1540 r. — od Wielkanocy do jesieni trwała wielka susza. 1552 r. — 19 listopada w okolicach Namysłowa rolnicy po raz drugi wyszli w pole, aby zebrać jęczmień i owies.

1607—1608 r. — srożyła się wielka zima nad Bałtykiem. Z Gdańska na Hel jeżdżono saniami.

W latach: 1708, 1740, 1776 dały się we znaki ostre zimy. Narzekano na nie w całej Europie.

1804 r. — od 14 do 16 maja padał w Krakowskim obfity śnieg, pokrywając białą pola. 1817 r. — po łagodnej zimie pod koniec stycznia rolnicy w Małopolsce rozpoczęli prace.

Z zachowanych wykresów i kart synoptycznych wynika, że w ciągu ostatnich 100 lat było osiem ostrzejszych zim, z których trzy upamiętniły się jako „zimy stulecia”, rok 1871, 1940, 1963. Największe mrozy wystąpiły wówczas w styczniu, z temperaturą dochodzącą poniżej — 30 st. C.

Rekompensatą aury za osiem najzimniejszych zim było tyleż najcieplejszych lat! Szczególnie upalne lata zanotowano w 1911, 1917, 1939 i 1950.



Les chanteurs chez nous

YVES SIMON

YVES SIMON est né à la fin de la deuxième guerre mondiale, le 3 mai 1944 à Choiseul (Haute-Marne).

De la guerre, il ne connaît que les conséquences, le choc avec le monde nouveau qui éclate déjà devant sa petite enfance.

Après son bac, Yves Simon prépare et réussit un certificat de licence de lettres, puis s'inscrit à Paris à la Sorbonne. Parallèlement, il réalise avec quelques copains de l'IDHEC, un court métrage „Zun et la Vie” relatant l'existence courageuse d'un garçon qui vit la poésie au lieu de la rêver.

Un Télé-Dimanche le révèle à Roger Piauult de l'équipe SEGHERS „Poésie et Chanson”. Rencontre avec Claude Dejacques, contrat, travail de recherche d'une couleur, d'un style.

Bien entendu, c'est à la poésie que vont les amours d'Yves, non pas dans le sens d'un refus de la vie, mais au contraire dans la recherche d'un contact plus étroit avec les réalités de la vie quotidienne.

Yves aime la littérature fantastique, Lovecraft, Bradbury mais c'est vers Hemingway et Camus que se portent ses préférences.

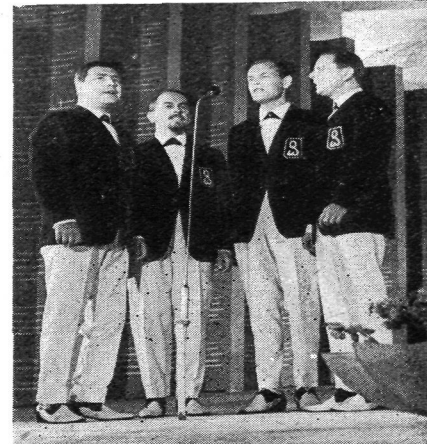
Au cinéma, Fellini, Renoir et Bunuel et dans la chanson, puisque c'est l'objet, Brassens, Barbara et Bob Dylan.

Son premier disque (Fontana 680.258) est un 33 tours de 12 titres dont Yves est à la fois l'auteur et le compositeur: 1. Ne t'en fais pas petite fille, 2. Manuel, 3. Le nouveau monde (d'après un thème d'Anton Dvorak), 4. Je voudrais qu'vous soyez belle, 5. Emmenez-moi, 6. Les petits „je t'aime”, 7. Père, mon père, 8. Je te dessinerai, 9. Pourquoi je vis, j'm'en fous, 10. La maison de mon père, 11. Moi j'arrose mes fleurs, 12. Septembre.

YVES SIMON, avec JACQUELINE DULAC et CLAUDE CELLER (que nous avons présenté à nos lecteurs dans la même rubrique) représentent la chanson française au Festival International de la Chanson à Sopot qui a lieu du 17 au 22 août.



Tadeusz Chyła — ulubieniec publiczności festiwalowej, twórca zabawnych ballad oraz śpiewanych opowieści

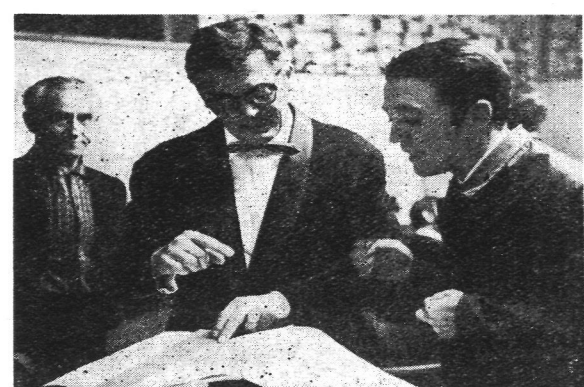


Jeden z nielicznych w Polsce, ale bardzo popularny zespół rewelersów, Kwartet Warszawski śpiewa w Opolu

EN CINQ ANS, les festivals de la chanson polonaise qui se tiennent à Opole, jolie ville silésienne, ont pris rang parmi les manifestations artistiques les plus attachantes et les plus populaires en Pologne. Le V-e Festival n'a pas dérogé à la règle, les critiques et le public étant unanimes pour affirmer que le niveau des candidats (à Opole ce sont les airs et les textes qui rivalisent pour les prix) et des exécutants a été encore plus élevé que par le passé. Chose intéressante à noter — le succès des chansons engagées telles „Tu reviendras” dont le texte lyrique disait l'amour du pays natal, ou „Que ce monde est bizarre”, „Nul ne nous prendra notre jeunesse”, „Laissez chanter les oiseaux”. Evidemment le public accordait autant d'attention aux textes qu'à ses „idoles”. Mais, pour une fois, l'un et l'autre étaient d'accord. Aussi, nous nous joignons aux applaudissements recueillis par Tadeusz Chyła, Wojciech Młynarski (qui chante ses propres textes et a remporté pas moins de trois prix), Katarzyna Sobczyk, Czesław Niemen, Jerzy Połomski, les ensembles des „Guitares Rouges” ou des „Rouges et Noirs”. Comme d'habitude, quelques nouveaux noms se sont fait remarquer, dont une jeune et jolie débutante — Urszula Sipińska qui fera encore parler d'elle.

OPOLE PO RAZ PIĄTY





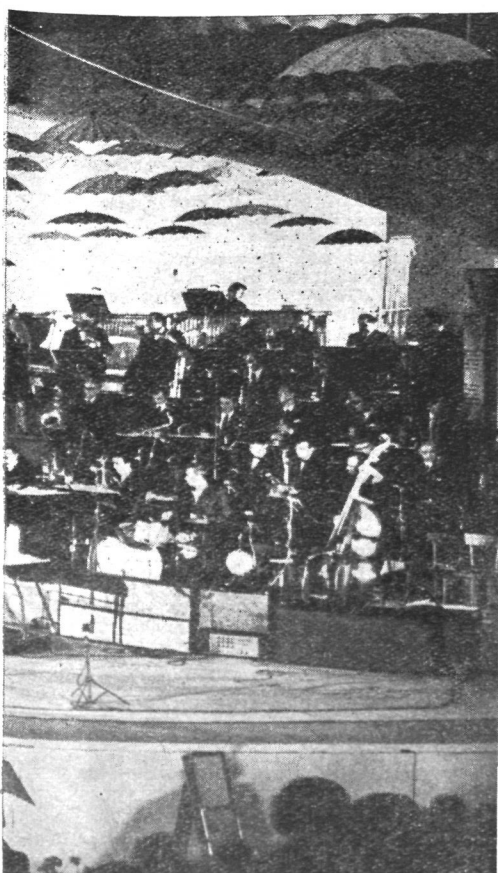
Jerzy Połomski (z prawej) przed wyjściem na scenę



Katarzyna Sobczyk zmienia w garderobie fryzurę



Publiczność opolska nie chciała wypuścić z estrady utalentowanego piosenkarza Wojciecha Młynarskiego (powyżej), autora tekstów popularnych piosenek



DOROCZNE FESTIWALE POLSKIEJ PIOSENKI w Opolu weszły na stałe do kalendarza największych i najpopularniejszych imprez kulturalnych w Kraju. Piąty z kolei wielki turniej melodii i piosenkarzy z całej Polski był okazją do pokazania wielu stylów zawartych w nowych kompozycjach i przedstawianych w nowym wykonaniu. Oceniono zgodnie, że sukcesem V Krajowego Festiwalu Piosenki w Opolu był nie tylko ten czy inny takt, ten czy inny przebieg, ale przede wszystkim atmosfera zaangażowania i śmiało lansowanie nowych kierunków twórczości piosenkarzkiej. Dzięki obiektywnej ocenie jury i znakomitej publiczności opolskiej w ciągu kilku dni przesłuchiwań wyłoniono kilkanaście wartościowych utworów.

V Krajowy Festiwal Piosenki dzięki starannej eliminacji pozwolił wylansować kilka utworów o poziomie prawdziwie europejskim, potwierdził dobre rezultaty poszukiwań większej poetyckości tekstów i starań o udoskonalenie aranżacji i instrumentalizacji utworów, potwierdził wreszcie dalszy rozwój specyficznie polskiego kabaretu, a szczególnie piosenek typu balladowo-kabaretowego (bardzo cenionych i powszechnie lubianych), piosenek nawiązujących do twórczości ludowej, nawet jarmarcznej. Podczas festiwalu wyróżniono również kilka utworów stoją-

cych na pograniczu pieśni i melorecytacji z nowoczesnym tłem muzycznym.

Utarło się przekonanie, że jedynym tematem literackim godnym piosenki może być liryka miłosna. Tymczasem doświadczenie Festiwalu w Opolu mówi o czymś innym. W ubiegłym roku karierę w Opolu zrobiła piosenka o przywiązaniu do ziemi ojczystej pod tytułem „Powróćisz tu”. W tym roku również autorzy i kompozytorzy zaprezentowali kilka piosenek, w których mocno dzwoniła nuta patriotyzmu czy żarliwego protestu przeciw bezsensowi wojny. Taka była między innymi piosenka Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat”. Dopatrzone się w niej nawet dalekiego pokrewieństwa ze słynnymi songami Bertolta Brechta. Takie były piosenki zespołu „Czerwonych Gitar” pod tytułem „Nikt nam nie weźmie młodości” i „Odro — rzeko” oraz piosenka w wykonaniu zespołu „Czerwono-Czarnych” pod tytułem „Pozwólcie śpiewać ptakom”, z mocno osadzonym w refrenie wyznaniem: „Chcemy kochać, marzyć, żyć!”

PUBLICZNOŚĆ GORĄCO PRZYJMOWAŁA wszystkich piosenkarzy, a zwłaszcza najpopularniejszych ulubieńców: Tadeusza Chylę, Wojciecha Młynarskiego (zdobył aż trzy nagrody festiwalowe za doskonałe własne teksty i wykonanie piosenek), Katarzynę Sobczyk. Olbrzymi aplauz widowni opolskiej zdobyły

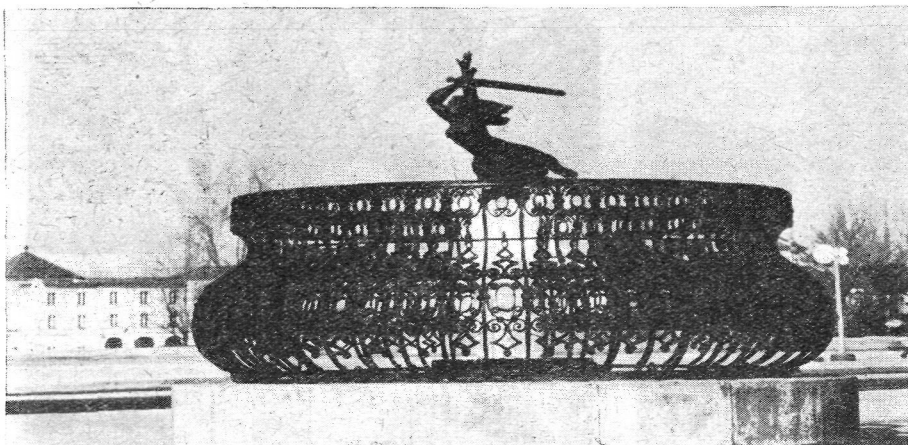
zwłaszcza dwie piosenki, autentyczne przeboje: „Trzynastego” i „Cała sala śpiewa” — obie brawurowo wykonane przez Katarzynę Sobczyk i Jerzego Połomskiego. Obie też śpiewali wszyscy zgromadzeni w amfiteatrze opolskim — i młodzi i starsi widzowie i słuchacze. Wojciechowi Młynarskiemu po wykonaniu żartobliwej piosenki „W co się bawić” widownia odśpiewała „Sto lat!”, co nie zdarzało się dotąd na festiwalach piosenkarzskich.

Na V Krajowym Festiwalu Piosenki w Opolu dopuszczono do głosu licznych piosenkarzy-amatorów, w ramach specjalnego programu „Mikrofon dla wszystkich”. Zaprezentowano tu laureatów Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, która to prezentacja pozwoliła wylansować kilka obiecujących nazwisk.

To również można zapisać na konto tegorocznego festiwalu, podobnie jak udany mariaż muzyki baletowej z folklorem.

W tym roku festiwal opolski otrzymał jeszcze piękniejszą oprawę, niż działo się to w latach ubiegłych. Gospodarze miasta zrobili wszystko, aby festiwal wypadł w prawdziwie świątecznej atmosferze, kończąc go feerią fajerwerków na bezchmurnym niebie. Bardzo starannie opracowano też dekoracje tej niezwyklej, bardzo improwizatorskiej i bardzo udanej imprezy.

Zdjęcia: Tadeusz KOSZYŃSKI



W sercu Stolicy Polski na Placu Teatralnym przed Pomnikiem Bohaterów Warszawy, wewnątrz ozdobnego ogrodzenia stoi metalowy słupek, na którym oznaczono geograficzne położenie miasta: szerokość — 52 st. 14 min. 40 sek; długość — 21 st. 00 min. 42 sek. Słupek ten postawiono w roku 1860. To miejsce na ziemi, zroszone krwią bohaterów, było widowiskiem wielu tragicznych wydarzeń. Warszawa miała być z rozkazu Hitlera wykreślona z mapy świata. Stało się inaczej. Miasto dźwignęło się z ruin wojny — piękne, rozległe, niepokonane

ZAPOMNIANA REDUTA

NA ŻOLIBOŻU Powstanie rozpoczęło się przed wyznaczoną godziną „W”. Już o 13.50 padły pierwsze strzały.

W przeddzień wybuchu zapatrzyłem swoją drużynę w białe-czerwone opaski w miejscu alarmowej zbiórki, w „zaufanym” mieszkaniu mojej ciotki, przy ul. Krasieńskiego. Tego dnia otrzymałem jeszcze dodatkowe zadanie: zdobyć radioodbiornik z mieszkaniem fryzjera, volksdeutscha, zamieszkałego przy ul. Królewskiej i dostarczyć go 1 sierpnia po południu na Żoliborz.

Niestety: tego rozkazu wykonać nie zdołałem, bo droga na Żoliborz o godz. 14 była nie do przebycia. Kluczając ulicami, znalazłem się na ul. Marszałkowskiej przy ówczesnej kawiarni „Szwajcarska”. Nagle — strzelanina. Posypały się serie pocisków z niemieckich peemów i pojedyncze strzały z naszych pistoletów. Na ulicy pozostało kilkoro rannych. Inni wbiegli do bram i miejsc bezpiecznych od świszających kul.

Żołnierzy podziemia nie trudno było rozpoznać po butach z cholewami i sportowych ubraniach z podejrzanyimi pakunkami. Spiechli na wyznaczone miejsca bojowego alarmu, na godzinę „W”. Nie znaleźmy się osobście, jednak wyczuwaliśmy między sobą związek wspólnej sprawy. Ale także niemieckie szpicle, a było ich немало, wiedzieli, kto się porusza po ulicy w to sierpniowe popołudnie.

Chroniąc się przed ostrzeliwaniem, wbiegłem do kawiarni „Szwajcarska”. Wśród kawiarńskich gości byli również Niemcy. Wszyscy zaskoczeni — zarówno umundurowani jak i cywilni. Strzelanina na ulicy wzmagala się i do lokalu wchodził coraz to inni przechodnie. Różni. Byłem w rozterce. Co robić? Ilu to naszych, a ilu Niemców? (Później okazało się, że było ich sporo, wśród nich także gestapowcy.) Zorientowana w sytuacji obsługa kawiarni nie straciła głowy (chwała jej za to). Lokal zamknięto na klucz. Do mnie zbliżył się szatniarz i powiedział: „Chodź pan ze mną, na dół, do piwnicy, tu niepewnie”. Poszedłem.

Późnym zmrokiem, kluczając piwnicami i podwórkami, orientowany przez rozestawionych rodaków, dotarłem do ulicy Kruczej. Tam zgłosiłem się do tworzącego się oddziału. Trafiałem do zgrupowania „Beit”, później przemianowanego na III batalion 21 pułku piechoty AK. W tym batalionie wraz z dzielnymi towarzyszami broni przeżyłem 63 dni i tyleż bezsensownych nocy. Był to jedyny w swoim rodzaju żołnierski egzamin. Na ten temat i o tych dniach powstańczych napisano wiele. Czy jednak temat wyczerpano?

Zaraz w pierwszych dniach Powstania kompania por. „Budziszyńska” (Kazimierz Pręczyński), w niekompletnym jeszcze składzie i z mizernym uzbrojeniem, objęła placówkę powstańczą po stronie północnej Al. Jerozolimskich. Rejon zamknięty ulicami: Kruczą, Nowogrodzką i Marszałkowską. Od Kruczej do BGK zajął swe pozycje bojowe batalion „Szkoła”. Ugrupowania nieprzyjaciela, bardzo silne, składające się z kilku kompanii SS i Wehrmachtu, usadowiły się w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, w hotelu „Polonia”, na Dworcu Głównym, na Poczu-

DZIECI w wieku lat 10, które podczas Powstania Warszawskiego pełniły służbę łączników, a nierzadko i w bezpośredniej walce rzucały butelki z benzyną na hitlerowskie czołgi, mają dziś lat 33. Pamiętają owe 63 dni Powstania tragicznie i groźnie splecione z ich dzieciństwem. Więcej jednak niż połowa ludności Polski nie ma jeszcze trzydziestu lat i dla nich Powstanie Warszawskie — to historia zapisana w podręcznikach i w skarbcu pamięci narodowej.

Powstanie było heroiczną demonstracją woli walki z okupantem, bohaterstwa i patriotyzmu ludności Warszawy. W sierpniu i wrześniu 1944 roku na barykadach stolicy Polski walczyli ramie przy ramieniu żołnierze Armii Krajowej, Armii Ludowej i innych oddziałów zbrojnego podziemia. Podjęli walkę ze śmiertelnym wrogiem, walkę o wolność i niepodległość ojczyzny i wypełnili swój obowiązek do końca.

Trzeba jednak przypomnieć, że w zamiśle przywódców obozu londyńskiego Powstanie Warszawskie miało być ciosem wymierzonym rodzącej się władzy ludowej. Zamiast ten był nieznanym szerokim masom żołnierskim AK, był czynem wymierzonym w najżywniejsze interesy Polski. Na polityczne manowce miało sprowadzić naród Powstanie w intencji tych, którzy je wywołali. Zrobili to bez porozumienia z dowództwem armii radzieckiej i walczącymi u jej boku oddziałami Wojska Polskiego, nawet wbrew radom zachodnich aliantów. Politycy hołdujący teorii „dwóch wrogów” ponieśli klęskę.

Powstanie upadło. Zginęło w czasie walki i zostało zamordowanych przez hitlerowców około 200 tysięcy osób, w tym ponad 16 tysięcy powstańców. Z lewobrzeżnej Warszawy wysiedlono całą ludność, a miasto zostało niemal doszczętnie zniszczone. Żadne liczby nie zdołają ukazać straszliwego obrazu pępek pustyni ruin i zgliszcz, jaką była wówczas Warszawa, nie zmierzają cierpień, bólu i tragedii, jakie stały się udziałem jej mieszkańców.

Powstanie upadło, ale naród zwyciężył. Zamknięty został jeszcze jeden rozdział historii, która wydała wyrok na antyludowych, reakcyjnych polityków i zapisała złotymi zgłoskami czyny żołnierzy Powstania.

Wieczna chwała poległym w walce o wolność i niepodległość narodu!

cie przy ul. Nowogrodzkiej oraz w restauracjach „Żywiec” i „Cristal”. Stamtąd bezskutecznie rażono nas ogniem. Al. Jerozolimskie jako arteria przelotowa wschód — zachód były wówczas dla Niemców „oczkiem w głowie”. Toteż czołgi penetrowały ten rejon bardzo intensywnie, a piechota nieprzyjacielska, korzystając z tej osłony, wypadami usiłowała zepchnąć nasze pozycje poza rejon Alei. Broniliśmy się butelkami z benzyną i granatami powstańczej produkcji — nie było innej broni przeciwpancernej. Dopiero później zdobyliśmy kilka „pancerfaustów”. Z broni ręcznej kilka karabinów i pistoletów różnych kalibrów stanowiło wszystko, co posiadaliśmy. Zdałoby się, że przy takim układzie sił nie mieliśmy szans na prowadzenie działań obronnych, a tym bardziej zaczepnych. Ale tylko się tak zdawało, bo wbrew logice — Niemcom nie udało się zepchnąć nas z zajmowanych pozycji, lub jeśli im się to udawało w ciągu dnia, nocą wracaliśmy na utracone placówki.

ZADANIE BOJOWE, które przypa- dło do wykonania naszej kompanii, wydawało się nieiznaczalne. Otrzyma-aliśmy rozkaz: „przebrać” Aleje podwójną barykadą i zbudować trwałe, możliwie bezpieczne przejście — rów łącznikowy między Warszawą-Północ a Warszawą-Południe. Po wykonaniu tego zadania należało utrzymać przejście mimo ciągłych ataków nieprzyjaciela i zapewnić bezpieczeństwo korzystającym z niego oddziałom, łącznikom i ludności cywilnej, która w wyjątkowych wypadkach otrzymywała przepustki na przekroczenie tego jedynego połączenia między Warszawą-Północ i Południe.

Bohaterskie łączniczki i sanitariuszki po dziś dzień żywe w naszej pamięci



Dowódca plutonu saperów ppor. Łowiński („Byliński”) przystąpił do dzieła pod osłoną naszej kompanii. Praca w dzień okazała się niemożliwa. Silny ostrzał z broni maszynowej i granatników tworzył zaporę ogniową nie do przebycia. W tych warunkach nie można było prowadzić robót saperskich. Nocą natomiast najmniejszy ruch prowokował Niemców do prowadzenia ognia pociskami świetlnymi. Mimo to przystąpiliśmy do roboty.

Pod numerem 17 w Al. Jerozolimskich zgromadzono setki worków. Przy pomocy ludności cywilnej w nocy napełniliśmy je ziemią i układaliśmy z nich barykadę. Praca, prowadzona jednocześnie po obu stronach Alei, które w owym czasie miały dwadzieścia kilka metrów szerokości — choć wolno — posuwała się naprzód. Ale gdy po pierwszych dwóch nocach zbudowaliśmy już pokaźną część barykady, nadjechały czołgi i pociskami z dział obrócili naszą robotę w niwecz.

Nie ustąpiliśmy. Rozpoczęliśmy od nowa. Ale cóż z tego, Niemcy w ciągu dnia ponownie zniszczyli barykadę. Powtarzało się to kilkakrotnie. Byliśmy zrozpaczeni. Wreszcie zrodził się nowy pomysł budowy. Postanowiono przez wybitny otwór w piwnicy budować wykop głębokości 1,5 metra poniżej poziomu jezdnii. Praca ta wymagała jednak pomocy murarzy, hydraulików i innych speców. Nasz dowódca saperów szybko znalazł chętnych wśród mieszkańców najbliższych ulic. Przyszli z pomocą entuzjastycznie.

Teraz Niemcom niełatwo było zniszczyć wykonaną pracę. Ryliśmy Aleje jak krety. Kule karabinowe nie były dla nas groźne. Wtedy Niemcy zastawiali najgroźniejszą w walkach ulicznych broń — granatniki. Jednej nocy urządzili nam prawdziwe piekło. Tylko dzięki intuicji dowódcy saperów

uniknęło się masakry. Gdy do wykopu wpadł pierwszy pocisk z granatnika, padł jego rozkaz: „Wycofać się!”. Całe szczęście, gdyż po chwili tuzinami zaczęły się sypać do wykopu rozpryskujące pociski. Szkody były znaczne, ale na szczęście, nie wśród powstańców, którzy schronili się bezpiecznie.

Następną przeszkodę napotkaliśmy już na środku jezdnii, w miejscu najbardziej niebezpiecznym, gdyż narazem na celny ostrzał z pozycji niemieckich. Otóż tunel kolejowy, przebiegający pod Alejami, pozwalał na wykonanie wykopu tylko na głębokości 80 cm. W dodatku szyny tramwajowe nie chciały ustąpić. Potrzebny był materiał wybuchowy, a myśmy go nie mieli. Co robić?

Por. Budzisz jakimś cudem zdobył 5 kg trotylu. Na przerwanie jednej szyny zużyliśmy 1 kg, czyli można było wykonać 5 przerw w szynach tramwajowych, a więc zniszczyć jedno torowisko w dwóch miejscach i jedną szynę torowiska, lecz tylko w jednym miejscu. Poszukiwania większej ilości trotylu nie dały efektu. Z konieczności niebezpieczne punkty barykady zabezpieczyliśmy stertami worków z piaskiem. I wreszcie po tej uciążliwej robocie powstała NASZA REDUTA — jedyny łącznikowy kanał z Warszawą po drugiej stronie Alei.

ILEŻ TO ISTOT ludzkich reducie, zawdzięcza życie? Iluż to rannych powstańców, ewakuowanych po upadku Starego Miasta, wróciło do zdrowia właśnie dzięki temu, że udało się ich przenieść na noszach przez Aleje do szpitali polowych, które znajdowały się w piwnicach. Były to tysiące szczęśliwców. Piszę o tym, by podkreślić bohaterstwo i wytrwałość żołnierzy II batalionu „Beit” z 21 pułku piechoty, a szczególnie tych z kompanii por. Budzisza i plutonu saperów ppor. Łowińskiego i tych wszystkich cywilnych bojowników, którzy z tak wielkim poświęceniem pomagali nam w budowie reducy.

Wiernie służyła ona Powstaniu, mimo że Niemcy ślali na nią pociski z granatników i „Goliaty” (z którymi po raz pierwszy zetknęliśmy się właśnie tam). Ginęli dzielni chłopcy i dziewczęta, ale reduta nie ustąpiła.

Gdy w pierwszych dniach sierpnia zostałem ciężko ranny, a potem, dzięki opiece naszych lekarzy i sanitariuszek, wylizałem się z ran, wyznaczono mnie na dowódcę przejścia przy Al. Jerozolimskich nr 17. Wtedy właśnie mogłem ocenić, jakim wielkim dobrodziejstwem była ona dla działań powstańczych i ruchu ludności. Dlatego też sądzę, że będę wyraziłem opinii zarówno moich towarzyszy broni, jak i tych wszystkich, którzy w naszą barykadę włożyli tyle pracy i serca, gdy proponuję, by władze miejskie Warszawy, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację upamiętniły miejsce istnienia reducy pamiątkową tablicą.

Warto, by młodsze pokolenia wiedziały, że było takie przejście zbudowane w walce, utrzymane w walce i do końca służące warszawiakom w czasie Powstania.

Bogdan SIUDOWSKI



Plk Stanisław Steczkowski, „Zagończyk”, od 1940 r. współorganizator zbrojnego Ruchu Oporu. Podczas Powstania Warszawskiego był dowódcą IV Rejonu AK. Oddziały podporządkowane mu wstąpiły się przy zdobywaniu „Pasty”, Głównej Poczty, w obronie dworca, w walkach na Starym Mieście



Harcmistrz ppor. Stefan Jaroń-Kowalski, współorganizator „Szarych Szeregów”, dowódca wyszkolenia tzw. „małego sabotażu”, wykładowca tajnych kursów podchorążówki. Podczas Powstania brał udział w ciężkich walkach w obronie Wytwórni Papierów Wartościowych, po wycofaniu się z Woli



Eugeniusz Rajewski „Gentek”, współorganizator od 1940 r. drużyn „Szarych Szeregów”, dowódca grupy specjalnej tzw. „małego sabotażu”. Podczas Powstania dowódca plutonu szturmowego Batalionu Harcerskiego „Odwet”. Po wydostaniu się z okrażeń niemieckiego walczył w obronie Politechniki

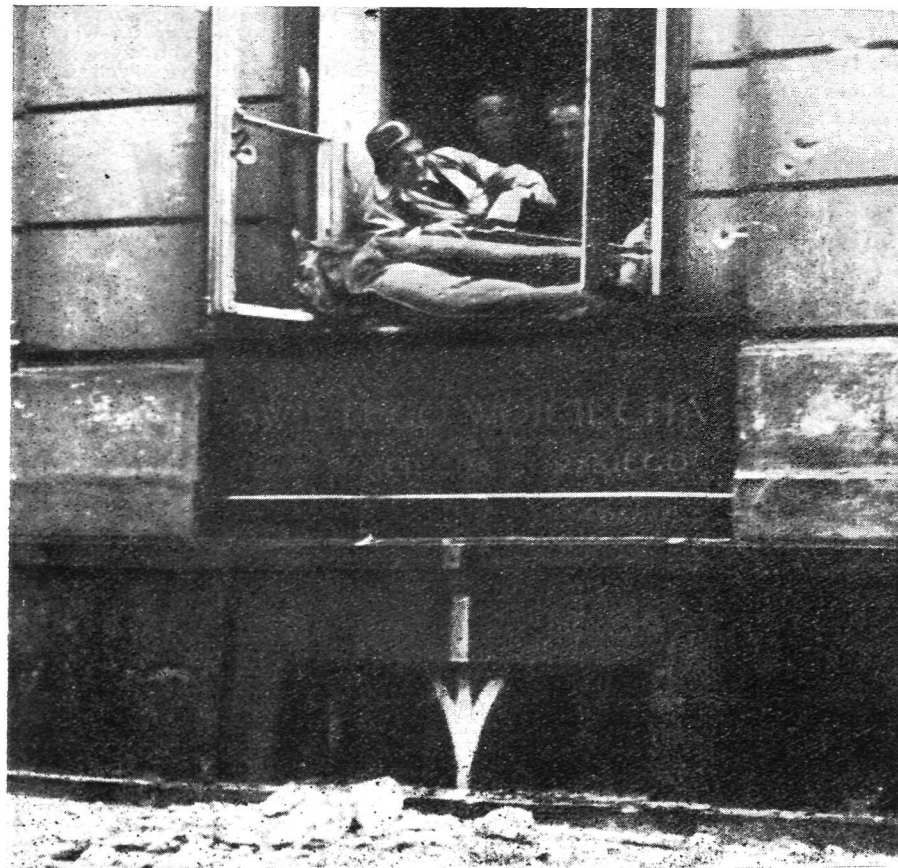


Inż. Józef Korab-Kamiński „Hryniwicz”; szef tajnego kolportażu „Szarych Szeregów”. Podczas Powstania wstąpił się w walkach w rejonie Starego Miasta jako dowódca plutonu komp. „Lukasieński”. Wymienieni są kawalerami wielu odznaczeń bojowych. Wszyscy pracują obecnie w Warszawie

„Warszawskie dzieci, idziemy w bój,
za każdy kamień Twój,
Stolico damy krew...”

(z pieśni powstańczej)

Główną siłą Powstania Warszawskiego była ludność Stolicy. Jego armią była przede wszystkim patriotyczna młodzież warszawska, która w Powstaniu widziała tylko jeden cel — walkę ze śmiertelnym wrogiem, walkę o wolność i niepodległość ojczyzny.



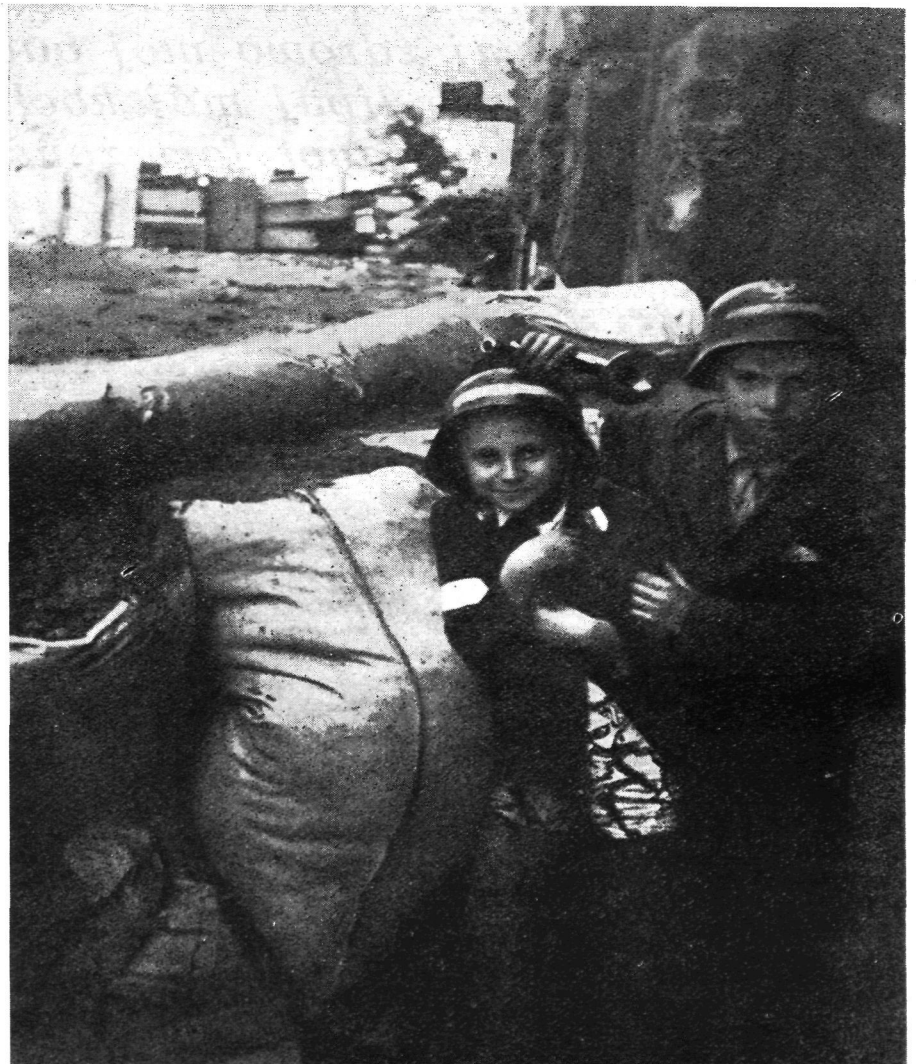
JEDNĄ Z NAJPIĘKNIEJSZYCH KART bezgranicznego poświęcenia i niezłomnej woli zapisały podczas okupacji hitlerowskiej i Powstania Warszawskiego słynne harcerskie „Szare Szeregi”. Większość młodych chłopców i dziewcząt w konspiracyjnych zastępach i drużynach, na tajnych kursach poznała zasady służby łączności, podstawowe czynności pirotechniczne, sposoby niesienia pomocy sanitarnej, elementy topografii i rozpoznawania terenu. Po odbyciu służby łącznikowej, złożeniu uroczystej przysięgi, wykazaniu się odwagą i przedsiębiorczością w drużynach tzw. małego sabotażu, starsi chłopcy podejmowali naukę władania bronią krótką i automatyczną. Właśnie z tych najmłodszych rekrutowała się większość oddziałów armii podziemnej działających w miastach.

Z „Szarych Szeregów” wywodzi się wielu bohaterów Polski Podziemnej — słynny „Zośka” — Tadeusz Zawadzki, „Rudy” — Jan Bytnar, „Kruszynka” — Zdzisław Poradzki, „Alek” — Aleksy Dawidowicz i wielu innych zapisanych i nie zapisanych w kronikach walki z okupantem. Organizowali i wykonali wiele sławnych akcji sabotażowych i bojowych, jak: zdjęcie tablicy niemieckiej z pomnika Kopernika na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, zamach na gestapowca Hoppego w Krakowie, odbicie więźniarek w Celestynowie, odbicie „Rudego” z rąk hitlerowców pod Arsenalem w Warszawie, wykonanie wyroku śmierci na szefa policji Kuttscherę. Nie sposób wymienić wszystkich większych akcji.

Podczas Powstania Warszawskiego najślawniejsze szturmowe, śmiałe ataki i zaciekle akcje obronne były udziałem młodych wychowanków „Szarych Szeregów”. Harcerskie bataliony powstańcze „Zośka”, „Parasol”, „Odwet”, „Miotła”, „Wigry”, „Jerzyki”, „Leśnik” i inne wstąpiły się wybitnym męstwem i niezwykłą odwagą. Ogromne usługi powstaniu oddali kilkunastoletni łącznicy przenoszący rozkazy, meldunki, broń, amunicję, żywność, podobnie jak 10-letni członkowie Harcerskiej Poczty Polowej, którzy roznosili bez trwogi i wytchnienia listy i prasę. Młodzieńskie sanitariuszki, ciche bohaterki do dziś żyją w pamięci i pieśni. Były to najdzielniejsze dziewczyny lat wojny.

Ewa Szellburg-Zarembina, znakomita pisarka i wielka przyjaciółka dzieci i młodzieży, zaapelowała przed dwoma laty o trwałe uczczenie pamięci tych dzieci, które „cierpiały i ginęły tylko dlatego, że były dziećmi tej ziemi i broniły wolności i honoru”.

Dzieci polskie poległe w walce z okupantem hitlerowskim zasłużyły sobie na taki pomnik.



Un des détachements les plus combattifs de la Résistance à Varsovie avait été formé par des véritables „poulbots”, scouts et éclaireurs. Garçons et filles de treize, quatorze ou quinze ans jouèrent un rôle important pendant l'Insurrection de 1944. Estafettes, agents de liaison infirmières, porteurs de munitions — ils firent montre d'un courage hors pair. Durant les 63 jours des combats fonctionna sans répit une Poste de Campagne organisée et desservie par des enfants encore plus jeunes, âgés de 10—12 ans, pleinement conscients de leur responsabilités



PIWIARNIA WARSZAWSKA. Rycina Wł. Podkowińskiego w tygodniku „Kłosy” (1885)

FRAJCUZ Z MOKOTOWA

... „Knaja binia kiele kwachu
Kiwaj zdrowo mój buchaczu.
Cwano lipaj mój kochany
Klawy fagot fort zbuchany“.

DZISIAJ nawet w Polsce niewielu jest takich, którzy odgadną, o czym mówi przytoczona piosenka, śpiewana przez podwórkowego artystę XIX-wiecznej Warszawy. Nic dziwnego. Była to „piosenka złodziejska”, a użyte w niej słowa stanowiły wtedy określenia powszechnie używane w ówczesnej gwarze złodziejskiej, czyli „grandziarskiej”. To ostatnie słowo pochodzi od francuskiego „grand”. Słowo *granda* w tamtych czasach przyjęło się w Polsce i oznaczało wesołość, żart, awanturę, bandę, a w gwarze złodziejskiej większą kradzież lub zabawę.

Ludziom znającym język francuski nie obce są takie słowa, jak: *mazurka* lub *chapska*, oznaczają taniec i wojskowe nakrycie głowy, tzw. rogatywkę. Oba pochodzą z języka polskiego. Przykłady te świadczą o wzajemnym przenikaniu obydwóch języków. Ta swoista wymiana datuje się od dawnych kontaktów polsko-francuskich, jeszcze z czasów przedrozbiorowych. Później kampania napoleońska, emigracje popowstaniowe, tendencja niektórych środowisk krajowych do brania wzorów ze wszystkiego co francuskie sprawiły, że w wieku XIX między francuskie słowo weszło na trwałe do języka polskiego. Wpływy francuszczyzny najbardziej uwidaczniały się w Warszawie.

ÓWCZESNA MUNICYPALNOŚĆ (municipalité) miejska, czyli — jak byśmy dziś powiedzieli — władze magistrackie lub komunalne, niezbyt dbały o wygląd zewnętrzny stolicy. *Futrowano* (foutre) czyli lajano je za to na łamach ówczesnej prasy, ale bez widocznych skutków. Ulice centrum Warszawy, tzw. reprezentacyjne, brukowane były, czyli wyłożone „kocimi łbami”, natomiast ulice dzielnic odległych od centrum — były po prostu polnymi drogami.

Wycieczkowy trakt w stronę Bielani, tzw. *szose* (chaussée), był niczym innym, jak szeroką polną drogą. Miejsca dla pieszych w mieście, tzw. *trytuary*, *trotuary* lub *trottoir* (trottoir), zrobione były z desek lub z dużych płyt granitowych, ale nie na całej szerokości, a jedynie środkiem chodnika szła płyta.

Nie jeden *zambetowany* (embêté), czyli zmęczony nadmiarem wypitych trunków, zamiast udać się z restauracji wprost *ala maison* (à la maison), chcąc powłóczyć się, czyli *poslanować* (flâner) po mieście, wpadał w taki rymostok i wielu trzeba było nieraz zabiegów, aby go stamtąd wyciągnąć.

Przejście przez ulice w tych warunkach było prawdziwym bohaterstwem, nic też dziwnego, że niejednym wyelegantowany, czyli *wyszarmantowany* (charmant) gog, jak nazywano ówczesnych modniśków dla odwagi, czyli dla *kurazu* (courage) wypijał jeden głębszy i wtedy dopiero ruszał w drogę... Brnąc przez błoto, mimo że trzymał się *ferm* (ferme) czyli ostro, po dojeździe do celu stwierdzał, że zostawił po drodze oba modne *kamasze* (gamache).

Zimą lub jesienią, roztopy zalewały jezdnie i trotuary. Woda lała się do *suterym* (souterrain) lub jak mówiono *sutyrym*, gdzie gnieździła się biedota miejska. Widok ulic w tym czasie budził zdziwienie, że Warszawa na wzór Wenecji nie stała się miastem gondoli...

Centrum Warszawy oświetlały latarnie gazowe. W modę zaczynały wchodzić *reuerbery* (réverbère), czyli uliczne latarnie z reflektorami, peryferie zaś oświetlane były lampami naftowymi lub olejowymi, czyli „*karselami*” — od ich wynalazcy, Francuza B. G. Carsela. Nie znano jeszcze zastosowania elektryczności, dopiero coś niecoś o tym mówiono.

Bywały jednak okazje, kiedy Warszawa zasługuwała na specjalną *iluminację* (illumination) w dniach świątecznych uroczystości, jak mawiano *fajnpa-
parad* (parade). W takich dniach wszystkie rynsztoki obstawiano doniczkami z lojem, z zapalonymi knotami. Efektownie to wyglądało, *ambaras* (embarras) czyli kłopot polegał na tym, że parę dni później miasto tak cuchnęło lojem, że trzeba było specjalnie wietrzyć...

Mieszkania lepiej sytuowanych *notabli* (notable) miejskich oświetlały *zyrandole* (girandole) poobszadane stearynowymi świecami oraz ozdobne lampy naftowe, stojące na *patarafkach* (patarafe) — ozdobnych podkładkach. Pomieszczenia biedoty oświetlały kopcące lampki olejne, sprawiające co-raz to nową *surprizę* (surprise), czyli niespodziankę, w postaci gaśnięć, kopcenia lub nieznośnego skwierczenia.

ROZKOCHANA była XIX-wieczna Warszawa we wszelkich grach i hazardach. Szybko więc wynalazek angielskiego właściciela lombardu Wilhelma Kewa, zwany *bilardem* (billard), znalazł i tu wielbicieli. Grali wszyscy. Przesycał innych wrażeniami, jak mawiano *zblazowani* (blaser) *lan-
sery* (lancer) czyli bywalcy salonów warszawskich, bankierzy i kupcy, urzędnicy państwowi

i indywidua o podejrzanej reputacji — „elita uliczna”. Niejednego fantazja, czyli *rezon* (raison), tak poniosła, że ani się nie obejrzał, jak mu *portefelu* (portefeuille), „bankocetłów” lub „bankocetłów”, jak nazywano banknoty, zabrakło.

Miała Warszawa i własną fabrykę bilardów Ferdynanda Tropschla na ulicy Czerniakowskiej, produkującą bilardy uważane wśród znawców za *massyw* lub *massif* (massif), czyli bilardy zrobione dobrze. Grano w piramidkę i *alagier* lub *alagierek* (à la guerre) lub w *karambul* (carambole). Warszawscy „karambuliści” nie *brylowali* (briller) czyli nie *blyszczeli*. Nieodściągłym wzorem dla nich byli paryscy bilardziści, którzy jak głosiła fama, wykonywali 1000 i więcej karamboli. Ukształtowała się nawet grupa zawodowców, którzy czasami z *szykiem* (chic) „à la façon” udawali się w *wojaż* (voyage) do Petersburga, by tam podreperować chudy portefejl i na obcym terenie zapewnić sobie większy miesięczny dochód, czyli *gagę* (gage).

Bilard nie stanowił jedynej pasji warszawiaków. Namiećnie grywano na loterii i na wyścigach, wymyślano szereg gier w „cetno-licho”, w moniaki lub guziki, w pliszki i w klipę, w zielone oraz w „lotto”. Dzisiaj trudno nawet ustalić na czym polegała zasada wielu z tych gier.

Warszawiacy mieli jednak wyjątkowego *febla* lub — jak mówiono — *feblika* (faible), czy skłonność do gry w karty. Grano m. in. w macao zwane *makiem* lub *maczkim* (macao), *bezyka* (bésique), *szmendefera* (chemin-de-fer), czyli do dziewiątki, jak mówiono do *nefki* (neuf), w *tryseta* — (trois-sept), czyli trzy siódemki wygrywają, i wiele innych gier.

Randewu (rendez-vous) lub jak pisano *rande-wu*, karciarze wyznaczali sobie w knajpach, w domu, na cukiernianych *werendach* (véranda), na targu, na majówce i odpuszcie. Grano, aby grać i wygrać. Grano dla zabicia czasu, dla przyjemności, dla towarzystwa. Byli jednak tacy, dla których karty były hazardem, czyli jak mówiono *parierką* (pa-

rier). Ci grali na grubą *forse* (force). Często-
wym widokiem było dwóch *wygalantowanych* (galant) *soliterów* (solitaire) — jak wówczas nazywano samotników, rodzinami *zrywających* się w wintwista. Niejeden z nich opuszczał partnera mocno *sforosowany* (forcé), pożyczając kilka groszy na dorozkę. Namiećne „kartografstwo” zrodziło nowe określenia na uczestników gry. Oto niektóre z nich: *bankier* (banquier), *krupier* (croupier), *motia*, *motiant* i *motiarz* (moitié), *kozak*, *frajer*, *szuneker*, *subson* (soupon), *pycownik*, *przewalaniec*.

Domena urodzonych *szulerów*, czyli w gwarze złodziejskiej tzw. „*motiarzy*”, była gra w trzy karty, dwie czarne, jedną czerwoną. Gra ta pozostała modna do dziś w światku warszawskich „naciągaczy” naiwnych. Sprytnie tasowane i rozrzucone karty, pozorna łatwość w odnalezieniu karty czerwonej niejednego kosztowała drogo.

A niech tylko ktoś z boku próbował *suflować* (souffler) czyli podpowiadać, srogo narażał się spółce współpracującej z szulerem. „*Motia*” wyszukiwała „*forsiastych*”, czyli bogatych chętnych i gdy taki pozostał już „*tête à tête*” z szulerem, robiła wszystko, aby go *rozblazerować* (blesser) czyli zniszczyć. *Zazenowany* (géné) czyli zawstyżony, początkowo naiwny grał ostrożnie, szybko jednak dał się wciągnąć w grę i często stawał *wabank* (va banque) — wszystko. Na to tylko czekał *motiarz*. Następowala *krewa* (crever), tak nazywano niepowodzenie, i naiwny, najczęściej przyjezdny z prowincji, zostawał bez grosza.

Zabawiano się tą grą w kolejach, na odpustach, zabawach, targowiskach. Skupiskiem *metrów* (maitre), czyli mistrzów tej gry, było targowisko zwane *Kiercelakiem*.

ÓWCZESNE WARSZAWIANKI cechowało poczucie dobrego gustu w doborze strojów i niewymuszona elegancja. Ubrały się kolorowo, niemal jaskrawie. Noszone suknie do samej ziemi i dokładnie dbano, aby nie ukazywać ani skrawka jedwabnej — jak wówczas mówiono — „*floransowej*” halki lub pończoszki. Kobieta, która dopuściła się tego, uważana była za *pikantną* (piquante), czyli nieprzyzwoitą i zasługiwała na ogólne potępienie.

Niejedną godzinę ówczesna *gototka*, jak nazywano *elegantki* (gogo plus kobietka) spędzała przed „*psysze*” (psyché), dużym lustrem, ścisając się gorsetem, aż jej oczy wychodziły z orbit, ale wytworność czyli „*bon ton*” nakazywała wyglądać jak oś.

Używano ciasnych pantofelków, aby mieć małą stopę. Noszone ogromne kapelusze i woalki. Dyktatorem takiej mody była śmietanka towarzyska, tzw. *noblessa* (noblesse), ale pozostałe biedniejsze sfery ubierały się niemniej elegancko, tylko że znacznie taniej. Królowała niepodzielnie mania na wszystko co paryskie. Nazywano ją więc „*paryzomania*”. *Elegantki* za wszelką cenę „*paryzowały się*”, wiernie naśladowując każdy nowy wzór mody przywieziony przez którąś z *modelek* (mondaine) — kobietę światową, mającą możliwość brać wzory z paryskich salonów. Nosily panie modne kostiumy damskie tzw. *tajery* (tailleur) i wytworne *za-*

kietki (jaquette). *Rekomendowały* (recommander) czyli polecały sobie co lepszych *kupeków* (coupeur) — krojących, kopiujących ostatnie modele paryskich *pejzannek* (paysanne), jak nazywano fasony letnich sukien.

Tout Varsovie — wyższe sfery *kut ki kut* — za wszelką cenę (*coûte que coûte*) dbały o stałe dostawy francuskiej modnej wtydy bielizny — *lingerie*) byle *fiszotka* lub — jak mówiono — *fiszotka* (fichu), czyli chusteczka święta trójkątnie, musiała pochodzić z Paryża.

Kochały się bogate modnie w biżuterii i wszelkich ozdobach, zachwalając ich wartość, często nieprawdziwą, gdyż niejedna z nich częścię korzystała z „bargua”, jak nazywano sklep p. Bargoin ze sztuczną biżuterią, niż z dostaw drogich magazynów jubilerskich.

Ówczesna moda miała też swoje ekstrawagancje... „czort trafił na gust bab z wyższej sfery” pisał „Kurier Warszawski”, gdy w modę weszły tzw. *żip kiloty* lub *żip kilotki* (jupes — culottes) spodnie damskie przypominające krojem spódnicę.

Moda nakazywała panom, zwłaszcza w starszym wieku, nie rozstawać się z surdudem — jak mówiono *pardessussem*. Młodzi ubierali się we wzorzyste *żantyle* lub *żantyle* (gentille), jedwabne kamizelki, tzw. *westki* (veste), tużurki, tzw. *tużiury*, *tużurki*, *dyżurki* (tout jour). Niejeden żyjący ponad stan *wolewańczy* (vol au vent), zblazowany gogus robił wszystkim, aby zasłużyć na miano „tużurkowego”, co oznaczało kogoś z lepszej sfery.

Dbano, by być obutym, czyli *szosse* (chaussé) w modne *kamasze*. Noszono ponadto jedwabne krawaty, wśród gorzej sytuowanych modny stał się *plastron* — rodzaj krawata kupowany za rubel i 20 kopiejek. Z *sziką* (chic) czyli z szykiem noszono modne kapelusze tzw. *gibusy* — od nazwiska francuskiego wynalazcy kapeluszy składanych. *Szapoklaki* (chapeau-claque) lub *klaki* — jak określano wytworne cylindry. Znajomość elegancji i form towarzyskich *savoir-vivre* (savoir-vivre) nakazywał noszenie w lecie lekkich *plaszczy sak palt* (sac-paletot) lub *saców* i to *prima sort* (sorte) — pierwszego gatunku. W domu, na co dzień noszono marynarki tzw. *bonżurki* (bon jour).

ŚWIAT ARTYSTYCZNY gustował w *almawiwach*, długich czarnych plaszczach, nazwa których pochodzi od hr. Almavivy z komedii Beaumarchais „Cyrulik sewilski”.

Wchodziły w modę *gumowe kotnierzyki*, *półkoszulki* i *mankiety*. Uroczyste bale nakładły na bywałców obowiązek przywdziania fraka i modnego „szapoklaka”, wytwornie trzymanego cały czas w ręku.

Prezentowano modę wszędzie, na co dzień na ulicy, w czasie *żurków* (jour) czyli przyjęć poobiednich, *żurfiksów* (jour fixe) czyli podwieczorków, gdzie bez zbytej *żenady* czyli wstydu obgadywano znajomych, na *wentach* czyli kiermaszach na cele dobroczynne (vente), podczas *monjourów* (mon jour) czyli dni przyjęć towarzyskich. Każdy *antrakt* (entracte) w teatrze lub kabarecie był okazją do prezentacji nowych modnych strojów.

Niejeden *elegant* lub jak go nazywano *allegant*, *aligant*, *ellegant* lub *haligant* (élégant) *fanfarował* (fanfaron) czyli chwalił się, *flanerując* (flaner) po ulicach lub wyczekując w *fojerze* (foyer) — przedsiionku teatralnym, na ukochaną aktoreczkę.

Towarzystwo *zambetowane* (embêté), czyli zmęczone wrażeniami, podochocone wypitą „wdówką”, (jak nazywano szampan firmy „Veuve Cliquot” lub *szambertynem* (chambertin), wynajętymi *remizami* (remise) jak wówczas nazywano dorożki, jechali w Aleje Ujazdowskie.

Modne na ów czas były szkoły tańca uczące nie tylko *lajsiera* (lancier) czy modnej polki zwanej *trambłanką* (tremblant), lecz także *każdej* nowatorskiej figury tanecznej, tzw. *turdementu*, *turdemana* lub *turdeme* (tour des mains), były zarazem szkołami ogłady i form towarzyskich. Słynna szkoła Mestenhauera „profesora”, a zarazem urzędnika Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, przemieniała każdego niewypierzonoego *wojazerą* (vo-yageur) z głębokiej prowincji w lwa salonowego, czyniąc z niego *frotera* (frotteur), jak żartobliwie nazywano tancerzy najwyższej klasy.

Niejedna mama posażnej panny szukała bogatego amatora do jej ręki. Niektórzy upatrywali sobie pannę z niemałą *bonfortinką* (bonne fortune) jak nazywano posag. Było to swoiste, bezkrwawe polowanie.

KWITŁO w owych latach bogate życie artystyczne. Obok teatrów rządowych, jak np. Teatr Wielki, powstawały jak grzyby po deszczu małe sceny, jak: teatrzyk przy ul. Królewskiej, wystawiający operetki, farsy i komedie, lub *Wodewil* (vaudeville) na Nowym Świecie, mający w swoim repertuarze lub *repertuarzu* (répertoire) różne dramaty i wodewile.

Profitowali (profiter) czyli korzystali ze sceny tego teatru artyści prowincjonalni, tzw. w gwarze aktorskiej *krowieci* (cru qui veut) — początkujący, dla których *angażymynt* (engagement) lub jak mówiono *angażma* w tym teatrze była drugim etapem drogi do teatru rządowego. *Feu* czyli premia za występ była co prawda niska, ale dla nich było to duże wyróżnienie i niejednym *flatował* (flatter) sobie, czyli pochlebiał takiemu wyróżnieniu.

Przy Placu Trzech Krzyży znalazł swą siedzibę słynny *Café-Szantan* (café-chantant), lokal, w którym można było nabyć wszelkie trunki, wypić gorącą herbatę i zjeść smakowitą *tartinkę* lub *tartynę* (tartine) — kanapkę, i wypalić przed *spektakiem* lub *spektaklem* (spectacle) jedną lub dwie *pipki* (pipe) — fajki, skorzystać z wygodnych łóż czy *kabinetów* (cabinet), w których łatwo było ukryć się z *zampą* (jambe) jak wówczas określano kochankę.

Występy słynnych *szansonistek* (chansonniste), *tancererek* i *tancerzy* w warszawskich teatrach, u niejednego z siedzących na *paradyzie* (paradis) —

galerii teatru — wywoływały *palpitację* (palpitation) serca na widok tych szansonistek. Niejeden wydawał ostatni grosz na *antre* (entrée), jak nazywano opłatę za wejście, by usłyszeć aktualny dowcip czyli *bon-mot* padający nie tylko ze sceny. Do *fasonu* (façon) czyli dobrego tonu należało posiadanie *pas partu* (passe-partout) — biletu wolnego wstępu, bądź ukazywanie wszystkim faktu *abonowania się* (abonner). Nie istniały wtedy *pryks fiks* (prix fixe) — stałe ceny na bilety wstępu, przeto niejednym zwolennik sztuki zgłaszał się często na *klakiera* (claqueur) — czyli wynajętego do klaskania, byle tylko być świadkiem występu *madamy* (madame) pani swego serca, w której repertuarze był *okura* (au courant) — dobrze poinformowany na wiele tygodni naprzód.

Na godzinę przed występem, przed rozłożeniem *piupitów* czyli *pulpitów* dla muzyków (pupitre) zajmował miejsce na męskiej *kozetce* (cousette) i ścisłkając w rękę *kontramarkę* (contremarque) — numerkę z szatni — z niepokojem oczekiwał widowniska.

Słowo *entrée* nie tylko oznaczało wejście, było także nazwą zawodu malarza sztyldów. Wszystkie ówczesne sztyldy musiały być wypisane w języku polskim i rosyjskim. Każdy sklep musiał mieć ponadto napis „wejście”. Niechęć do pisania słów w języku rosyjskim wprowadziła zwyczaj pisania jednego tylko *entrée*. Znajdowali się „artyści”, którzy pobierali dość wysokie opłaty za napisy szczególnie ozdobne.

TEGO POPIJAŁ ówczesny „Paryż Północy”.

Gwara XIX-wiecznej Warszawy znała ok. 80 określeń na picie alkoholu, ok. 60 na pijanego, ponad 90 określeń na grubszego pijaństwo oraz ponad 130 na poszczególne gatunki alkoholu. Wiele nazw wywodziło się z francuskiego np.: *szambertyn*, *szamp* (champagne), *szartres* (chartreuse), *sotern* (sauternes), *rosolis*, *lunelek* (lunel), *klikot* (Veuve-Cliquot) itp. Niejeden *gurman* (gourmand) — smakosz wykwinnych trunków, chcąc skosztować tych wszystkich alkoholowych *delikatessów* (délicatesses) — przysmaków, pozostawić musiał całą gażę w kieszeni *garsona* (garçon) — kelnera, a sam *à sec* (bez niczego) do domu wracał i na wszelki *ewenement* (événement) — wypadek, przed wejściem buty zdejmować, by nie narazić się na większą „grandę” — ze strony żony.

Feta taka albo — jak mówiono — *fetka*, czyli uczta (fête), często do późnych godzin się przeciągała i niejedną *dyskę* — dziesiątkę (dix) za *fatygę* (fatigue) dozorca otwierającemu bramę trzeba było *fundować* (fonder).

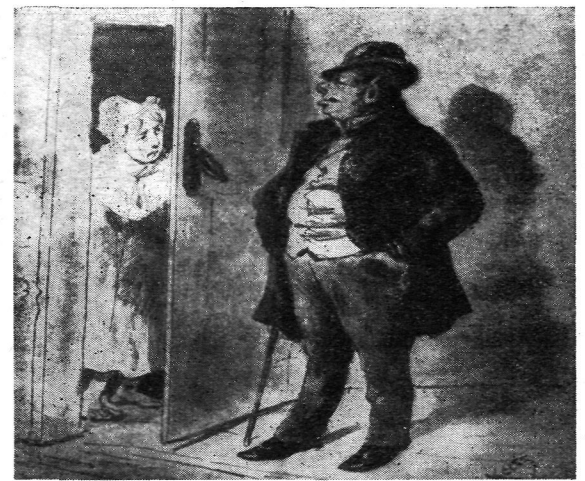
Słynne posiadała Warszawa „restauranty”, ale najstynniejsza była restauracja Aleksandra Bocqueta lub jak mówiono *Bokietą*, „bokcia lub bouquerela”. Po mieście krążył nawet wierszyk o właścicielu: „Bocquet — Francuz, co idąc na warszawskim wózku, karmi dzisiaj po polsku, dawniej po francusku”.

Niemniej znana była restauracja „Bagatela” założona w ogrodzie Bacciarellego na końcu Alei Ujazdowskich w 1828 r. przez Francuza Chavota.

Położona w dzielnicy spacerowej, w miejscu spotkań elity towarzyskiej i *bon* (bonne), czyli opiekunek dzieci, uwodzonych przez *boniarzy* — jak mazywano zalecających się do *bon* w godzinach ich porannych spacerów.

Miała „Warszawka” tych lat — podobnie jak i dziś łatwość twórczenia nowych określeń, wynikających z konkretnych faktów, bądź sytuacji. Paryżomania stworzyła w owych latach modę na *parlowanie* — nieudolne często silemie się na używanie słów i zwrotów francuskich. Mówiono i pisano *pardąss* zamiast „przepraszam, o *rewuar*, *adiu*, *adyje*, *andyje* zamiast „do widzenia”; *apropo* zamiast stosownie, *bonżur* zamiast „dzień dobry” itp. Niejeden niewprawnie starał się *dykcjonaryzować* (dictionnaire) czyli używać właściwych wyrazów, o których prawidłowym brzmieniu nie miał nawet pojęcia. Narażał się też często na kpiny i złośliwe uwagi. Takich „mistrzów francuszczyzny” nazywano najczęściej „Frajczuzami z Mokotowa”.

Rysunek Franciszka Kostrzewskiego pt.: **CZYTELNICI „TYGODNIKA ILUSTROWANEGO”**



POWRÓT PO PÓLNOCY. Rys. Fr. Kostrzewski

Określenie to daje się tłumaczyć tym, że Elżbieta ks. Lubomirska, budując swój dwór we wsi Mokotów (obecna dzielnica Warszawy) zaczęła obsadzać go sprowadzonymi Francuzami. Powiedzenie to przeistoczyło się w przysłowie o sydereczym odcieniu, stosowane do tych, co zamiast po polsku po francusku mówili, a do tego że.

Tytuł wystawioną w 1848 r. na scenie jednego z warszawskich teatrzyków komedii Aleksandra Dumas „Dame aux camélias” zrodził określenie *kamelia* odnoszące się do damy z półświatka. Podobne pochodzenie ma słowo *demi-mondek* — półświatek lub *demi-mondka* — kobieta lekkich obyczajów. Wywodzi się to słowo z tytułu komedii Dumasa, wystawionej w 1877 r. pt. „Le Demi-Monde”. *Diumasiakiem* nazywano zwolennika twórczości A. Dumasa, zaś *bulanżystą* — zwolennika polityki gen. G. E. Boulanger, którego tendencje dyktatorskie były znane, *rozdrajnosować* się — znaczyło przejąć się sprawą Dreyfusa.

Wielka francuska aktorka Sarah Bernhardt, która w zimie 1881 r. odwiedzić miała Warszawę, zasłużyła na miano *szarej Bery*, co oznaczało to samo co „femme fatale”. Zaznaczyć warto, że podróże Sarah Bernhardt po Europie odbywane w tych latach łączyły się z pożarem teatru w Wiedniu, katastrofą w kościele św. Krzyża w Warszawie itp. Mawiano, że określenie to, to nazwa dla czarownicy, która jeździ po świecie i sprowadza klęski.

Wśród wielu innych słów pochodzących z francuskiego znajdowało się także często używane *bordero* (borderea), oznaczające wykaz lub tabelę. Słowo to wywodzi się z początku XIX w., gdy po wejściu wojsk Napoleona do Polski w intendenturze i wszelkich zarządach byli urzędnicy francuscy, sporządzający wykazy nazywane przez nich *borderami*. Nazwa ta przetrwała w języku polskim do połowy XX w., podobnie zresztą, jak wiele innych wymienionych tu słów.

RAFAŁ SZCZEPKOWSKI

Przy opracowaniu tego artykułu korzystano z następujących materiałów: Bronisław Wiczorkiewicz „Słownik gwary warszawskiej XIX wieku”, PWN, 1963; „Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne”, Warszawa 1899 r.; H. Ułaszyn „Język złodzijski” — „La langue des voleurs”, Łódź 1951; Kazimierz Pollack „Ze wspomnień starego dziennikarza”, Warszawa, PIW, 1961; Jerzy Ficowski „Wspomnienia starowarszawskie”, Warszawa „Czytelnik” 1959 r.; Józef Galewski i Ludwik Grzeniewski „Warszawa zapamiętana” — Warszawa, PIW, 1961 r. (Słownik gwary warszawskiej XIX wieku zawiera ok. 5 tys. haseł, w tym 350 haseł pochodzenia francuskiego).



JULIAN ŻEBROWSKI należy do czołowych polskich artystów-plastyków. Szerokiemu ogółowi znany jest z celnych karykatur, jakimi od bardzo wielu już lat ilustruje w piśmie warszawskich opisy i sprawozdania z rozmaitych imprez.

Ale Żebrowski uprawia także szczególnie rodzaj rysunku, sztukę, którą można by nazwać „rysunkowym reportażem lirycznym”. Reportażem — bo, podobnie jak dziennikarz, Żebrowski oddaje świat na gorąco i na gorąco dokonuje w nim charakterystycznej selekcji. Lirycznym — bo jak każdy utalentowany autentyczny artysta Żebrowski jest przede wszystkim poetą, który każdej jawiącej się przed nim postaci, każdej twarzy, każdemu peizażowi potrafi z miejsca zmierzyć puls, zajrzeć w serce. Dlatego patrząc na przykład na naszkicowane przezeń wnętrze paryskiego „bistrot” czuje się aromat „expressów”, słyszy się szafę grającą i gwar bliskiego bulwaru.

Żebrowski pasjami rysował i rysuje swoją ukochaną Warszawę. Jego „reportaż” o odbudowie i rozbudowie Warszawy wystawiany był niedawno temu w podparyskiej miejscowości Blanc-Mesnil, a teraz powędrował do Londynu. Żebrowski rysował również Moskwę, Ateny, pejzaże i ulice Włoch, Holandii, Belgii, Turcji, Egiptu. Z tych wszystkich podróży przywiózł do Warszawy olbrzymią ilość — bo aż osiem tysięcy rysunków. Aktualnie Żebrowski przebywa po raz drugi z kolei w Paryżu. Odbyliśmy z nim wędrowkę po stolicy Francji.

WARSZAWSKIE RYSUNKI

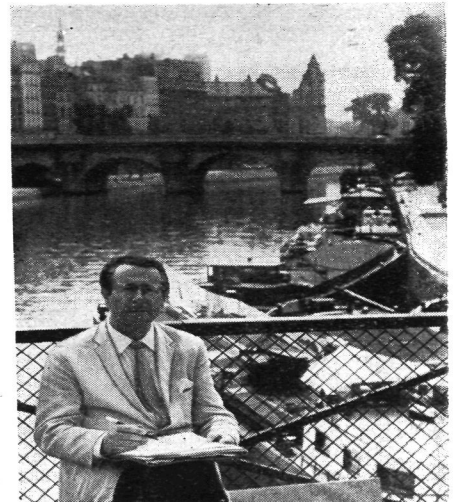
JULIANA ŻEBROWSKIEGO

JULIAN ŻEBROWSKI est un des personnages les plus populaires de Varsovie. Tout le monde le connaît par les caricatures qu'il publie dans les quotidiens de la capitale.

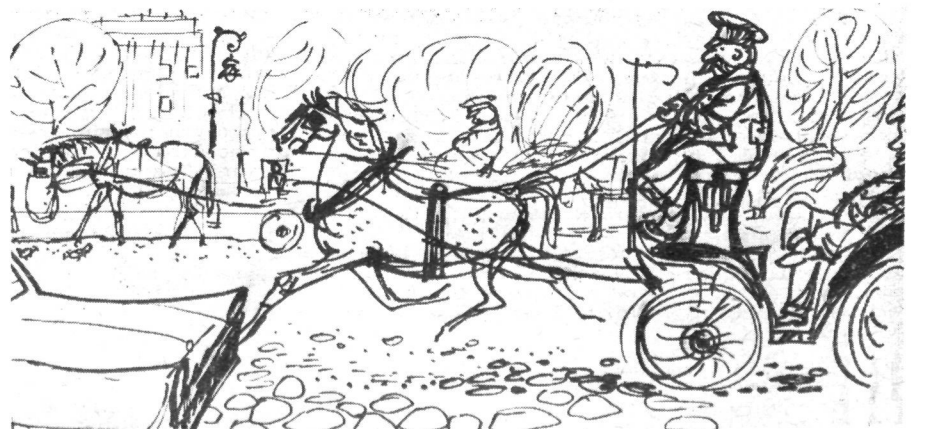
Mais ceci ne suffit pas à son crayon impatient. Et on pourrait difficilement trouver meilleure chronique de Varsovie et des vingt ans de sa reconstruction que les innombrables dessins qu'il y a consacré. Récemment, il en a exposé une partie au Blanc-Mesnil et maintenant — sous le titre „Varsovie vivante” — à Londres.

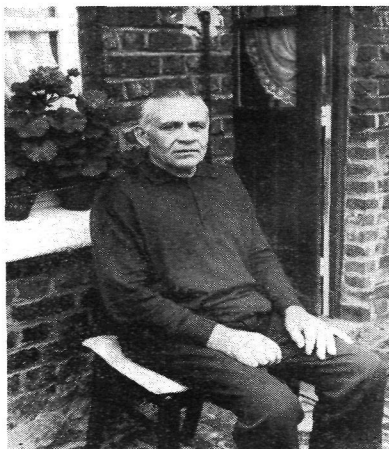
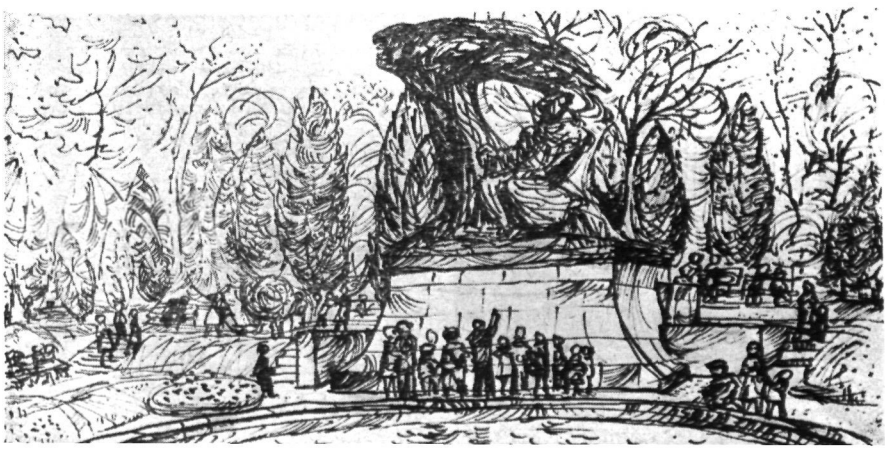
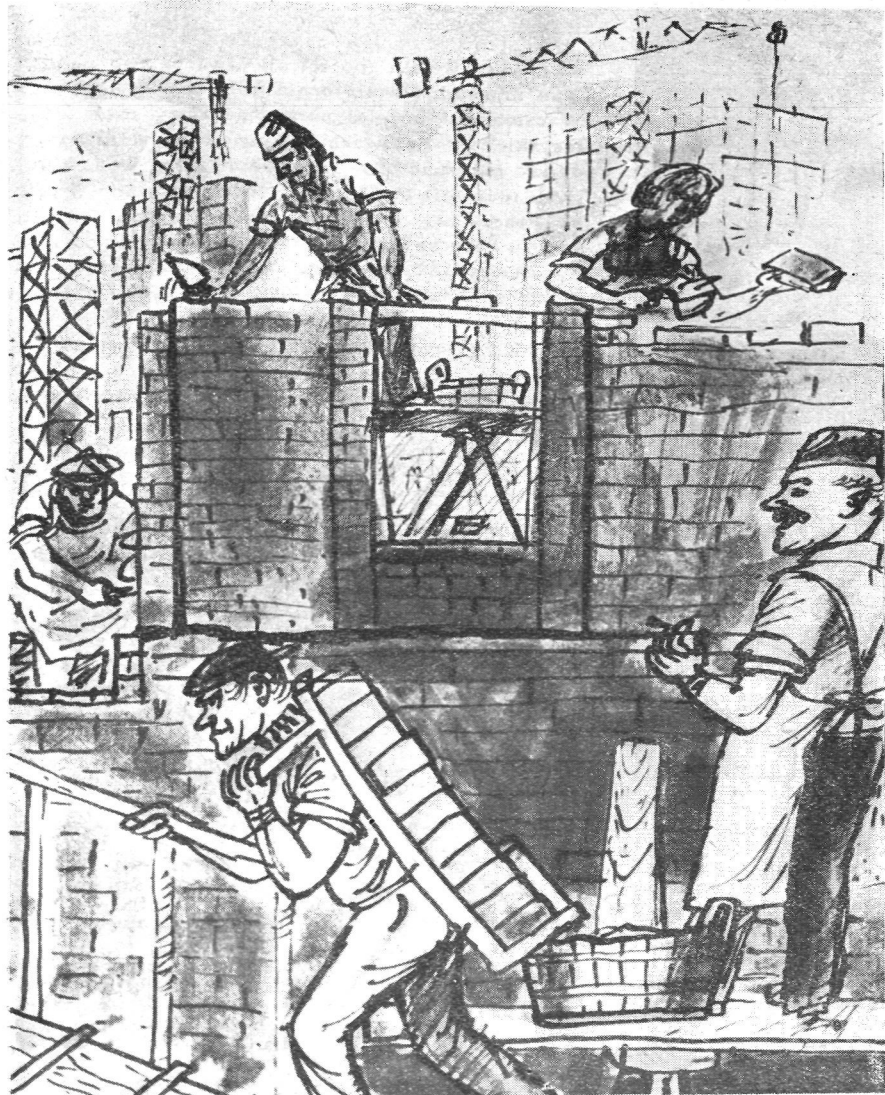
Nous en reproduisons quelques-uns, grâce à l'amabilité de l'artiste que notre photo-reporter a également saisi sur le vif devant Notre-Dame.

Disons encore que de ses voyages à Paris, Moscou, Athènes, Rome, Rotterdam, Bruxelles, Constantinople, le Caire etc. Żebrowski a rapporté à Varsovie pas moins de huit mille dessins. Et quand on regarde un bistrot parisien sorti de sous sa plume, on sent l'arôme du juke-box et le brouhaha du boulevard voisin...



Popularny rysownik Julian Żebrowski z nieodłącznym szkicownikiem podczas pracy na ulicach Paryża





ŻOŁNIERSKIE WSPOMNIENIA EMIGRANTÓW

w lasach organizowane były zasadzki i podczas gdy przejeżdżał niemiecki transport lub przemaszerowywała kolumna wojska, oddziały FTPF uderzały i zdobywały broń.

Nie były to akcje łatwe, ze względu na bliskość stacjonujących jednostek niemieckich, ze względu na małą liczbę partyzantów oraz niewystarczające uzbrojenie. A jednak akcji takich odbyło się wiele. Patriotci z Vieux-Condé nie czekali biernie na wyzwolenie. Nie chcieli, żeby inni wypierali okupanta z ich kolonii. Przewidywali się do tego sami, walcząc dzielnie, jak np. pod Tapis Vert, gdzie zdobyli na Niemcach działo.

Byli to już wówczas ludzie w wieku około 50 lat, sami prawie górnicy, spracowani, z początkami pylicy (sylikozy). Wielu spośród nich po wyzwoleniu pojechało do Polski. Niektórzy poumierali. P. Piotr Cebula jest jednym z tych, którzy pozostali tu na miejscu do dzisiejszego dnia. Jest emerytem — inwalidą pracy: 85 procent sylikozy. Za swe zasługi wojenne został dwukrotnie dekorowany Odznaką Grunwaldzką.

PATRIOCI z Vieux-Condé

P IOTR CEBULA był w Ruchu Oporu już od roku 1942. W Vieux-Condé, gdzie mieszka, akcją zbrojną i sabotażową kierował pułkownik Thiémé, a zastępcą jego był p. Wójcik z Bruay-Thiers. Polska sekcja współdziałała przez cały czas z jednostkami francuskimi. Bardzo często miewała wyznaczone samodzielne odcinki, a także spełniała konkretne, określone zadania.

— Uzbrojenie było bardzo słabe — wspomina p. Cebula. Podczas gdy w każdym oddziale niemieckim była broń maszynowa, partyzanci z Vieux-Condé walczyli uzbrojeni w stare karabiny. Najbardziej zasłużyli się podczas rozbrajania Niemców. Na skrzyżowaniach dróg,

W WALCE z OKUPANTEM

A LEKSANDER GOGULSKI również działał w FTPF w tym okręgu i również dwukrotnie otrzymał Odznakę Grunwaldzką.

W jego domu ukrywało się podczas okupacji trzech Rosjan, żołnierzy, którzy uciekli z niewoli niemieckiej. Obecność ich w domu mogła ujść uwadze Niemców tylko wtedy, gdy ukrywający się nie wychodzili w ogóle z domu. W ciągu dnia siedzieli w pokoju na pierwszym piętrze i zachowywali całkowitą ciszę. Wieczorem jednakże wychodzili czasami do ogrodu, albo przenosili się na kilka dni na kwaterę do innego domu, do innej rodziny współpracującej z FTPF.

Ten ruch wieczorny został widocznie przez kogoś zauważony i doniesiono o nim Niemcom. Pewnej nocy przyjechała żandarmeria i przeprowadziła w całym domu p. Gogulskiego szczegółową rewizję. Na szczęście żołnierze radzieccy byli wtedy gdzie indziej. Wszystko więc skończyło się właściwie tylko na wielkim strachu, z tym jednak, że po tej rewizji musiał p. Gogulski stawić się w komendanturze i tłumaczyć się ze stawianych mu „zarzutów”.

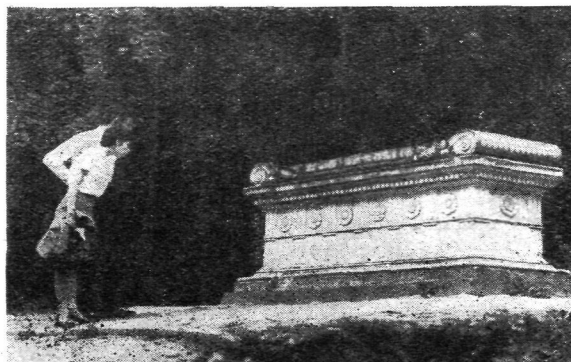
Podobnie jak i inni członkowie organizacji brał udział p.



Gogulski w rozbrajaniu Niemców i zdobywaniu broni. Jeszcze jedną dziedziną jego akcji było roznoszenie tajnej gazetki wydawanej przez CGT. Roznosił ją razem z kolegą, p. Wójcikiem, który potem wrócił do Polski i od szeregu lat pracuje w Wałbrzychu. Trzeba było zanieść wydrukowane egzemplarze na teren kopalni, a potem porozkładać w miejscach, w których znajdowali je koledzy, czytali i utwierdzali się w przekonaniu, że już niedługo będzie trwało panowanie hitlerowców, że wolna Francja i wolna Polska powstaną wkrótce na nowo.

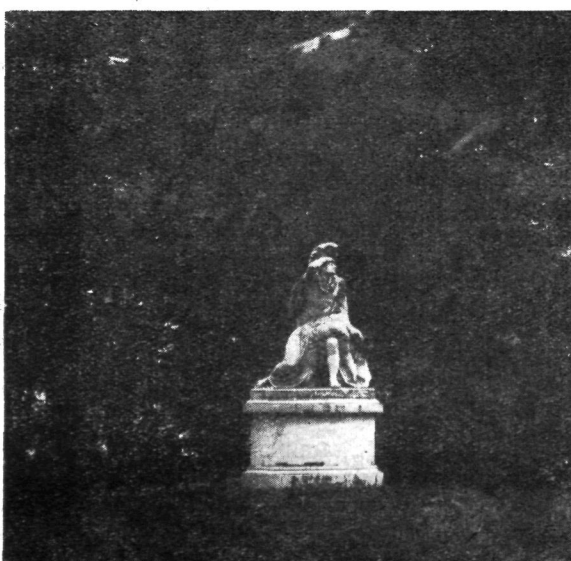


ŚWIĄTYNIA PAMIĘCI



Piękny puławski park jest licznie odwiedzany przez turystów. Przyjeżdżają tu goście z całego Kraju i z zagranicy. Młodzi turyści ze Śląska z zainteresowaniem oglądają marmurowy, symboliczny sarkofag wzniesiony przez Izabelę i jej męża Adama Kazimierza, poświęcony rodzicom — pierwszym Czartoryskim, którzy objęli w posiadanie Puławy

Zdjęcia: Jakub GRELOWSKI



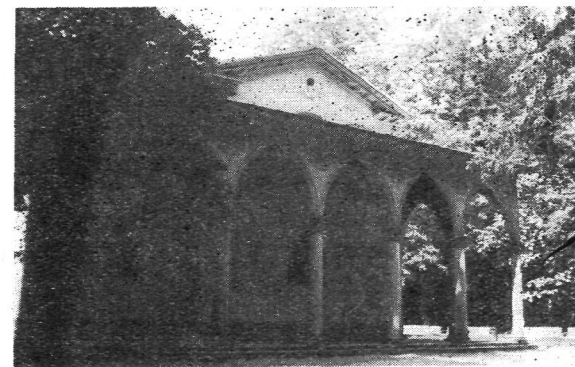
Z każdą rzeźbą zdobiącą puławski park związana jest jakaś legenda. Ta rzeźba (powyżej), pochodząca z Włoch, przedstawia Tankreta z Kloryndą. Wewnątrz Domku Gotyckiego urządzona jest wystawa pamiątek po Izabeli Czartoryskiej. Jest między innymi tablica z marmuru przyniesiona z pałacu córki Izabeli — Zofii Zamoyskiej, z Podzamcza koło Maciejowic. Na tablicy czytamy: „Pamiętka miłego czasu w roku 1821, w którym pierwszy raz widziałam zebrane przy mnie wszystkie dzieci moje: Konstanty, Andrzej, Jan, Władysław, Celina, Jadwiga, Zdzisław, August, Eliza i Stanisław — matka Zofia. Oby dni tak szczęśliwe często się z nimi powtarzali”. W Domku Gotyckim wymalowane są słowa jednej z dewiz Izabeli: „Wszystkiemu, co los zmienia i co czas pożera, Człowiek tkliwym wspomnieniem znikomość odbiera”

O D PARU TYGODNI drukujemy esej o Izabeli z Flemmingów Czartoryskiej, założycielce pierwszego muzeum polskich pamiątek narodowych. W swej rezydencji w Puławach ta wielka patriotka zgromadziła wiele cennych przedmiotów. Pałac nie mógł pomieścić wszystkich zbiorów, toteż Izabela poleciła nadwornemu architektowi Czartoryskich, Piotrowi Aignerowi, zbudować Świątynię Sybilli. Ta piękna, acz niewielka budowla kształtem przypomina pogańską Świątynię Westy z Tivoli pod Rzymem.

Świątynię Sybilli poprzednio nazywano Świątynią Pamięci. Nad obitymi miedzianą blachą drzwiami Izabela kazała wykuć napis: „Przeszłość — Przyszłość”. Tutaj zgromadzono pamiątki głoszące chwałę oręża polskiego. W osiem lat później ten sam architekt zbudował w parku puławskim Domek Gotycki. Izabela — jak wiemy — była m. in. pisarką. Lubiła uwiecznić różne sentencje. Nad wejściem do Domku Gotyckiego kazała umieścić napis: „Oby odąd zwycięstwa nasze zatrzcę mogły pamięć kłęk doznanych”. W obydwóch budowlach zgromadziła bezcenne pamiątki narodowe i utworzyła z nich pierwsze muzeum.

Nie tylko w tych dwóch puławskich budowlach mieściły się w XIX w. eksponaty. Cały 30-hektarowy park stanowił jedno duże muzeum. Zachowały się w nim jeszcze stare rzeźby, marmurowe sarkofagi, a przede wszystkim drzewostan i wielkie bogactwo roślin — prawdziwy raj dla botani-

Świątynia Sybilli (po lewej) otworzyła swe podwoje jako muzeum chwały oręża polskiego w 1801 roku. W osiem lat później park otaczający pałac Czartoryskich w Puławach wzbogacił się o drugi budynek przeznaczony na muzeum, tzw. Domek Gotycki (poniżej). Znalazły się tu wmurowane w ściany fragmenty dawnych, zrujnowanych pałaców. Jest tu gotycka tablica z Odechowa pod Radomiem, z kościoła ufundowanego przez Jana Długosza. Jedną ze ścian Domku Gotyckiego zdobi fragment wyjęty ze sklepienia bramy triumfalnej, przez którą Jan Zamoyski prowadził do Krasnegostawu pokonanego arcybiskupa Maksymiliana po zwycięstwie nad Austriakami (bitwa pod Byczyną 1588 r.)

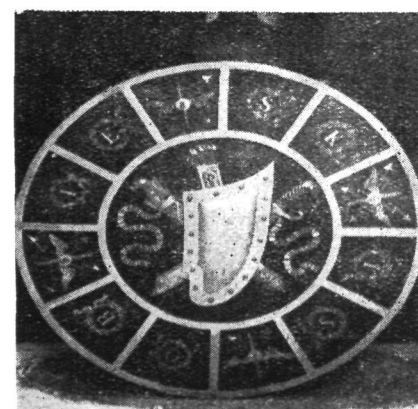
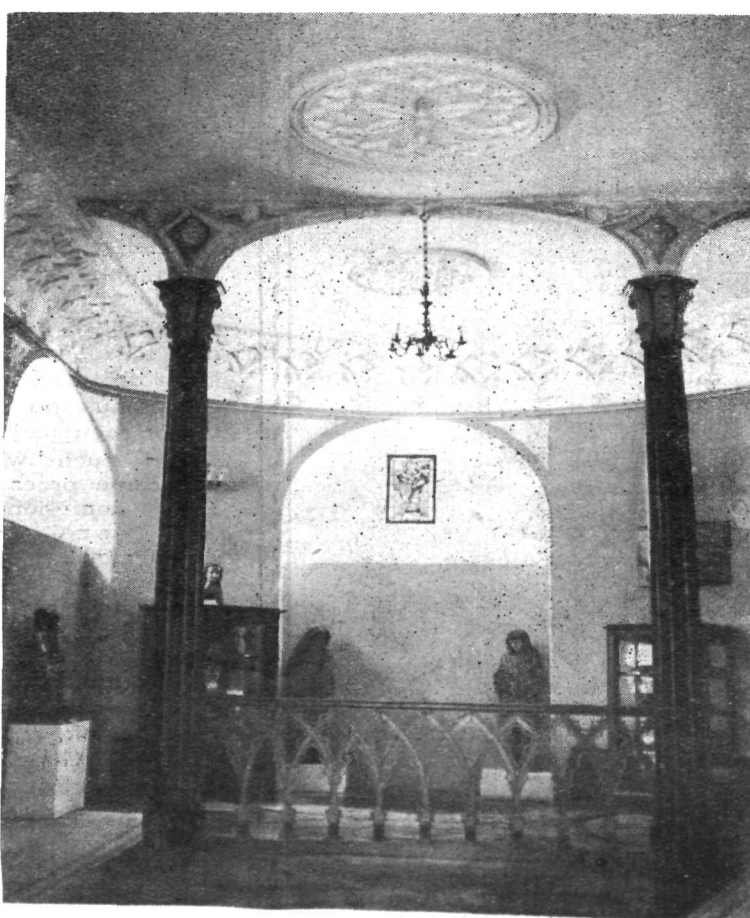


ków. Np. vis-à-vis Świątyni Sybilli rośnie amerykańska sosna-wejmutka sprowadzona przez Izabelę do Polski zza oceanu. Są tu drzewa o olbrzymich liściach, przypominających kształtem liście lipy, ale 7—8-krotnie większych. Są drzewa obsypane dużymi kwiatami, tzw. tulipanowce.

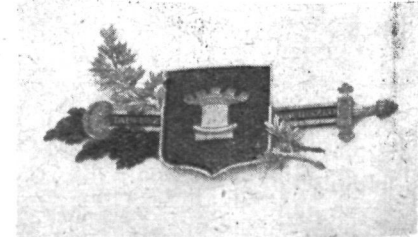
PUŁAWY PRZEŻYWAJĄ DZIS drugą młodość. Uspione do niedawna miasto ożyło dzięki olbrzymiej budowli przemysłowej, jaką wzniesiono tu w ostatnich latach — Zakładem Azotowym. Miasto liczy już ponad 20 tysięcy mieszkańców.

Ulubionym miejscem spacerów puławian i licznych turystów jest park okalający dawny pałac Czartoryskich. Zwiedzają oni muzeum w Domku Gotyckim. Niestety, ekspozycja nie jest okazała. Główne zbiory Czartoryskich na krótko przed Powstaniem Styczniowym 1863 roku przeniesiono do Krakowa.

W Puławach przez kilkadziesiąt lat nie było żadnej stałej wystawy. Prowincjonalne muzea zaczęto tworzyć dopiero na początku XX wieku, dzięki inicjatywie społeczeństwa. Przed pierwszą wojną światową organizowało je Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Pierwsze prowincjonalne muzeum powstało z inicjatywy społecznej utworzył oddział PTK w 1909 r. w Dąbrowie Górniczej. Obecnie Muzeum w Puławach powstało dzięki inicjatywie miejscowego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.



Posadzkę Świątyni Sybilli zdobi okrągła tarcza z herbem króla Jana III Sobieskiego — Janina (powyżej). Na ścianach widnieją herby wodzów Wojska Polskiego, m. in. Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Wódz kosynierów, zwycięzca spod Raclawic był gościem Czartoryskich. Przypomina o tym zwiedzającym biała marmurowa tablica wmurowana po prawej stronie wejścia do pałacu (na zdjęciu poniżej)



Rady od serca

KOCHANA PANI ANNO!

Skończył się rok szkolny, a ja już martwię się, co będzie w roku przyszłym. Coraz trudniej mi poradzić sobie z lekcjami mojej córki. Jest teraz w piątej klasie, a ja, choć mam średnie wykształcenie, bardzo wiele zapomniałam i niekiedy nie umiem jej pomóc.

Nie wiem czy pani ma dzieci, bo u nas we wszystkich rodzinach tak się teraz dzieje, że rodzice robią za dzieci zadania. Inaczej nie ma mowy o jakichś możliwych notach.

Ostatnio, gdy córka była jeszcze w szóstej klasie udawało nam się osiągać wspólnie dobre noty. Z matematyki dostałyśmy nawet 17. Ale piąta klasa jest jeszcze trudniejsza. Doszło do tego, że teraz podczas wakacji ja przygotowuję się do pomagania córce.

Wiem dobrze i niech mi pani nie stara się tego wytłumaczyć, że tak nie powinno być, że popełniam błąd, że dziewczyna musi się uczyć samodzielnie. Ale co zrobić — wszyscy pomagają, więc dlaczego moja ma być pokrzywdzona.

Proszę więc tylko, żeby mi pani poradziła jak się najlepiej przygotować do tych zadań, jakie mnie czekają w roku przyszłym.

MATKA

SZANOWNNA PANI!

Ja potrafię wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć. Ale mimo najlepszej woli, mimo iż znam szkoły i także mam dzieci, nie mogę przyjąć za słuszne pani postępowania.

Natomiast uważam, że należy dziecku, jeśli ma trudności, wziąć fachową pomoc. Na parę miesięcy, nadrobić braki, nauczyć systematyczności i wytłumaczyć pewne rzeczy. To jest metoda. A to, co pani robi i inni rodzice — to po prostu nonsens. Ciekawa jestem, jak pani sobie wyobraża przyszłość — np. egzamin, maturę itd. Kto za dziewczynę napisze pisemną pracę na egzaminie? Jeśli czuje się pani na siłach udzielać córce korepetycji — proszę bardzo. Ale nigdy nie wolno odrabiać za nią zadań.

Jak się przygotować do korepetycji? Trzeba popracować. Przejrzeć podręczniki, przypomnieć sobie to i owo. Niech mi pani wierzy, to nie jest argument, że tak czynią inni. Rozsądna matka nie powinna tak postępować. Przesyłam pozdrowienia.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Moja matka ciężko zachorowała, jest to osoba siedemdziesięcioletnia. Dotychczas czuła się zawsze dobrze. Mieszka sama, parę kilometrów od nas. Ale teraz nie może być sama.

Chciałem ją więc wziąć do nas do domu. Ale tu spotkała mnie straszna przykrość — żona powiedziała, że za skarby świata nie zgodzi się na to, by matka mieszkała z nami. Powiedziała, że nie ma czasu zajmować się nią, ale nie to jest najważniejszym powodem, lecz to, że matka znacznie jej dokucza i do wszystkiego się wtrąca.

Próbowałem tłumaczyć, że to tylko na czas choroby, że ja we wszystkim pomogę, że zrobię wszystko, by matka się nie wtrącała. Moje argumenty nie dały żadnych rezultatów.

Z konieczności umieściłem matkę na razie w szpitalu, ale przecież nie musi tam wcale leżeć. Tylko, jak przekonać żonę?

MAZ

SZANOWNNY PANIE!

Straszne wrażenie zrobił na mnie pana list. Jest okropnie smutny. Świadczy o zaniku ludzkich uczuć, najbardziej podstawowych i prymitywnych.

Nie rozumiem pana żony. Jej postępowanie jest okrutne i proszę mi wybaczyć — niemądre.

Niech pan powie żonie w moim imieniu, żeby się chwilę zastanowiła i wyobraziła sobie siebie za trzydzieści kilka lat, gdy będzie chora i samotna, a syn oświadczy, że nie może jej przyjąć w swoim domu, bo nie zgadza się na to żona.

Jeśli pańskiej żonie nie wystarczy ta przypowieść, niech pan jej nie pyta dłużej o zdanie. Niech pan weźmie chorą matkę, bo to jest pana podstawowy obowiązek, przygotowuje dla niej wygodne miejsce w swoim domu, ewentualnie, jeśli zachodzi potrzeba, niech pan zaangażuje pielęgniarkę lub kogós do opieki.

Jeśli pana żona się nie opamięta w tym momencie, nie warta jest pańskiego uczucia.

Gdyby nawet pańska matka była dla niej niedobra, gdyby sprawiała jej przykrość — to wszystko błędnie wobec choroby starej kobiety i wobec konieczności niesienia jej pomocy.

ANNA

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SADACH W PARYŻU

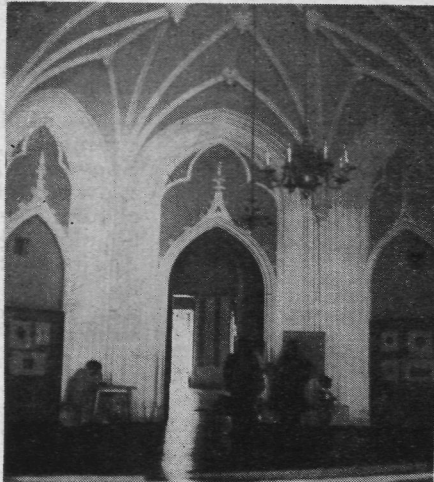
Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

Pałac generała ziem podolskich Adama Kazimierza Czartoryskiego oraz jego żony Izabeli z Flemmingów stał się w XVIII wieku, obok Warszawy, poważnym ośrodkiem życia literackiego, naukowego i artystycznego. Odbudowany w latach 1720—1731 (po spaleniu przez Szwedów w 1706 r.) okazał się za mały, by pomieścić licznych domowników i gości. Czartoryscy polecieli go rozbudować. Od 1869 r. istniał w pałacu Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa, który przetrwał do I wojny światowej. Obecnie mieści się tu główna siedziba Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa. Zachowały się i pieczołowicie są przechowywane pamiątki po Czartoryskich. W bibliotece Instytutu znajdują się książki napisane przez Izabelę, drukowane w Puławach

Najbardziej reprezentacyjną salą pałacu była tzw. „Sala Złota (po prawej). Zdobili ją piękne malowidła na suficie i ścianach, pędzla wybitnego francuskiego malarza Bouchera. Meble projektowane były również w Paryżu przez znanego architekta — dekoratora Moissoniera. Pożar w 1860 roku zniszczył środkową część pałacu i na miejscu „Sali Złotej” powstała tzw. „Sala Gotycka”. Obecnie czynna w niej jest wystawa poświęcona 150 rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. Są tu m. in. obrazy malowane przez Naczelnika. Eksponowano tu także studium kartograficzne — idealny plan parku i fortyfikacji wykonany przez Tadeusza Kościuszkę dla księcia Adama Czartoryskiego



DEPUIS quelques semaines, nos lecteurs lisant couramment le polonais suivent notre nouveau feuilleton intitulé „Izabela”. C'est une biographie romancée d'Izabela Czartoryska, née Fleming (1746—1845), qui reste une des personnalités les plus attachantes de l'histoire polonaise.

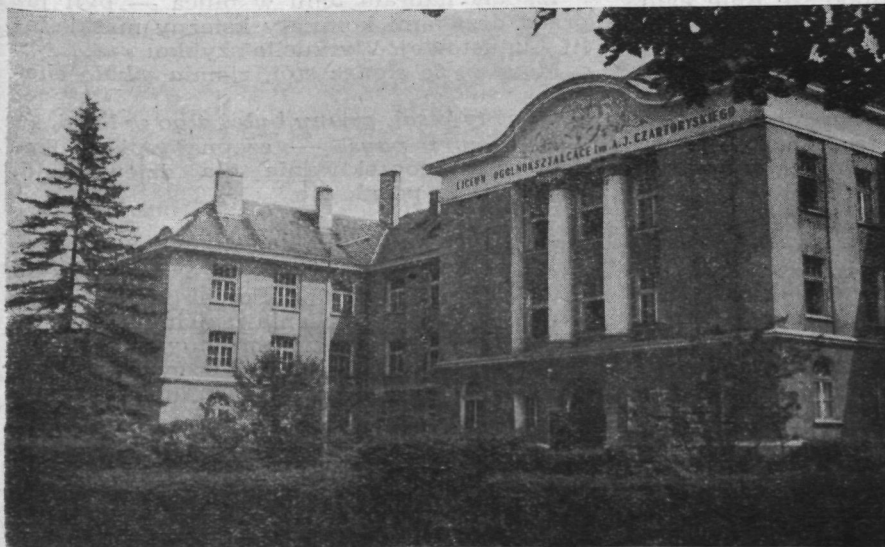
„Bas-bleu”, protectrice des arts, mécène, elle avait réuni une inestimable collection d'oeuvres d'art, de documents historiques, d'ouvrages rares qu'elle transforma plus tard en ce qui peut à bon titre être considéré comme le premier musée polonais.

Pour lui donner place elle fit construire à Puławy le „Temple de Sybille” dont la forme rappelle le temple de Vesta à Tivoli près de Rome.

On pouvait y voir tout ce qui se rapportait à la gloire des armes polonaises. Dans la „Maison Gothique” également construite par Piotr Aigner, architecte attiré des Czartoryski, se trouvaient les autres objets de ses collections.

Plus tard, peu avant l'insurrection de 1863, l'ensemble fut transporté à Cracovie pour y former l'essentiel du Musée Czartoryski.

A Puławy on doit encore à Izabela un magnifique parc romantique qui est aussi un curieux jardin botanique. C'est aujourd'hui le lieu préféré des promenades des Puławiens qui sont devenus vingt mille, la construction du gigantesque combinat d'engrais azotiques ayant attiré ici des ingénieurs et des ouvriers de tout le pays.



Czartoryscy usilnie popierali rozwój oświaty. Syn Izabeli i Adama Kazimierza — Adam Jerzy Czartoryski był kuratorem Wileńskiego Okręgu Naukowego. Jemu zawdzięczał Uniwersytet Wileński wysoki poziom naukowy w tym czasie, kiedy kształcił się w nim Adam Mickiewicz ze swoimi towarzyszami. a profesorami byli bracia Sniadeccy — Jan (1756—1830), matematyk, astronom i filozof i Jędrzej (1768—1838) lekarz, chemik, pedagog, publicysta, Lelewel i wielu innych. Mieszkańcy Puław uczcili pamięć Adama Jerzego Czartoryskiego nadając jego imię miejscowemu Liceum Ogólnokształcącemu

V KĄCIK FILATELISTY

K
O
N
G
R
E
S

SFG



W połowie sierpnia ukaże się w Polsce znaczek wartości 60 gr z okazji V Kongresu Światowej Federacji Głuchych, który odbędzie się w Warszawie w dniach 10—17 sierpnia.

Na znaczku pokazano trzy ręce w układzie, który według alfabetu pałcowego oznacza „Płaty Kongres Głuchych”, oraz emblemat Związku. (Projektantem znaczka jest art. grafik Cz. Kaczmarczyk, drukowany będzie techniką offsetową, na papierze znaczkowym, w nakładzie 4,5 mln szt. Format 43×25,5 mm.

em.



IZABELLA

4

JADWIGA DACKIEWICZ

— *Ano wtedy pan Tarło już szablę do pochwy wkładał napowrót, kiedy przyskoczył doń pan Kord, Poniatowski sekundant, i pana Tarła w bok pchnął szablą i zabił. Ponoć z waszych, Czartoryskich, poduszczania. Jeno ciicho... Nie wydadz że mnie, zem ci mówiła.*

— *Dziadzio August tedy pana Tarły nie lubił?*

— *A nie, bo z Potockimi trzymał. Ale już dość onego gadania, bo cię umyć muszę, akurat dziś tydzień minął od ostatniego mycia, kazałam nagotować szaflik i szczotki.*

CZĘSTO BABKA ELEONORA jeździła z wnuczką do Fary na nabożeństwo. Zawsze dnia tego przedtem wozila ją na spacer „dla bladeści i chuchractwa”. Karetą mijala nędzne, zabłocone uliczki Starego Miasta, zabudowane najciaśniej, najciemniejsze, ówczesnie miejsce największego ruchu. Gdy było ciepło, Izabela wychylała nieco głowę na zewnątrz i oglądała ciekawie nędzne, drewniane chaty nad Wisłą, kupy gnoju, gałganów i wszelkiego śmiecia, unoszące się aż po mury zamkowe. Nie mogła wyjść z podziwu, że zamek królewski wcale niepozornie wygląda, że jego część od Krakowskiego Przedmieścia, a także odwach główny, czyli wejście paradne do pokojów, w których król mieszka — smutne... Nauczyła się rozpoznawać przy Krakowskim Przedmieściu pałace Radziwiłłów, Lubomirskich, Czapskich, Ogińskich, przy Aleksandryjskiej ulicy — Karasia, Dłuskich, Gozdskich, przy Mazowieckiej — Krasińskich, przy Nowym Mieście — Branickich...

Widziała pod kościołem Świętego Krzyża kupców w długich opończach, oferujących ryby świeże i solone wszelkie, uwijano się tam też przy sprzedaży owoców, zup, kiełbas, dymiły patelnie ze świeżo smażonym mięsem.

Widziała między Starym i Nowym Miastem biedaków, łapczywie chwytających w usta, co spadło z kupieckiego kramu, a obchodzących się bez talerzy, grabek i nożów. Widziała przy ulicy Długiej handlarzy owocami i odzieniem, roznoszących także stare książki i sztychy...

Najciekawsze wszakże, ale i najstraszniejsze zarazem widoki czekały na Izabelę we wnętrzu Fary. Szczególnie w okresie Wielkanocy. Przytulona do aksamitnego zarękawka babki, rozmodlonej, kiwającej się z lekka nad „godzinkami”, oprawnymi w safianową skórę, obserwowała wielkimi, granatowymi oczyma procesję kapników. Wkraczali do kościoła okryci workami z grubego, czerwonego płótna, prowadził ich kapnik dźwigający figurę Ukrzyżowanego Chrystusa. Gdy jedni padali na ziemię, pozostali biczowali ich. Dyscypliny mieli rzemieńne z przypiekanyymi końcami albo druciane, z przyprawionymi metalowymi gwiazdeczkami na końcu... Krew bluzgała wokół obficie.

To znowu przyprowadzano do kościoła pod pręgierz bezdietne mężatki i te, którym udział w czarodziejskich praktykach zarzucano.

— *A kysz! Opuszczaj diable ciało moje! — wołali oprawcy, smagając nieszczęsne potężnym biczem.*

Kiedyś wszakże posłyszala z ambony nazwisko dziadka. Był to czas, gdy ludność po wszech ulegała chorobie kołtuna. Doktor Viner, lekarz księcia biskupa Teodora Czartoryskiego i kanoników katedry, który miał w leczeniu experyencję wielką, próbował dochodzić fizycznych przyczyn chorób przerwanych. Zdało mu się, że „wsie z gmin wy-

znania luterskiego i kalwińskiego złożone, a także i szlachta — chorobie kołtuna nie podlegali, jeno katolicy”. Dowodził tedy uczenie, że „przyczyną musi być olej lniany, używany w czasie postów, jako że z oleju tego rodzi się powój, mający ziarna do nasienia lnu podobne i trudne do oddzielenia. Wydedukował tedy, iż owo ziarno jest trucizną, zarażającą humory człowieka do tego stopnia, iż nie tylko włosy się wija, ale i guzy po junkturach formuje, a nawet przechodzi z pokolenia w pokolenie i staje się chorobą sukcesjonalną”.

— *Za staraniem Jego Eminencji, jaśnie oświeconego księcia biskupa Teodora Czartoryskiego, bulla Jego Świętobliwości nakazuje, iżby posty nie na oleju, ale na nabiale obserwowane były... — grzmiał w Wielki Piątek z ambony świętojańskiej ksiądz kanonik Bleszyński. — „Bulla to pewnie bułeczka” — pomyślała Izabela, nigdy nadto nie przejęta religijnością.*

Zaszemrało w kościele, pełnym teraz grozy i podziwienia. Szepetano wokół, że choroba kołtunów z czarów przecie pochodzi, że gdyby onych zabrakło, nie byłiby potrzebni egzorcyciści, kołtuny odejmujący, ustałyby przyczyny ofiarowania się na miejsca cudowne i czynienia ofiar w wotach przeróżnych.

Zachmurzyła się nader posepnie w swej ławce pani podkomorzyna poznańska, której jezuita wszystkie intraty zabrali z dóbr. Wyperswadowali jej bowiem niedawno, że „*chodząc jeno po pokoju, może odbyć pielgrzymkę do grobu Pańskiego, do Jerozolimy, z rzetelnym odpustem przeznaczonym dla tych, którzy pieszo oną peregrynację odbywają*”. Czyż jezuita odpowiedzą posłuszeństwem na owo zarządzenie? Nie widziało jej się.

DNIE UPLYWAŁY IZABELI na uczeniu się z książek czytania, na tańcowaniu z metrem Venuzetti, haftowaniu atłaskiem, nauce francuskiego i angielskiego, gawędzeniu „o pstrym i łysym” z Magdaleną Petit. Ojca widywała nader rzadko. Przyjeżdżał czasami wychudły, posepny, w brudnym kontuszu, w ubłoconych butach. Mówiono jej, że jako dzik zakopał się w swej kniei terespolskiej, że jadał mało i osobno, że dnie całe przepędzał, w okno patrząc.

! Pochował niedawno drugą żonę, siostrę poprzedniej. Zachorowała na tę samą chorobę, co poprzednia, zmarła w połogu w dwudziestym drugim roku życia, jak poprzednia, na tym samym łóżku, na tę samą chorobę.

— *Jako cię tu edukują, Isabelle? — pytał — pisanie pojęłaś?*

— *Jużci, tatku — jąkała niepewnie.*

— *Mizernaś, herr Jezus, wielce mizernaś!*

— *I tatko bładz.*

Flemming podnosił dziewczynkę w górę, całował chude policzki, po czym odchodzili oboje — Izabela ucepiona ojcowskiej ręki — w skrzydło północne, gdzie się mieściły pokoje kanclerza Michała. Flemming topił w oczach kuzyna zmęczony wzrok. Zaczynała się polityczna dysputa, z której dziewczynka pamiętała tylko trzy wyrazy: „Potoccy”, „król” i „Adam”. Słyszając „Adam” — wiedziała, o kim mowa. Chodziło o młodego Adama Kazimierza, syna ruskiego wojewody. Chowali się przecież prawie razem — to przebywając w Warszawie, to w Wołczynie.

Był od niej starszy o dwanaście lat. Popatrywał czasami na nią ironicznymi, prześlicznymi oczyma o długich rzęsach, pełen gracji, zawsze w pudrowanej peruce, błę-

kitnym fraczku, w jedwabnych, obcisłych pończochach i pantoflach francuskich z klamrą. Kiedy czasami spotykali się przy obiedzie, a ona miała nieszczęście siedzieć naprzeciw niego, srodze zawsze ucierpiała. Mrugał zawsze porozumiewawczo oczyma do swego gubernera, Boissy, siedzącego przy nim, i szeptał doń ledwie dosłyszalnie, ukradkiem, tak jednak, by ona usłyszeć mogła: „*Quel monstre!*”

Kiedyś, gdy siedziała, rozczochrana i brudna, w pokoju kredensowym, czekając aż ją Magdalena uczesze i ubierze w sukienkę z angielskiej materii, lewitką zwaną, przyleciał do niej, niosąc w ręku tutkę z kolorowym papierem. Podał ją dziewczynce z ukłosem uroczego pazia.

— *Mangez-le! — zachęcał.*

A ona, sądząc, że to kandyzowany kminek, który podobnie jako łakotkę podawano u stołu, chwyciła go łakomie w usta, gdyż łakoma była ponad miarę. I zaraz potem zaczęła pluć i wymiotować, okazało się bowiem, że to sól z pieprzem, na kształt cukierka owinięta.

— *Nienawidzę cię, puziaczku porcelanowy.*

— *To dla mnie zaszczyt, fircynello o uwłosieniu rzadkim! — wykrzyknął i wybiegł, śmiejąc się głośno.*

Powrócił właśnie niedawno z podróży zagranicznej, którą odbył z panem Boissy. Spoważniały, inny, dorosły. Że Izabela była z owych dziewczątek, którym łatwo przychodziła serca odmiana, podbiegła doń szybko, skoro go tylko usłyszała w antyszambrze. Zdejmował futro, spięte diamentową zatyczką, nie zdążywszy jeszcze zdjąć kapelusza à la Malbrough, w którym mu było nader do twarzy.

— *Comme vous êtes changé! — wykrzyknęła.*

— *Ano zmienilem się, a i ty także. Wciąż bawisz się lalką? Mówże po polsku, razi mnie twój kaczy akcent. — Spuściła oczy, chudziutka w swojej szarej polonezce z niewcinanym stanikiem.*

— *Na książkach składnie czytam.*

— *Czy one nasze, polskie, tegoczesne? — krzywił się z ironią, idąc z nią przez pokoje, gdy pający otwierali przed nimi drzwi, prowadzące do pokoi starszych księstwa. Pan Boissy, przygarbiony, spiczastouchy, postępowal drobno za nimi.*

— *Jakoż inne?*

— *No, włoskie, francuskie, Angielczyków.*

Nic mu na to nie odrzekła, tylko szepnęła po chwili:

— *Wierszyk umiem.*

— *Jaki?*

— *Pan Józef Dulski, deklamując onego przy obiedzie, stryja Augusta kontentował. Z pana Kopernika to drwina.*

— *Z Kop... — Adam Kazimierz wymienił szybki uśmiech z panem Boissy — A mówże, bom ciekaw...*

Izabela nabrała tchu w płuca — byli już przed drzwiami komnaty księżny matki Zofii Augustowej. Wyrzuciła szybko:

— *Mówisz, że słońce stoi, ziemia wkoło chodzi,*

— *Gdyś to pisał, pijany byleś albo w łodzi.*

— *Pauvre pays! — szepnęła Adam Kazimierz i, nieoczekiwanie dla dziewczynki, pogładził ją po głowie.*

IZABELA ROSŁA. Miała już dwanaście lat. Najbardziej lubiła teraz wyjazdy do Wołczyna, siedziby Poniatowskich. Stare gniazdo — Sieniawskich niegdyś — było gmaszyskiem ogromnym. Główny korpus pałacu tworzyło modrzewiowe dworzyszce, z wyciętymi na frontonie łacińskimi napisami. Skrzydła pałacu, murywane, nie dość może harmonijną z frontonem tworzyły całość. Za pałacem rozciągał się park, przecięty ogromnym kanałem. Ujście kanału zdobiła malownicza grupa, w marmurze rzeźbiona, przedstawiająca Neptuna z orszakiem. Miało to naśladować ogrody wersalskie. Obszerne, choć niewysokie wołczyńskie sale zdobiły liczne portrety przodków. Czerń tła obrazu podkreślała delikatność koronek i bladeści oczu kobiet o upięsienionych palcach. Izabela zazdrościła im tych pierścieni. Spoglądając na swoje drobne dłonie, stwier-

dziła w duchu, że klejnoty to rzecz przepiękna.

Często urządzano w Wołczynie przedstawienia teatralne.

Staś August udziału w nich nie brał, błysnął tu za Adama Kazimierza, syna ruskiego wojewody. Pieśniowe a sentymentalne strofy sonetów Du Bellaya lekko sfruwały z kapryśnych warg tego chłopca, w którym widziano coś z Eola, Ariela, Apollina i Narcyza. Mówiono, że już we wczesnym dzieciństwie podobał sobie co świeższe dworki, zaglądając im w oczy zgoła nie dziecinnie. Łatwo też, co do płci pięknej, nawiedzała go przemiana humorów.

Izabela lubiła szczególnie salę błękitną wołczyńskiego pałacu. Marmurowe kolumny wspierały gładki plafon, a błękitne zasłony w oknach nie przepuszczały za wiele światła. Można tu było zaszyć się w kącie, co lubiła niekiedy. Tutaj też pewnego dnia, niezauważona, posłyszawszy rozmowę Stasia Augusta z Izabelą Lubomirską, Adasia Kazimierza siostrą. Była nieszczęśliwa w małżeństwie i kochała się w Stasiu, wie o tym mała Czartoryska.

— Jakże ci się podoba Izabela Flamminzanka? — pyta Lubomirska cicho.

Ziewnął skrycie.

— Figurka może i pas mal. Nóżka i ząbki także. Ładna, kiedy się śmieje. Ale, mon Dieu, kiedy zacznie mówić!!!

— Jak to?

— O niczym z nią dyskursu prowadzić niepodobna. Głupiatko au total.

W ROK PÓŹNIEJ, w ojcowskim Terespolu, dokąd także wyjeżdżała czasami, gdy swoim zwyczajem leżała na sofie rozciągnięta i kwiaty z łakotek kandydowanych układała na tureckiej poduszce, zaglądając od czasu do czasu w książkę („Historię prawdziwą o hrabinie Alldorfskiej, która jednym porodem dwunastu synów powiła”) — nie wiedziała, że tam, w dalekim Wołczynie, właśnie w błękitnej sali, ważył się jej los. Wokół porcelanowego stołu, sprowadzonego z Francji przez Sieniawskich jeszcze, na krzesłach kurdybanem obitych zasiadli Poniatowscy, Czartoryscy, Lubomirscy i Flemming, chmurny, jak ostatnio zwykle. Radzono, za kogo wydać Izabelę — szedł jej już rok piętnasty.

— Za młodą — rzucił kanclerz Michał, któremu dwie córki zmarły we wczesnym małżeństwie.

— *C'est stupide, Michel!* — wykrzyknęła strapiona Eleonora — małżonka. — *Za młodą? Zapomniałeś, żeś mi się oświadczył, kiedy miałam lat osiem, a ożeniłeś się, kiedy miałam lat czternaście, tyle, co Izabela ma teraz, tyle co Belle Lubomirska miała lat temu sześć!*

Szmer powstał po tych słowach. Izabela Lubomirska patrzyła po obecnych ironicznie i kwaśno. Potem zaczęła przekonywać, głos zabrawszy, że Izabelkę należy wydać za Adama Kazimierza. Uśmiechano się na ogół aprobująco. Lubomirska nie wyjawiała oczywiście, że Staś Poniatowski spoglądał ostatnio na małą Izabelę coraz to bardziej czule, Adaś natomiast twierdził, że na jej widok nawiedzają go bóle głowy. Mówiła długo i płynnie. Przekonywała oponentów. Przekonała.

W Wołczynie upływały Izabelce przedślubne tygodnie. Ale, jak i przedtem, tak i teraz, nie zajmowano się nią zbyt, choć, jak zwykle, kochano przecie. Sprawy wagi państwowej, o których słuchać nie lubiła — nie, nie cierpiała — zaprzętały umysły wszystkich. Wiedziała, że znowu wadzą się o Potockich, o zrywanie sejmików, spierają się o króla Augusta III, który lubił psy strzelać z okna, ale Czartoryskich nie lubił. Wiedziała też, że Staś August począł żywo zajmować się polityką, co znowu całkiem nie leżało w naturze Adasia Kazimierza, którego wszakże zmuszano do politycznej działalności.

Był ładny, ale nic jej do niego nie ciągnęło. Gdy się dowiedziała, że ma za niego iść za mąż, zakłopotana się. Przemądrzały, nie zwraca uwagi na nią.

Nie myślała o ślubie. Woląla wraz z nianią Petit chodzić — jak dawniej — po wsi i rozdawać pieniądze ubogim. Miała dobre serce i lubiła, kiedy w odpowiedzi na jej uśmiech, spotykała w oczach ludzkich rozrzewnienie. Postanowiła sobie ujmować ludzi dobrocią. Dlatego w kilka tygodni przed ślubem, zamiast haftować na tamborku pokrowczyk na tabakierkę dla przyszłego teścia, pobiegła z nianią Petit, by zajrzeć do chorej chłopki. Okazało się potem, że była to ospa. Zaraziła się. Kilka tygodni ciężko chorowała, walczyła ze śmiercią. Ciemne krosty wyprysnęły na szczupłą twarz o wielkich oczach. Drapała je, nie była cierpliwa. Wreszcie pozwolono jej sięgnąć na łóżku. Wtedy kazała sobie podać lusterko.

— *Po cóż ci, fircynko, lusterko?* — wykręcała się niania Petit.

— *Chcę się przejrzeć, koniecznie.*

— *Bładaś, jak to po chorobie.*

— *Daj.*

Gdy spojrzęła w mały „miruarek” ujęty w szyldkretową ramkę, omal nie zemdlęła. Twarz pełna dołów po krostach, pod oczyma cienie, włosy zlepione, bure, rzadkie, cera blada. Całe szczęście, że Adaś Kazimierz zupełnie ją nie obchodził. Czy jednak zdecydował się z nią ożenić teraz?

Z DECYDOWAŁ SIĘ. Ślub w Wołczynie w r. 1761 dawał im brat kanclerza i ruskiego wojewody, ksiądz biskup Teodor Czartoryski, ten sam, który kilka lat temu zabierał głos wagi państwowej w materii kołtunów. Adam Kazimierz — teraz była mu w głowie raczej archeologia, niż wszystkie inne — patrzył z nieukrywana ironią na „brzydki kaczą” drepczące u jego boku na kolorowym dywanie wołczyńskiego kościoła.

Izabela nie zanadto zdaje sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w jej życiu, kiedy w czasie ślubnych uroczystości w ozdobionym lampionami parku Ogińskich w Siedlcach tańczy z Adamem Kazimierzem gitane hiszpańską. Nigdzie, w żadnym pamiętniku z tych czasów nie zachował się obszerniejszy opis jej wesela, wiemy tylko, że trwało ono wiele dni. Kasztelanowa Ogińska, żona wielkiego hetmana litewskiego, Michała, była z domu Czartoryska. Pani gościnnie polską gościnnością, a i wesołego przy tym humoru, imponowała zawsze Izabelce, i nie tylko Izabelce, niezwykłą swoją siłą. Porównywano ją chętnie z Augustem Sasem, z ukontentowaniem łamiącym podkowsy. Nie raz Pani Ogińska, pragnąc wywołać wybuch śmiechu Izabelki, brała w garść kilkanaście orzechów, po czym skruszywszy je w dłoni prawie na miazgę, pozwalała wyciekać sokom. To znowu związała w trąbkę srebrny talerz i to bez zbytecznego wysiłku.

Flemming, któremu przysługiwało prawo bicia własnej monety, kazał w swojej mennicy saksońskiej sporządzić dukaty z profilem Izabelki. Drżał o ukochaną córkę, a wyposażył ją znakomicie. Wniosła w wianie Czartoryskiemu dobra rozległe, co w połączeniu z pyszną fortuną Sieniawskich, dziedziczoną przez Adama Kazimierza, tworzyło niepomierne bogactwo.

(d.c.n.)

LISTY Józefa Grzybka

Wakacje pana Józefa

PANIE REDAKTORZE!

„Piszę do was ten list znad Limpopo, rzeki, która płynie przez kraj daleki. Koto mego namiotu przechodzą stada słoni i ludzie szmaragdowi i czerwoni”. To nie ja, oczywiście. Nie ja, niestety, jestem autorem tych słów. Ja nad żadną rzeką Limpopo nie siedzę, co najwyżej mogę sobie usiąść nad miską z zimną wodą i moczyc nogi. Te słowa pochodzą z książeczki, którą właśnie oto czytam — i której z powodu nieznośnej gorączki żadną miarą nie mogę skończyć. Ja na wakacje nie wyjechałem.

Ale wyjechali na wakacje prawie wszyscy moi znajomi. Dlatego otrzymuję ostatnio tak dużo kolorowych widokówek. Patrzę na te widokówki i staram się czuć się jakoś tak, jakbym i ja był w dalekich i pięknych stronach. Zawsze i to dobrze, jak to miał powiedzieć jakiś filozof. Czuję także wdzięczność do znajomych, że tak o mnie pamiętają. Mimo iż z powodu niektórych kartek krew mnie przysłowiowa zalewa. Tak, tak. No bo pomyślcie tylko: od Stacha Pachury otrzymałem kartkę, na której widnieje — osioł. A na odwrotnej stronie druch mój serdeczny napisał tak: „Cześć, stary byku! U mnie stońce i powodzi mi się jak pączkowi w maśle. A co u ciebie? Jak tam twoja Dulcyneja?”

Za sprawą tej kartki przeżyłem dwie dosyć nieprzyjemne chwile. Po pierwsze: wręczając mi ją, nasz listonosz spojrzął na widniejącego na niej opalesłego osła, a potem — z jakimś takim

dwuznacznym uśmiechem — na mnie. Gdybym był mógł, byłbym go w owej chwili w tyżce wody utopił. A Stacha Pachurę byłbym skazał na dwadzieścia lat ciężkiej katorgi, może nawet dałbym mu dożywocie — taki byłbym zły. A kiedyś z tej złości trochę ochłonął, to znowu zaczęła żona: „Kto to jest ta Dulcyneja?! — wołała. — Ja ci dam na starość amory, obce baby!” Zaczęłam jej wyjaśniać, że Dulcyneja to była miłoś Don Kichota, i że tak się mówi na kochaną kobietę, że Stachowi chodziło o nią, właśnie o nią. Nie pomogło. Nie czytała Cervantesa, nie uwierzyła. Zaczęła mi wymyślać od parszywych donżuanów, a ja jej — od niekulturalnych bab. Sądny to był dzień.

Jakoś zaraz potem drugi mój koleżka zacny, Franek Zaręba, przysłał mi kartkę, na której widniało — że użyję słów mojej żony — „jakieś bezwstydne, prawie całe gołe babsko”. Z tą kartką było jeszcze gorzej niż z tamtą z osłem. Odbierała ją od listonosza żona. Kiedy zobaczyła, co to jest, zaczęła strasznie krzyżeć na listonosza. „Panie, co mi tu pan będzie jakieś pornografie wtykać! Co z pana za świńtuch!” itd. Na to znowu listonosz: „Niech się pani liczy ze słowami! Te swoje uwagi może pani skierować do swojego szanownego małżonka!” itp. Na odgłos tej wymiany zdań zbiegły się sąsiadki. W kolonii zaczęto mówić, że „do Grzybka przyszła goła baba”. Ci, co rzecz znali tylko z opowiadania, zaraz zrozumieli, że złożyła mi wizytę rzeczywista i rzeczywiste naga kobieta. Przez kilka dni musiałem gęsto się tłumaczyć. A wszystko przez Franka!

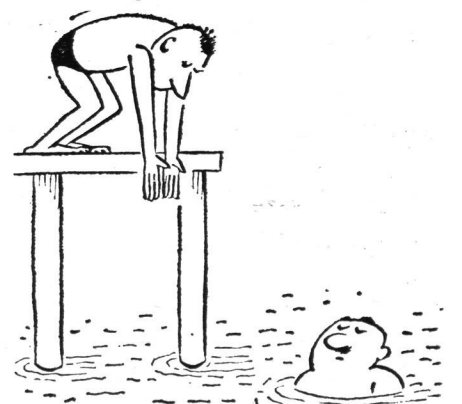
Szczyściem inne kartki są w najgorszym wypadku już tylko rozbrajające. Z Neapolu przysłali kartkę Słowiński. Napisali: „Serdeczne pozdrowienia ze stolicy Italii przesyłają”. Dobrze, prawda? Może tak się objęli makaronem, że zapomnieli gdzie Rzym, a gdzie Krym? A może myślą — jak jeden z bohaterów jednej powieści polskiego pisarza Michała Rusinka — że „Rzym to jest stolica Ojca Świętego, a nie Italian. Italiany mają Neapol”? Sto pociech! No nie?

Przysły także kartki od tych znajomych, którzy spędzają wakacje w Polsce. Oglądam je oto. Stare Miasto i kolumna Zygmunta w Warszawie, pomnik Aleksandra Fredry na rynku we Wrocławiu, Barbakan i Brama Floriańska w Krakowie... Lgnę do tych widoków. Bliższe mi one są niż wszystkie plaże i palmy wszystkich na świecie Neapolów. „Jak pięknie jest w Polsce!” — piszą znajomi. Myślę o polskich „białych chorągwiach wisien, zielonych chorągwiach topól”. Może powinienem myśleć o czym innym i inaczej zakończyć ten „List”. Cóż, kiedy ja już inaczej nie potrafiej. Dla nas, starszych emigrantów, wszystkie myśli, wszystkie drogi, wszystkie rzeczywiście i urojone trasy prowadzą — zarówno w dzień powszedni, jak i w okresie wakacji, nieodmiennie — do Polski.

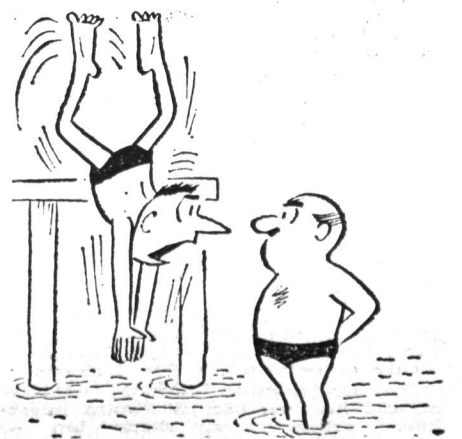
Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

JÓZEF GRZYBEK
z NORDU

Nad wodą — Au bord de l'eau

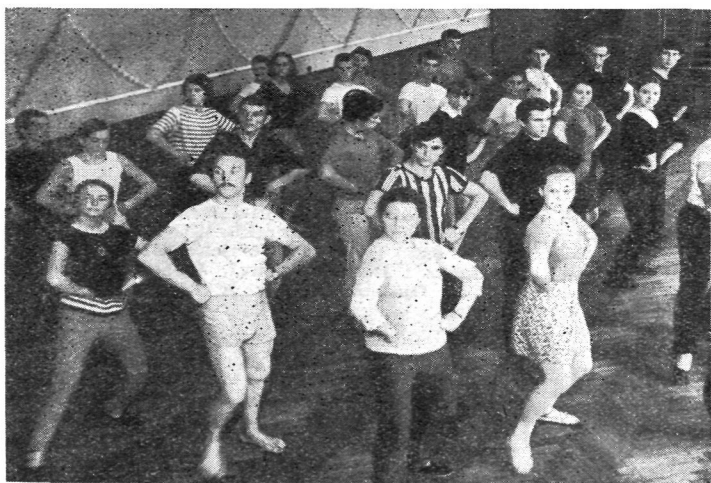


— Tu jest tak płytko!
— Attention! C'est peu profond!

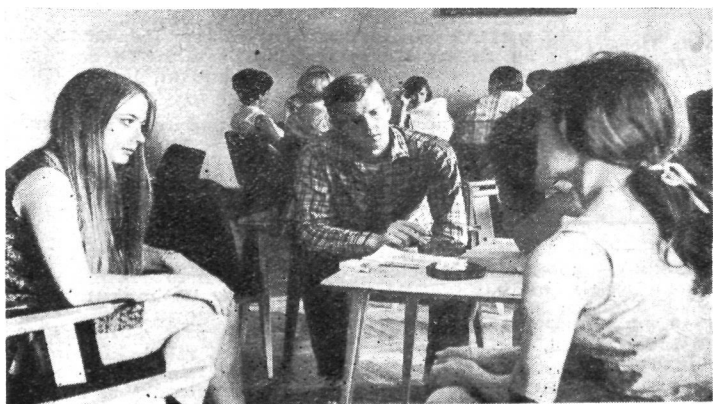




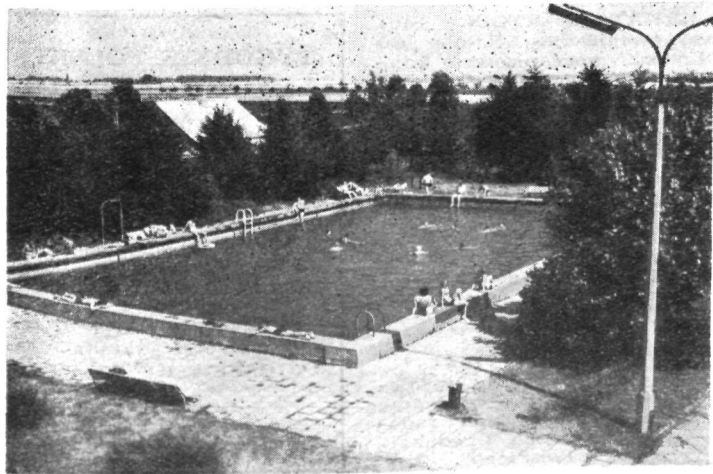
„Rodzinne” zdjęcie dziewcząt i chłopców (polskiego pochodzenia) — uczestników kursu świetlicowo-tanecznego zorganizowanego przez Towarzystwo „Polonia”



Cwicy najbardziej zaawansowana grupa członków zespołów polskiego folkloru z Francji. Wielu z nich znamy z występów na naszych polskich imprezach i uroczystościach. Poniżej: Inga Balta (z lewej), członkini znanego zespołu „Krakus” (Paryż)



Po zajęciach i ćwiczeniach w upalne dni uczestnicy kursu szukali ochoty w basenie lub wypoczywali w lesie



W CHYLICACH POD WARSZAWĄ UCZYLI SIĘ TAŃCA I ŚPIEWU

W CHYLICACH KOŁO WARSZAWY, jak co roku tradycyjnie już odbywał się w lipcu kurs świetlicowo-taneczny, zorganizowany przez Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

Gdy odwiedziliśmy piękny ośrodek Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych, z olbrzymiej hali gimnastycznej rozlegała się znana ludowa melodia, rozstawiona przez „Mazowsze”. „Jadą goście, jadą”... Zajrzeliśmy do sali. Cwicył chór pod kierunkiem dyrygenta znanego z niedawnego tournée po Francji Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, p. Mazurka. Chociaż w chórze śpiewały dziewczęta i chłopcy z wielu krajów, którzy przeważnie między sobą rozmawiają w swoim ojczystym języku (niektórzy nie znają polskiego), słowa piosenki wszyscy wymawiali bardzo wyraźnie.

W Chylicach przebywali członkowie kilkunastu zespołów folklorystycznych i instruktorzy tańca z Francji, Belgii, Holandii, Niemieckiej Republiki Federalnej, Szwecji i Anglii, ogółem 130 osób (w tym aż 80 z Francji i 22 z Belgii).

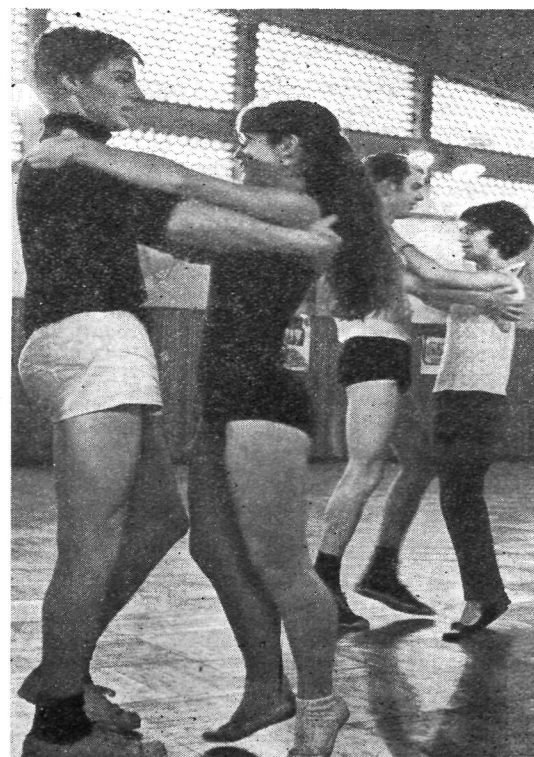
Na kursie świetlicowo-tanecznym pod kierunkiem najlepszych wykładowców i instruktorów młodzież uczyła się nie tylko mazura, oberka, krakowiaka, nie tylko piosenek i przyśpiewek, ale także tworzenia nowych, ciekawych układów tanecznych oraz recytacji.

Repertuar taneczny obejmował wiele polskich tańców regionalnych, jak: taniec krakowski, kurpiowski, kujawski oraz tańce narodowe polonez i mazur. Poza regionalnymi pieśniami prowadzono naukę pieśni patriotycznych, harcerskich, sportowych, żartobliwych i popularnych. Dużą uwagę zwrócono na zajęcia związane z kultywowaniem żywego słowa. Jest to szczególnie ważne, ze względu na słabe opanowanie języka polskiego przez starszą młodzież polonijną. Czytano fragmenty prozy i poezji polskiej, ze szczególnym uwzględnieniem utworów takich pisarzy, jak Sienkiewicz, Mickiewicz, Broniewski i Brandyś.

W CHWILACH WOLNYCH OD ZAJĘĆ, korzystając z pięknej lipcowej pogody, dziewczęta i chłopcy opalali się albo pływali w basenie, grali w piłkę. Pół dnia ćwiczyli, pół dnia zwiedzali okolice, m. in. starą papiernię w Jeziornie, dworek w Żelazowej Woli, w którym urodził się Fryderyk Chopin, pałac w Wilanowie. Młodzież kilkakrotnie była w Warszawie, niektórzy mieli okazję odwiedzenia krewnych, znajomych.

Wieczorami oglądano filmy, jeżdżono do teatru, urządzano zabawy i kominki. Bardzo udany kominek zorganizowała grupa francuska, najliczniejsza na kursie. Zabawa była doprawdy wspaniała. Jedną z gier zorganizowali dla wychowawców.

Na środku sali leżała czapka. Po jednej stronie stały dziewczęta, po drugiej — chłop-



Z Belgii przyjechało do Chylic na wakacyjny kurs 22 chłopców i dziewcząt. Na zdjęciu: jedna z lekcji ludowego tańca polskiego

cy. Po dwie osoby miały te same numery. Jak zawołano np. „trójka”, to jedna osoba mająca trzeci numer musiała złapać czapkę i uciekać, a druga ją łapać!

Ale najwięcej uciechy dostarczyła inna gra. Otóż dziewczętom zakryto oczy chustkami, żeby nic nie widziały. I tak na ślepo musiały przyszyść chłopcom łaty na tylną część spodni. Chłopcy podskakiwali, piszczeły, bo dziewczęta kłudy ich niemilosiernie.

Pod koniec lipca dziewczęta i chłopcy razem z wychowawcami odbyli wycieczkę po Polsce.

Na zakończenie kursu świetlicowo-tanecznego — 29 lipca — młodzież polonijna podejmowana była uroczystość w Urzędzie Rady Ministrów.

Większość uczestników po zakończeniu kursu pozostała jeszcze w Kraju. Rozjechali się do rodzin, pojechali zwiedzać ojczyznę swoich rodziców, tak drogą i ich sercu — Polskę!

FRANCUSKO-POLSKIE ZEBRANIE URBANISTÓW W OŚRODKU PAN W PARYŻU

Niedawno odbył się w Paryżu cykl wykładów i dyskusji, poświęcony problemom planowania regionalnego i urbanistyki w związku z zaplanowanym 6-tygodniowym stażem (27 sierpnia — 4 października br.) dwudziestokilkuosobowej grupy francuskich urbanistów w Polsce.

Program obejmował zagadnienia organizacji służb planowania przestrzennego, metodologii planowania, przepisów prawnych oraz prac z teorii planowania przestrzennego w Polsce.

Celem konferencji było zapoznanie stażystów z programem pobytu w Kraju.

Ze strony polskiej konferencje prowadzili: mgr inż. Wyganowski z Instytutu Urbanistyki i Architektury w Warszawie oraz mgr inż. Majchrzak z Pracowni Planu Regionalnego w Gdańsku.

Konferencje odbyły się w Ministerstwie Equipement et Logement oraz na zakończenie w Ośrodku PAN w Paryżu, przy udziale przedstawicieli wyżej wspomnianego Ministerstwa i Association pour l'Organisation des Stages en France, generalnego sekretarza Société des Urbanistes Français oraz przedstawicieli Ośrodka PAN.



DYPLOMY ZAWODOWE

LENS. Brevet supérieur w zakresie księgowości uzyskał Edward Babski, w zakresie sekretariatu: Irena Kania, Liliane Kazmierczak, Claudine Paluszak, Beatrixe Wojciechowska, Jacqueline Kurczewska, Daniela Butryn. Brevet d'enseignement w zakresie księgowości otrzymali: Pierre Pietroniec, a w zakresie sekretariatu: Sabina Bąkowska, Olga Byczkowska, Nicole Kowalska, Georgette Krawczyk, Helena Nerkowska, Jeanna Walkowiak.

W centrum kształcenia zawodowego dyplomy mechaników otrzymali: p. Franciszek Łopatowski, p. Jean-Pierre Orzeł i p. Ryszard Pławny.

Dyplomy asystentek lekarskich otrzymały: p. Helena Turowska i p. Claude Zielińska.

LILLE. Dyplomy fachowców w zakresie rzeźnictwa otrzymali: p. Roland Mielczarek, Jean-Luc Wesolek i p. Ryszard Wróbel.

BÉTHUNE. W ramach dorocznych egzaminów zawodowych dyplomy sekretarek otrzymały: pp. Henriette Dominiak, Marie-Thérèse Majcher, Dorota Urbaniak, Myriam Przybylska, Alina Krawczyk, Elżbieta Michowska.

PRZYJĘCIA DO SZKÓŁ ZAWODOWYCH

DOUAL. Do szkoły kształcenia nauczycieli zostały przyjęte na podstawie dobrze zdanych egzaminów: Lydia Blednicka, Marie-Christine Chabowska, Annick Czapska, Lucy Domagała, Luxet Grzegorz, Claudine Hostyn, Regina Lukowska, Jacqueline Lurka, Daniele Michalczak, Nicole Murkowska, Monique Musielak, Suzanne Nowak,

Z ŻYCIA RÓŻNYCH TOWARZYSTW

BARLIN. Miejscowi hodowcy gołębi Club Colombophile urządzili konkurs fleszetek i tzw. „Zanzi”. W kategorii fleszetek zwyciężył p. Ławniczak przed p. Grzykiem, zaś w kategorii „Zanzi” p. J. Kubiak zajął drugie miejsce, a p. E. Grzyk — 10.

HOUDAIN. W ramach uroczystości święta 14 Lipca z ramienia polskich organizacji brali udział w Komitecie honorowym p. Ignacy Flaczyński — prezes Stowarzyszenia L'Amicale Laique, p. Biegański — przedstawiciel Stowarzyszenia Mandolinistów „Sonora”, p. Migdański z chóru „Kościszko” oraz p. Malik, jako przedstawiciel lokalnych stowarzyszeń polskich. Uroczystość uświetnił swymi występami miejscowy zespół folklorystyczny.

MONTIGNY-en-OSTREVENT. Przeszło 130 konkurentów z okolicy stanęło do konkursu bulistów, zorganizowanego przez p. Grodzkiego — prezesa Stowarzyszenia „L'Avenir”, oraz pp. Lemańskiego, Famulickiego i Jarczyka — członków zarządu. Tytuł mistrzowski zdobył zespół w składzie: p. Lemański, p. Grzykowski i p. Turowski.

Lydia Karpus, Annette Kara, Françoise Iczakowska, Anne-Marie Rutkowska, Joëlle Świdarska, Gisèle Szymańska, Michèle Szych, Edyta Roszak, Michèle Roszczka, Dominika Turzyńska, Nadine Wiśniewska, Irena Waśnik, Christiane Zimny, Christiane Zwolańska, Danielle Wasielewska, Violette Zielińska.

EGZAMINY MUZYCZNE

LIÉVIN. W szkole muzycznej odbył się egzamin roczny. Wyróżnienia za bardzo dobrze zdany egzamin otrzymali m. in.: p. Nadine Kusaj, p. Franciszek Markiewicz, p. Bernard Kaczmarek.

KONKURSY OGRODKÓW

OIGNIES. Komisja ogrodnicza, której przewodniczył p. Despret, obejrzała przeszło sto ogródków górniczych. Pierwsze miejsce w konkursie zdobył p. Mieczysław Stolarski z Libercourt. P. Tadeusz Kazmierczak zajął drugie miejsce i p. Jan Sobczak (Libercourt) — 4, p. Ernest Palka (Oignies) — 5, p. Józef Rusiak (Libercourt) — 9, p. Stanisław Fleiszewicz (Libercourt) — 9, p. Władysław Majk (Oignies) — 13, p. Edmund Fiołka (Libercourt) — 16, p. Stanisław Buliński (Libercourt) — 18. Dalsze miejsca zajęli: p. Jan Kowalczyk (Libercourt), p. Bolesław Piskorek (Oignies), p. Stanisław Krawczyk (Wahagnies), p. Stanisław Sobierski (Libercourt), p. Józef Skołodrzyc (Ostricourt).

W konkursie ogródków dla emerytowanych górników pierwsze miejsce zajął również Polak p. Józef Ławniczak z Evin. P. Paweł Klapczyński zajął 7 miejsce, p. Władysław Maj — 8, p. Franciszek Szramowski — 13, p. Alexander Frankiewicz — 14, p. Władysław Glinkowski — 15. Dalsze miejsca w tej grupie zajęli: p. Antonina Maciejewska, p. Cécile Ozarowska, p. Józef Wichlacz, p. Franciszek Lewandowski, p. Józef Pelczar, p. Albert Czapiniński, p. Józef Grześkowiak, p. Stefan Pietrzyk, p. Claude Kapelski i p. Stefan Łapuzyski.

NAGRODY ZA DOBRE PROWADZENIE SAMOCHODÓW

LENS. Departamentalna Komisja Bezpieczeństwa przyznała szereg nagród za wzorowe prowadzenie samochodów. Medale brązowe otrzymali m. in.: p. Max Stefański, p. René Dąbrowski, p. Jerzy Krotkiewski, p. Wiktor Kurzawa.

NASZA KRONIKA RODZINNA

Niech zdrowo rosną!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

OIGNIES: Krzysztof Lechniak, Gerard Szarzyński, Michał Szarzyński, Marine Marczak. **AUBY:** Ryszard Stawiński. **WINGLES:** Sylvie Frydryczak, Didier Piotrowski. **EVIN-MALMAISON:** Daniel Majchrzak, Thierry Burdzy. **LIEVIN:** Franek Dworaczek, Jean-Pierre Kayandaszek. **NOYELLES-sous-LENS:** Fryderyk Pokrzywa. **HARNES:** Patrick Konieczny. **LENS:** Lydia Czerniak, Franciszek Świniarowski, Michał Pietraszkiewicz (Noyelles), Felix Krawczyk (Evin). **DOUAI:** Zofia Walczak, Filip Walkowiak.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

Sto lat dla nowożeńców!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół ostatnio zawarli małżeństwa:

ROUVROY: Janina Cieślak i Louis Degorre, Nadine Misiak i Edouard Billet, Marie-José Rutkowska i Serge Lavoisier, Stefania Pietraszkowska i Czesław Zelek. **ELEU-dit-LEAUWETTE:** Janina Nowak i Roger Vantrepotte, Mauricette Tadeusz i Christian Martin, Maria

KĄCIK HODOWCY GOŁĘBI

DIVION. W konkursie „sur Chantilly”, zorganizowanym przez „l'Entente Colombophile”, w kategorii „vieux” gołębie p. Pawlaczka zajęły miejsca 1 i 17, w kategorii młodzików „sur Angerville” zwyciężyły gołębie p. Cieślewicza, zajmując miejsca 1 i 19. Dalsze miejsca w tej kategorii zajęły gołębie p. Łamaszewskiego, p. M. Pawlaczka, p. Walczaka i p. J. Pawlaczka.

BRUAY-en-ARTOIS. Konkurs stowarzyszenia „l'Entente des Sept” „sur Chantilly” dał m. in. następujące rezultaty: w kategorii „vieux” gołębie p. Kaczmarka zajęły miejsca 6, 12 i 30, p. Kocie-

ckiego — 8 i 17. W kategorii młodzików gołębie p. Kocieckiego zajęły miejsca 7, 11, 34, 35 i 42, p. Malińskiego — 9, 10, 18, 20, 29, 36 i 41, p. Zielińskiego — 16, a p. Zborowskiego — 26.

SAILLY-LABOURSE. W konkursie „sur Chantilly” stowarzyszenia „La Rapide” gołębie p. Czarneckiej zajęły miejsca 4, 6, 13, 20 i 21.

BRUAY-en-ARTOIS. Stowarzyszenie „Au Ramier du Mineur” zorganizowało konkurs „sur Chantilly”. Gołębie p. Michałaka zajęły miejsce 39 w kategorii „vieux”; gołębie p. Maliszaka 8 i 68, p. Mastowskiego — 33 i p. Plocien-

nika — 76 w kategorii „młodzików”.

ABSCON. W konkursie sur Compiègne stowarzyszenia Liberté, gołębie p. Galusika zajęły w serii młodzików miejsca 1, 12 i 21, a p. Walkowicka z Pecquencourt 5, 14, 17 i 25. Nagrodę za serię otrzymał p. Galusik.

TYGODNIK POLSKI
La Semaine Polonaise
23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:
rocznie: 17 F. - 210 Fr B.
półrocznie: 10 F. - 120 Fr B.
kwartalnie: 6 F. - 70 Fr B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE
Zakład Graficzny „Ruch”
Varsovie, ul. Ludna 4

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

◆ **Lodówki, maszyny do prania**
i inne artykuły gospodarstwa domowego ◆

LENG — PICARD ET G-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.42, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

PRACOWNICY POSZUKIWANI

BANK PKO — Oddział w Paryżu — zatrudni pracowników z biegłą znajomością pisma na maszynie w języku francuskim i polskim.

Pisemne zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem Banku PKO — 23, rue Taitbout — Paris 9°.

La Banque PKO — à Paris recherche des dactylographes connaissant le français et le polonais. Prière d'adresser une demande écrite à la Banque PKO — 23, rue Taitbout — Paris 9°.

Szoltys i Jean Letalleur. **HERSIN-COUPIGNY:** Jeanne Guillaume i Jan Mikus. **LIEVIN:** Monika Linka i Edmond Walaszczak. **CARVIN:** Christelle Boulet i Christian Łuczak. **AUBY:** Daniela Tazsarek i Daniel Baillet, Paule Poupert i Bernard Szadurski. **WINGLES:** Dorota Jakubowska i Hubert Derijke. **OIGNIES:** Maria Jaosz i Daniel Czekaj, Joselyne Defrance i René Dudziński, Teresa Idaszak i Alfred Solecki.

Nowożeńcom życzymy pomyślności i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

OIGNIES: Magdalena Palka, lat 70. **HERSIN-COUPIGNY:** Bolesław Maćkowiak, lat 54, Józef Chorab, lat 65; **DOUAI:** Michał Nowaczyk, lat 72 (Frais-Marais). **BILLY-MONTIGNY:** Leon Kulczak, medal pracy, lat 50. **SALLAUMINES:** Zygmunt Małek, lat 31. **BRUAY-en-ARTOIS:** Stanisław Zawadzki, lat 59. **LENS:** Katarzyna Płończak, lat 78, żona Stanisława, Władysław Adamski, lat 74 (Oignies).

Rodzynom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Serdecznie gratulujemy

Córka państwa Czapulów z Marles-les-Mines — Madame Gagnaire, przebywająca obecnie z mężem w Turcji, urodziła córkę — Catherine.

17-letni Andrzej Giezek — wnuk p. Kaźmierczaka (prezesa komitetu Tysiąclecia) zdał maturę matematyczno-techniczną.

P. Cugier w Auchel doczekał się ostatnio wnuka — Philippe.

Wszystkim wyżej wymienionym składa serdeczne gratulacje z okazji tych radosnych wydarzeń redakcja „Tygodnika Polskiego”.

TV od 6 do 19 sierpnia

PROGRAM I (première chaîne)

DZIENNIK — Télé-Midi o 13.00, Télé-Soir o 20.00 i Télé-Nuit między 22.30 a 23.55. **WIADOMOŚCI REGIONALNE** o 19.40 oprócz niedzieli. **ROY ROGERS** — o 12.30 oprócz niedzieli. Od 16.8 — nowa seria **DÉTECTIVE INTERNATIONAL**. **RADIO-TELÉ-BAC** — 7, 8, 9, 10, 14, 16 i 17 o 14.00. **RUE BARRÉE** — o 19.25 oprócz niedzieli. Od 14.8 — nowy film seryjny **VIVE LA VIE**. **JEU DE MOTS** — o 19.05 oprócz soboty i niedzieli.

NIEDZIELA 6 SIERPNIA.

12.00 La séquence du spectateur — fragmenty filmów: Dieu a besoin des hommes; Les amoureux du France; La Foire aux Cancrets.
12.30 Impossible n'est pas français — na przemian z kolejnymi pozycjami programu do godz. 19.00.
15.10 Mistrzostwa Francji w pływaniu.
18.10 La grande caravane.
19.30 Saturnin Belloir — film seryjny.
20.30 Le 3 du dimanche: Clark Gable w L'Esclave Libre.
22.00 Sérieux s'abstenir.

PONIEDZIAŁEK 7 SIERPNIA.

18.30 Dites-moi monsieur.
20.30 La piste aux étoiles.
21.30 L'Homme à la Rolls.
22.20 Le dernier matin.

WTOREK 8 SIERPNIA.

18.30 La séquence du jeune spectateur.
20.35 Lucide Lucile — program teatralny.
22.15 Le quart d'heure d'Emmanuel D'Astier.

SRODA 9 SIERPNIA.

18.30 Dites-moi monsieur.
20.30 L'aventure — L'aventure de la vie.
21.05 Jeux sans frontières — program Guy Lux'a.
22.20 Lectures pour tous.

CZWARTEK 10 SIERPNIA.

18.00 Program dla młodzieży.
20.30 Au théâtre ce soir — dziś: Mon Bébé — sztuka Maurice Hennequin wg „Baby Mine” M. Maye.
22.10 Lekka atletyka: Europa-Ameryka z Montréal.

PIĄTEK 11 SIERPNIA.

17.00 Konkurs hippiczny z La Baule.
18.00 Lekka atletyka: Europa-Ameryka z Montreal.
20.20 Panorama — tygodniowy magazyn aktualności.
21.30 Boudou sauvé des eaux — Festival Michel Simon.

SOBOTA 12 SIERPNIA.

16.30 Mistrzostwa Francji w pływaniu.
19.10 Accords d'accordéon.
20.30 Impossible n'est pas français.
20.40 L'île au trésor.
21.10 Fariboles — program rozrywkowy F. Châtalet.
22.10 Les descendants.

NIEDZIELA 13 SIERPNIA.

12.00 La séquence du spectateur: fragmenty filmów Le pont de la rivière Kwai; Prête-moi ton mari; Le Cid.
12.30 Impossible n'est pas français — na przemian z kolejnymi pozycjami programu do 19.00.
15.10 Mistrzostwa Francji w pływaniu.
16.50 Kolarskie Mistrzostwa Francji.
18.10 Saturnin Belloir — film seryjny.
20.30 Gary Cooper w Le Général est mort à l'aube.

PONIEDZIAŁEK 14 SIERPNIA.

18.30 Dites-moi, monsieur.
20.00 Gala — Variétés, Colette Renard i Ph. Clay.
21.45 Les Incorruptibles (Nieprzekupni) — nr 1.
22.35 Ostatni poranek (Garcia Lorca) M. Allemanda.

WTOREK — 15 SIERPNIA.

12.00 La séquence du spectateur: fragmenty filmów Les Voyages de Gulliver, Allez France!, Train d'enfer, L'inconnue de Hong-Kong, Fous-rires, L'île nue.
14.00 Córka kapitana, sztuka wg Puszkina.
18.30 La séquence du jeune spectateur.
20.30 Le trésor des moines R. Couderca.
22.20 Czwarty mecz rugby Francja — Afryka Południowa.

SRODA 16 SIERPNIA.

18.30 Dites-moi, monsieur.
20.30 Aventure: La recherche médicale.
11.00 Musique maestro — variétés.

CZWARTEK 17 SIERPNIA.

18.00 Jeudimage — program dla młodzieży.
20.30 Les J3 — sztuka Rogera Ferdinanda.
22.40 Niemcy zach. — USA w lekkiej atletyce.

PIĄTEK 18 SIERPNIA.

18.30 Dites-moi, monsieur.
20.30 Les coulisses de l'exploit.
21.30 La Poison (Festiwal Michel Simon).

SOBOTA 19 SIERPNIA.

18.00 Francja — ZSRR w pływaniu.
19.25 Accordéon variétés.
20.40 L'île au trésor wg powieści Stevenson.
21.10 Rendez-vous sur le Rhin — variétés.

PROGRAM II (deuxième chaîne)

24 HEURES ACTUALITÉS — codziennie o 19.55.

ADELE — o 20.05. Od 12.8 — **ARRÊTEZ-LES**.

NIEDZIELA 6 SIERPNIA.

20.05 La vie commence à minuit (odc. 10).
20.30 De fil en aiguille — program variétés.
21.40 Reportaż z Festiwalu Mozartowskiego w Aix.
22.40 Des agents très spéciaux.

PONIEDZIAŁEK 7 SIERPNIA.

20.30 La belle Ensorceleuse René Clair (Marlena Dietrich).
21.50 Un certain regard: Demain la photo.

WTOREK 8 SIERPNIA.

20.30 Le Chevalier de Maison Rouge wg Dumasa.
21.40 On a volé un tram — film Bunuela.

SRODA 9 SIERPNIA.

20.30 Edouard et Caroline — film J. Beckera.

CZWARTEK 10 SIERPNIA.

20.30 Chasse au gang — film A. de Totha.
21.40 A vous de juger (nr. 3) — Garçons sans visage —

PIĄTEK 11 SIERPNIA.

20.30 **SOIRÉE THÉÂTRE** — transmisja z Comédie des Champs Elysées — Hôtel Racine Michèle Perrein.

SOBOTA 12 SIERPNIA.

20.30 Façades J. J. Varoujeana.
22.25 Gant de velours.

NIEDZIELA 13 SIERPNIA.

20.50 Music-hall de France.
21.15 Dim Dam Dom.
22.15 Des agents très spéciaux — Pop art.

PONIEDZIAŁEK 14 SIERPNIA.

20.50 Deburau — film Saszy Guitry.

WTOREK — 15 SIERPNIA.

19.45 Jeu des trésors sur 625 lignes.
20.30 Le Chevalier de Maison-Rouge wg Dumasa.
21.45 Pique-nique en pyjama, film z Doris Day.

SRODA 16 SIERPNIA.

20.30 Le roi des resquilleurs (J. Tissier i Rellys).

CZWARTEK 17 SIERPNIA.

19.45 Jeu des trésors sur 625 lignes.
20.30 Enquête à Chicago, film (Alan Ladd).
21.55 A vous de jouer: Les nouveaux invités.

PIĄTEK 18 SIERPNIA.

20.30 L'Auberge des Adrets — melodramat.

SOBOTA 19 SIERPNIA.

19.45 Jeu des trésors sur 625 lignes.
20.30 Marteau en tête.
21.15 Gant de velours: L'obsession de l'aveu.
22.10 Le Rapide de Kochno, sztuka G. Hanoteau.



Już w Polsce. Po dwóch godzinach szybkiego i spokojnego lotu czterosiłnikowym turbosmigłowcem IL-18 grupa młodzieży z Lille wylądowała na lotnisku w Warszawie. Tutaj oczekiwała już na 86-osobową grupę miłych gości delegacja wychowawców i polskiej młodzieży w regionalnych strojach i po krótkim powitaniu uwiozła ich autokarami nad piękne Jeziora Mazurskie. Była to pierwsza grupa kolonijna, która w br. wylądowała na ziemi polskiej, i jej poświęciliśmy nasze pierwsze zdjęcie na lotnisku Okęcie w Warszawie, wy-

konane w dniu 21 lipca br. Przez dalsze cztery dni (23, 24, 25, 26 lipca) w dziewięciu lotniczych przelotach z Lille, Paryża, Brukseli, Lyonu i Metz (a 30.VII z Düsseldorfu) przewidziano do Polski: do Katowic, Warszawy, Wrocławia i Poznania tysięcy młodych gości, których natychmiast autokary rozwiozły do Dusznik-Zdroju, Olsztyna, Sławieć, Wisły, Mikuszowic, Bydgoszczy, Wroniaw, Mielna, Gdyni, Łodzi, Barda, Świdra, Sopicowa, Radości, Piwnicznej-Zdroju, Bukowiny Tatrzańskiej i Zakopanego. Wkrótce — fotoreportaże z kolonii

REPREZENTANCI POLSKI I FRANCJI W EKIPIE EUROPY NA SENSACYJNY MECZ LEKKOATLETYCZNY Z AMERYKĄ

9 i 10 sierpnia w Montrealu z okazji światowej wystawy „Expo 67” rozegrany zostanie sensacyjny mecz lekkoatletyczny reprezentacji Europy i Ameryki. W ekipie broniącej barw europejskich znalazło się w drużynie kobiecej aż sześć zawodniczek polskich: Irena Kirszenstein (100 m, 200 m, 4x100 m i skok w dal), Ewa Kłobukowska (100 m, 200 m, 4x100 m), Mirosława Salacińska i Urszula Styranka (4x100 m), Elżbieta Bednarek (80 m. pi.), Daniela Jaworska (oszczep).

Z NRF zakwalifikowano do reprezentacji pięć zawodniczek, z NRD — trzy, z Węgier — dwie, Czechosłowacji, Anglii, Szwecji, Holandii, Austrii — po jednej.

W europejskiej drużynie mężczyzn barw Europy broni aż 10 zawodników francuskich: Roger Bambuck (100 m, 200 m i 4x100 m), Pierre Dufresne (800 m), Jean Wadoux (1.500 m), Marc Berger, Jocelyn Delecour, Claude Piquemal, Gerard Fanouil (4x100 m), Jean-Claude Nallet (400 m i 4x400 m), Marcel Du-

riez (110 m. pi.), Herve d'Encausse (tyczka).

W drużynie Europy startuje pięciu Polaków: Wiesław Maniak (100 m), Jan Werner (200 m, 400 m, i 4x400 m), Andrzej Badański (400 m i 4x400 m), Józef Szmidt (trójskok), Wł. Komar (kula).

POLACY LEPSI od FRANCUZÓW w PÓŁFINALE PUCHARU EUROPY

Na stadionach Ostrawy, Sztokholmu i Duisburga odbyły się półfinały lekkoatletycznego Pucharu Europy w konkurencji mężczyzn. Do finału (rozegrany zostanie 16 i 17 września w Kijowie) zakwalifikowały się zespoły: POLSKI, FRANCJI, NRD, NRF, WĘGIER i ZSRR.

W półfinałowym sześcimeczu w Ostrawie zacięta walkę o pierwsze miejsce stoczyły ekipy Francji i Polski. Zwycięstwo odniósł zespół polski zdobywając 94 punkty. Polacy pokonali różnicą jednego punktu faworytów tego spotkania — Francuzów. Trzecie miejsce zajęła Czechosłowacja, czwarte — Włochy,

Polacy i Francuzi obsadzili wszystkie konkurencje sprinterskie i sztafety. W ekipie męskiej poza Francuzami i Polakami najliczniej będą reprezentowane: NRF i Węgry — po siedmiu zawodników, NRD i Anglia — po czterech, Belgia, Włochy, Czechosłowacja — po dwóch, Norwegia, Hiszpania i Grecja — po jednym.

piąte — Rumunia, szóste — Holandia. Francuzi wyprzedzili Polaków tylko ilością zwycięstw, których odnieśli siedem wobec sześciu polskich.

Między Francuzami i Polakami trwała aż do ostatniej konkurencji (sztafeta 4x400 m) zacięta rywalizacja. Chociaż zwycięstwo Polacy zwdzięczają pechowemu upadkowi Sampera w sztafecie 4x400 m, to jednak spalisz się bardzo dobrze i stoczyli wyrównany pojedynek z doskonale dysponowaną ekipą Francji.

Podkreślić trzeba, że w bezpośrednim spotkaniu drużyn Polski i Francji (kiedy w każdej konkurencji startuje po dwóch zawodników) Polacy odnieśliby zdecydowane zwycięstwo.

NOTATNIK SPORTOWCA

LEKKA ATLETYKA

PARYŻ. Podczas mistrzostw juniorów tytuł mistrza Francji w młocie zdobył Waczygłowa z Bruay-en-Artois, a w rzucie oszczepem Griniewicz z Oignies był drugi, Kaspzak z Batilly był czwarty, Hałaszyk z Oignies zajął miejsce piąte w biegu na 100 m.

ISBERGUES. W challenge'u pod nazwą Albert Dauchy w grupie seniorów wyróżnił się Krawczyk z EO w skoku wzwyż, rzucie kulą i oszczepem, który wygrał Griniewicz, powtarzając swój sukces paryski. W kat. juniorów Frymka z Oignies wygrał biegi na 100 m i 200 m. Rzut dyskiem wygrał Szambelańczyk z EO, a Walorysek był drugi w rzucie oszczepem i trzeci w skoku wzwyż.

NA SZOSACH FRANCJI

LIEVIN. Franciszek Adamski z Mauqueville wygrał wyścig na 60 km, wyprzedzając następnego prawie o 3 minuty.

POIX-du-NORD. Jan Szymikowski z AC Avesnes przegrał na mecie w wyścigu na trasie 125 km. Robert Mintkiewicz był jedenasty.

NOEUX-les-MINES. W biegu okrężnym na trasie 60 km Bernard Białobłocki z EC Bully zajął miejsce jedenaste.

Bronisław Stala, Leon Słojewski et Jan Oleszczuk reçoivent la Médaille du Centenaire du Sport Polonais

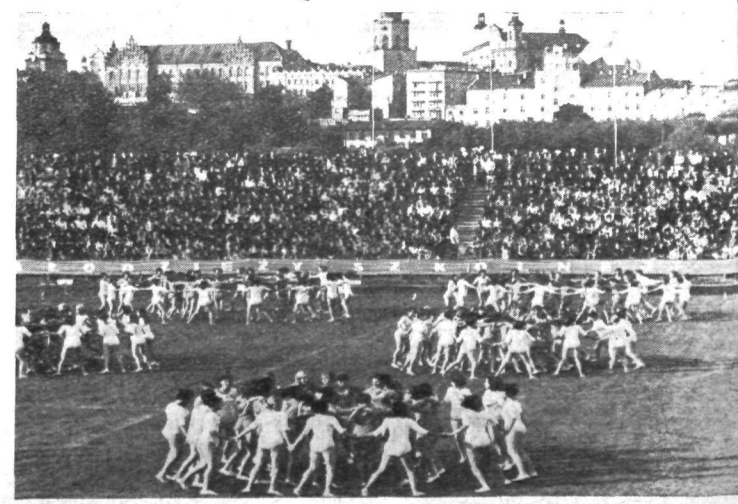
Le mouvement gymnique et le sport polonais, ainsi que nous en avons déjà entretenu nos lecteurs, fêtent cette année leur centenaire. Celui-ci a donné l'occasion, le 22 Juillet, jour de la Fête Nationale, d'une manifestation qui s'est déroulée au Théâtre Komedia de Varsovie.

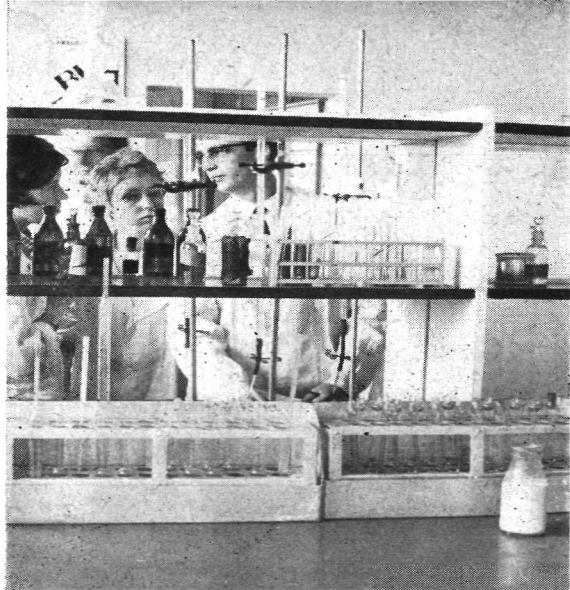
Le vice-président du Haut Comité pour la Culture Physique et le Tourisme, M. Leszek Bednarski, a remis des Médailles du Centenaire du Sport Polonais à 24 personnalités, dirigeants du sport gymnique et représentants du mouvement sportif et olympique polonais à l'étranger. C'est avec une joie sincère que nous avons noté parmi ces derniers les noms de MM. Bronisław STALA (Belgique), Léon SŁOJEWSKI et Jan OLESZCZUK (France) auxquels nous adressons nos félicitations les plus chaleureuses.

Nos lecteurs connaissent leurs efforts dans la collecte de fonds pour le Fonds Olympique Polonais devant assurer une participation maxima des „blancs et rouges” aux Jeux Olympiques de Grenoble et de Mexico.

Les autres personnalités de l'émigration polonaise ayant mérité cette distinction sont MM: Kazimierz Janiszewski, John Trzcinski et Juliusz Sztuk (Etats-Unis), Folke Landquist, Zofia Landquist et Kazimierz Białous (Suède), Roman Guthrie-Uchotski, Adam Krajewski et Kazimierz Sroń (Angleterre).

Ci-contre: les derniers spartakiades ont démontré, par la participation en masse de tout jeunes gymnastes, que le sport polonais dispose de larges réserves pour l'avenir.





Mąż Nicole p. Guy Bourdez ukończył Institut d'Études Supérieures d'Industrie et d'Économie Laitière w Paryżu i podczas wizyty w Polsce zwiedził kilka dużych zakładów mleczarskich

UPOMINKI DLA SYNKA Z OJCZYZNY B A B C I

Dans l'autocar emportant un groupe de touristes français vers Olsztyn, un jeune couple est penché sur une carte. Ils y cherchent vainement le petit village de Rykocice près de Kalisz, qu'ils n'auront cependant pas le temps de voir au cours de ce voyage. Ils se promettent donc de revenir. C'est que Rykocice est le village natal de la grand-mère et de la mère de Mme Nicole Bourdez. Elle et son mari viennent de faire un beau voyage en Pologne. Ils ont visité Zakopane, Cracovie, la Silésie, la capitale et la région des lacs de Mazurie. Leur garçonnet n'a que quelques mois, il n'a donc pas pu faire le voyage. Mais ses parents lui rapportent des jouets polonais, un joli pulllover et un vrai chapeau de montagnard comme en portent les habitants de Zakopane.



Pani Nicole obejrzała mury starego zamku w Szymbarku, gdzie powstanie wielki ośrodek turystyczny

W Olsztynie państwo Bourdez bawili się wesoło w klubie studenckim



W AUTOKARZE wiozącym grupę Francuzów z Warszawy do Olsztyna dwoje młodych ludzi trzyma na kolanach rozłożoną mapę: — *Ici est Kalisz! Ici, mais on ne trouve pas le village de Rykocice. Il y a encore plus de 50 km* — mówi szczupła blondynka. To p. Nicole, która z mężem p. Guy Bourdez wybrała się do Polski.

Zainteresowanie Rykocicami nie jest przypadkowe. Tam mieszka babcia pani Nicole, p. Anna Wypych z domu Stolarek. W tej podkaliskiej wsi urodziła się córka pani Wypych, która mając 14 lat przyjechała do Francji. Chodziła na Nordzie do szkoły, tu wyszła za męża, urodziła córkę. Jest nią właśnie p. Nicole Bourdez.

Państwo Bourdez są dwa lata po ślubie i dochowali się paromiesięcznego synka. Oczywiście trzeba dla małego przywieźć upominki z ojczyzny babci. Państwo Bourdez kupili mu ładny sweterek, polskie zabawki i prawdziwy zakopiański kapelusz, taki jakie noszą górale z Podhala.

Z pobytu w Polsce są zadowoleni. Wspominają do dziś Zakopane, gdzie z zainteresowaniem słuchali gawęd starego górala (korzystali z pomocy tłumacza). Na Śląsku, w olbrzymim parku jeździli łódkami, zwiedzali wesołe miasteczko w Chorzowie. Mają zamiar jeszcze raz przyjechać do Polski, aby odwiedzić wieś Rykocice.

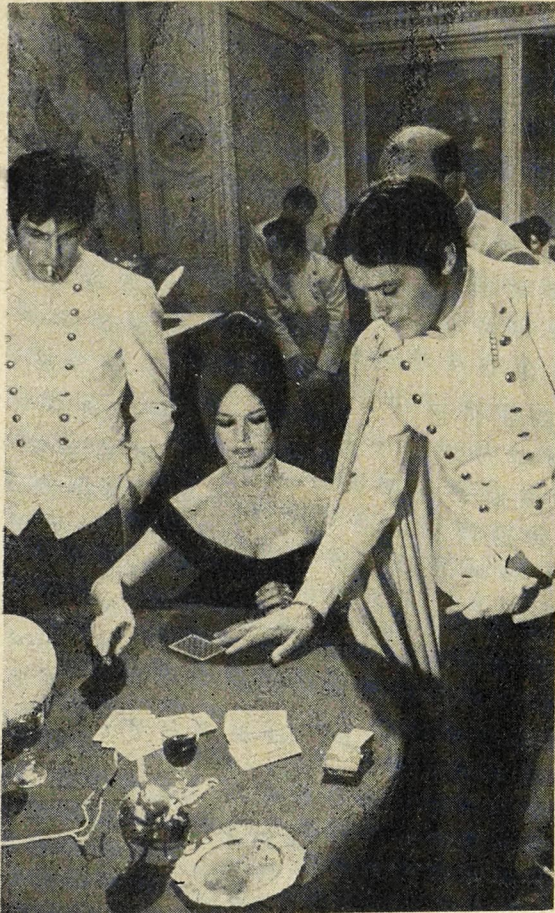
Pani Nicole wiele słyszała o polskiej wsi od swojej babci p. Anny Wypych



NOWE

FILMY NA EKSPANACH

„TROIS HISTOIRES EXTRAORDINAIRES D'EDGAR POE”



LORSQUE DÉBUTE L'ACTION, nous faisons la connaissance d'un collégien qui est le caïd de sa classe. C'est William Wilson. Un jour un élève lui manque de respect. Quatre jeunes garçons l'obligent l'audacieux à lécher les chaussures de William. C'est alors que surgit un personnage ressemblant trait pour trait à William, jeune homme qui sauve l'infortuné collégien d'une punition plus sévère.

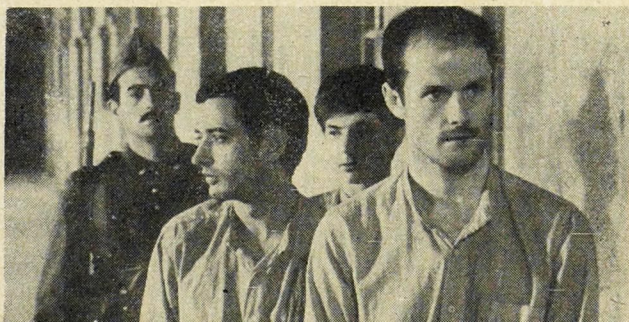
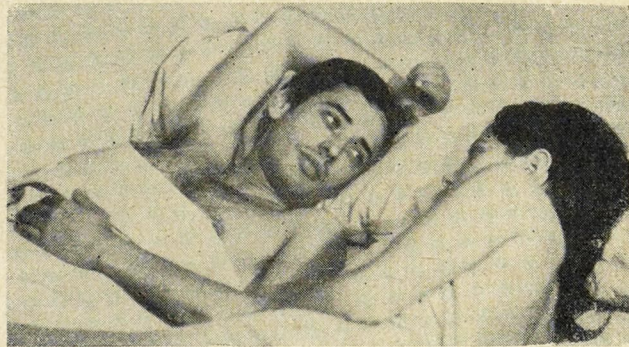
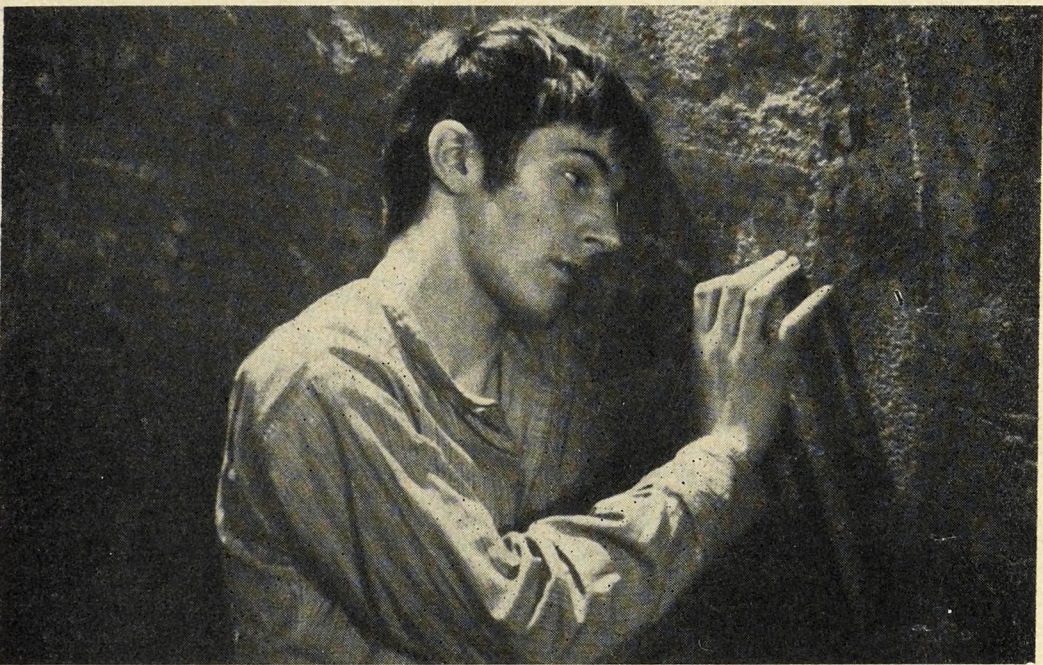
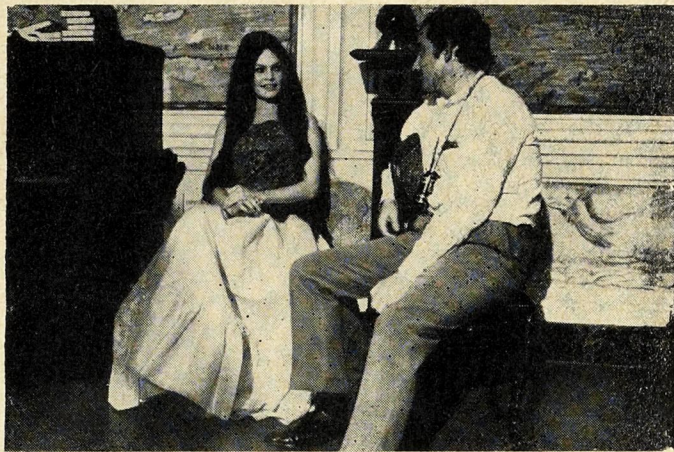
— Qui es-tu? demande William Wilson.
— Je m'appelle William Wilson, répond l'étranger.

C'est ainsi que toute sa vie William rencontrera son double qui l'empêchera d'aller jusqu'au bout de ses cruautés.

William Wilson, bien entendu, est incarné par Alain DELON, Brigitte BARDOT, joue le rôle d'une femme orgueilleuse sûre de sa beauté. Elle n'hésitera pas à provoquer William à qui jamais une femme ne résistait. Mais Guiseppina perdra, un moment, la partie. Elle sera obligée par William à se déshabiller en public, afin d'être fouettée... Bien entendu, l'autre William (sa conscience — dirait Edgar Poe) interviendra à temps.

Tel est le sujet d'une des TROIS HISTOIRES EXTRAORDINAIRES D'EDGAR POE, celle tournée par Louis MALLE, les deux autres étant réalisées par Roger VADIM et Orson WELLES.

FILM składa się z trzech różnych opowieści Edgara Poe. Każda z nich jest realizowana przez innego reżysera. Dziś przedstawiamy „niezwykłą historię”, którą kręcił Louis MALLE. Na drodze okrutnego młodzieńca — Williama Wilsona — staje jego sobowtór o tym samym nazwisku, lecz o całkiem przeciwnych cechach charakteru. Odtwórcami głównych postaci są: Brigitte BARDOT i Alain DELON. Pozostałe role grają: Umberto d'Orsi, Danièle Vargas oraz Kattia Cristina. Dalsze dwa skecze realizują: Roger VADIM i Orson WELLES. Ten francusko-włoski film nakręcony został w „eastmancolorze”, a naturalną dekoracją jest Castel Fusano 35 km od Rzymu.



Scenariusz „MURU” jest wierną adaptacją głośnej powieści Jean-Paul Sartre'a (pod tym samym tytułem), której dokonał realizator Serge Roulet (przy konsultacji autora). Dialogi do filmu napisał sam autor.

Akcja rozgrywa się w 1936 r. podczas wojny domowej w Hiszpanii. W celi więziennej znajdują się trzej mężczyźni skazani na śmierć za sympatie i powiązania rodzinne z republikanami. Tylko jeden z nich, Irlandczyk Tom, brał bezpośredni udział w walce jako żołnierz Brygady Międzynarodowej. Głównym bohaterem filmu jest robotnik Pablo. Zdając sobie sprawę, że dzieli go od śmierci tylko dwanaście godzin, zaczyna przebiegać myślą swoje dotychczasowe życie. Dochodzi do wniosku, że było ono właściwie bierną stratą czasu, której już nie może nadrobić. Po raz pierwszy zdobywa się na czyn, który rodzi się z niego samego z desperacji, z instynktu samozachowawczego. Zgodnie jednak z sartrowską filozofią, będzie to gest daremny.

LE MUR

Au début de la guerre d'Espagne, en 1936, trois hommes parmi d'autres sont prisonniers des franquistes: Pablo (Michel del Castillo) dont on va suivre l'histoire, un ouvrier que son amitié pour l'anarchiste Ramon Gris (René Darmon) a rendu suspect; Tom (Denis Mahaffey) un Irlandais des Brigades Internationales; Juan (Mathieu Klossowski) dont le frère est un militant.

L'interrogatoire sommaire devient jugement: les trois hommes sont condamnés et réunis dans la même cellule. Un médecin belge vient les rejoindre, soit disant pour les reconforter. Pendant les 12 heures qui les séparent de leur exécution, chacun, selon son passé, ses choix ou ses refus, va réagir.

Observateur froid et lucide, le médecin fait des observations sur les phénomènes de la peur. Il ne rend que plus irrespirable „l'enfer” de ce monastère où sont enfermés les prisonniers.

Pablo, gêné par la présence „des autres” essaie en extremis d'aller au bout d'une réflexion sur la condition humaine.

Tandis que l'effort de Tom tourne dans un besoin d'explication à tout prix, Juan devant la mort réagit par un vain refus.

A la pointe du jour, un officier vient chercher les prisonniers: Juan et Tom vont être fusillés. Pablo est épargné, mais seulement pour qu'il révèle où se cache son ami Ramon Gris.

Dans l'indifférence de ceux qui l'entourent, Pablo décide d'agir. Cet acte, qui le fait pour un instant réellement vivre, est aussi sa perte.

ENTRETIEN AVEC LE RÉALISATEUR

— Pourquoi „Le Mur” Serge Roulet?
— Pour mon premier long métrage, j'ai choisi d'adapter une nouvelle de Sartre parce que je pense qu'une nouvelle contient plus facilement qu'un roman les éléments d'un film. Et, en relisant „Le Mur” il y a deux ans, j'ai trouvé que son thème était très actuel et qu'il contenait les éléments essentiels de la pensée de Sartre.

On parlera bien sûr d'une influence de Bresson. J'ai voulu travailler avec Bresson, que je considère comme le plus grand réalisateur français et je crois qu'il est impossible de ne pas être influencé par lui. Travailler avec lui m'a aidé à faire ce film. Ceci dit, je pense que sur le thème et sur le fond, sinon sur le style, „Le Mur” est radicalement différent des films de Bresson.

— Et la distribution?
— Je n'ai pas utilisé de comédiens professionnels. J'ai cherché des garçons et une femme qui soient Espagnols sauf pour l'Irlandais. J'ai choisi Michel Del Castillo pour le rôle de Pablo en raison de son expérience propre. Il a été déporté à 13 ans, a connu les maisons de correction. Il n'a eu aucun effort pour s'intégrer à la situation...

UNE LETTRE DE JEAN-PAUL SARTRE À SERGE ROULET

Mon Cher Roulet.
Après la projection de votre film „Le Mur”, je veux vous redire toute ma satisfaction et vous remercier de votre beau travail. On a porté à l'écran, déjà, quelques-unes de mes oeuvres, mais je ne me suis jamais reconnu dans ces films. Dans le vôtre je me reconnais entièrement et j'admire votre profonde honnêteté qui vous a interdit de jamais vous préférer à la „nouvelle” que vous avez voulu rendre. Il en est résulté quelque chose qui passe mes espérances: dans ce film austère et rigoureux, les images, les temps, les gestes ont rendu poignante et presque intolérable l'angoisse de ces condamnés à mort. Cette angoisse, je la disais mais vous nous la faites subir.

Je vous prie, mon cher Roulet, de croire à ma gratitude et à mon amitié.

J.P. SARTRE